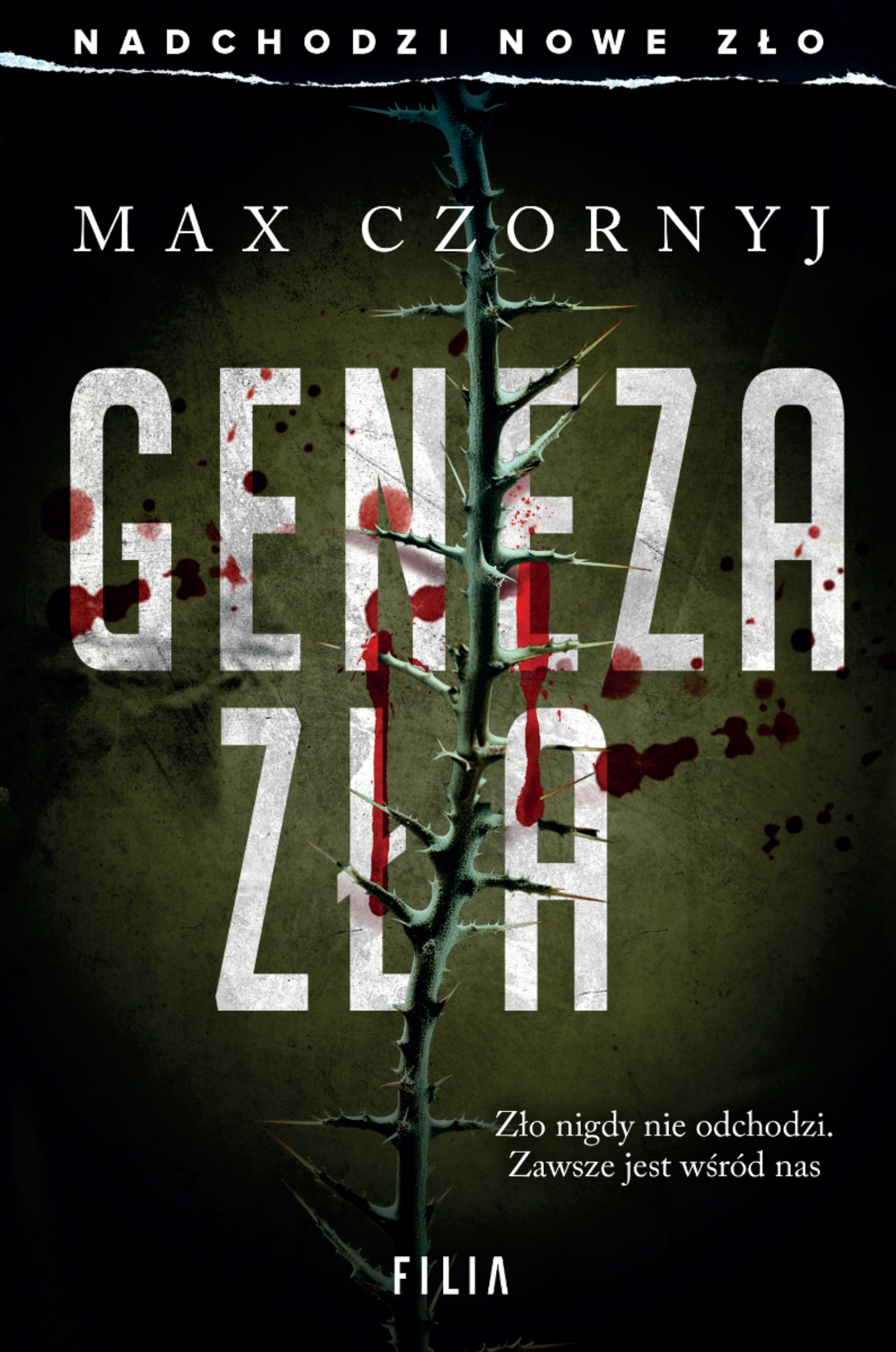


NADCHODZI NOWE ZŁO

MAX CZORNYJ



GENEZA
ZŁO

Zło nigdy nie odchodzi.
Zawsze jest wśród nas

FILIA

MAX CZORNYJ

GENEZA ZŁA

FILIA

*Wszystkim idealistom, którzy na co dzień walczą ze złem. Bez
względu na jego definicję.*

*Czy zastanawiała się pani, dlaczego wilk wyje do księżyca? Bo może –
rzekł pewien zły człowiek.*

*Ręce wasze pełne są krwi.
Obmyjcie się, czyści bądźcie!
Usuńcie zło uczynków waszych
sprzed moich oczu!
Przestańcie czynić zło!
Zaprawiajcie się w dobrem!
Troszczcie się o sprawiedliwość,
wspomagajcie uciśnionego,
oddajcie słuszość sierocie,
w obronie wdowy stawajcie!
Chodźcie i spór ze Mną wiedźcie! –
mówi Pan.*

*Choćby wasze grzechy były jak szkarłat,
jak śnieg wybieleją;
choćby czerwone jak purpura,
staną się jak wełna.
Jeżeli będziecie ulegli i postuszni,
dóbr ziemskich będziecie zażywać.
Ale jeśli się zatniecie w oporze,
miecz was wytępi.*

Księga Izajasza 1,15–19,
Biblia Tysiąclecia, Pallottinum

– Nie wierzysz w Boga ani szatana? A gdybym ci powiedział, że zarówno Bogiem, jak i szatanem może być wyłącznie człowiek? W końcu zostaliśmy stworzeni na jego podobieństwo, a on, niczym Poncjusz Piłat, umywa ręce od ludzkich losów. Przynajmniej dopóki biją nasze serca i pracuje mózg. Wiem... To wiele wątków, które zapewne straciły dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie. Popierałaś śmierć, dopóki nie dotyczyła samej ciebie.

Mówiący westchnął. Przez kilka sekund milczał, wreszcie podjął ponownie:

– Aborcja to sprawa matki? Dobrze. Przyjmijmy, że tak jest. W takim razie którądy przebiega cezura rozdzielająca matczyną władzę nad życiem i śmiercią? Kiedy kształtuje się układ nerwowy? W końcu od samego początku jesteśmy zlepkiem genów, ale kiedy twoim zdaniem można je nazwać człowiekiem? No dobrze, mniejsza o to. Powiedziałaś kiedyś o trzecim miesiącu... Czy wiesz, że płód ma już wtedy wykształcone kończyny? Mówiłaś o zabijaniu dzieci do chwili narodzin. W takim razie dlaczego nie przedłużyć tego do pierwszych urodzin? A może dalej... Niech dzieci będą własnością matek do osiągnięcia pełnoletności. Czemuż by nie? Skoro dla ciebie wszystko jest umowne i stanowi jedynie kwestię debaty politycznej. Tak o niej mówiłaś. Ale wiesz co, moja droga?

Kobieta nie odpowiedziała. Po jej policzkach ciekły łzy. Wytrzeszczone oczy były zaczerwienione i pełne popękanych naczynek. Pod jej nosem zebrały się smarki. Co chwilę głośno nim pociągała, byle tylko nabrać powietrza. Z jej płuc dobiegało bulgotliwe rżenie.

– Jest coś, co bez wątplenia nie jest umowne. Nawet jeżeli podlega definicjom, daję ci głowę, że to nie jest w żadnej mierze kwestia

negocjacji. Zdajesz sobie sprawę, o czym mówię?

Nastąpiło kolejne zawieszenie głosu. Tym razem jednak znacznie krótsze i jeszcze bardziej wymowne.

– Mówię o śmierci.

Te trzy słowa poniosły się echem, choć może kobiecie się tak tylko zdawało. Załkała, a z jej ust, zza knebla, wydobyło się żalosne jęknięcie. Wessała kawałek materiału tak mocno, że dotknął tylnej ścianki jej gardła. Zrobiło się jej momentalnie duszno, jakby się zachłysnęła, lecz nie mogła odkaszląć. Była przekonana, że się udusi. Wpadła w panikę i łapczywie próbowała wciągnąć powietrze nosem. Smarki mieszały się z krwią, wypełniając jej usta mdłym posmakiem. Zaczęła się dławić. Tępy ból rozlał się po jej czaszce.

– Nie wierzyłaś w Boga ani w szatana – ciągnęła postać skryta w półmroku. Mówiła powoli, żalobnym, choć nieco znudzonym tonem.
– Niebawem wiara zamieni się w wiedzę. Dowiesz się, że zło, upiorne, piekielne zło istnieje naprawdę.

Cień gwałtownie zerwał się w jej stronę. Nim kobieta choćby drgnęła, przyłożył do jej policzka brzytwę. Następnie drugą dłonią wyciągnął przed nią lustro – tak, by odbiła się w nim jej twarz. W półmroku ledwie rozpoznała własne rysy.

– Spójrz – syknął. – Czy to naprawdę ty? Czy ten kawał skóry określa naszą osobowość mocniej niż nasze dusze? Ach... Zapomniałem. Ty nie wierzysz w istnienie duszy. Ale wierzysz w skórę i w ciało. Wierzysz w to, że jesteś wyjątkowa, a ja cię zapewniam... Tak samo jak wszyscy czujesz ból i strach. Tak samo jak wszyscy musisz umrzeć. Już. Teraz. W tej sprawie nigdy nie mogłaś decydować, lecz ja zdecyduję za ciebie. To również jest kompromis?

Brzytwa bez żadnego oporu przecięła powłoki skórne i tchawicę kobiety. Z jej gardła dobył się cichy charkot. Rana poszerzyła się, zionąc ciemnym otworem. Po chwili wypłynęła z niego strużka niemal czarnej krwi. Rozległ się bulgot podobny do tego, gdy woda ścieka do zlewu, i strużka zamieniła się w lekko spienioną strugę. Wreszcie tętnica wyrzuciła fontannę ciepłej, natlenionej krwi. Kobieta usiłowała

nabrać powietrza. Nie mogła już oddychać nosem ani ustami. Jej oczy zaszklily się i zastygły w bezruchu. Wraz z ostatnią próbą wzięcia oddechu być może uleciała jej dusza.

– Czy to naprawdę ty? – ponownie zapytał zbrodniarz.

2

Deryło z całej siły uderzył w bok automatu do gier. Ze środka dobyło się brzęknięcie, a do metalowej kieszeni wpadło kilka monet. Komisarz wyjął je i przeliczył. Zostawił sobie kwotę, którą zainwestował w oszukańczą grę, a resztę z powrotem włożył do maszyny.

– Co pan robisz?! – Jak spod ziemi wyrósł przy nim krępy, przypominający Sycylińczyka właściciel nadmorskiego lokalu. – Próbujesz pan mnie okraść?

– To ten automat okrada ludzi – beznamiętnie odparł Deryło. – Kiedy zatrzymał się na moim numerze, nagle coś przeskoczyło.

– Nic nie przeskoczyło. Oddawaj pan te pieniądze, coś wyciągnął z maszyny.

– Proszę mnie aresztować. Śmiało. Albo zadzwonić na policję.

Deryło parsknął i odwrócił się do rozmówcy plecami. Skierował się do wyjścia, ale skrycie, choć nigdy by tego nie przyznał, liczył na konfrontację. Na to, że mężczyzna będzie próbował go zatrzymać, a potem... A potem co? Zamierzał dać mu w gębę? Marzył o wdaniu się w bójkę jak nadpobudliwy nastolatek? O zrobieniu karczemnej rozróby?

Ku swemu rozczarowaniu niezatrzymywany wyszedł na zalaną słońcem ulicę. Spacerowały nią tłumy turystów. Z rzędu budek pełnych rozmaitych przekąsek, automatów do gier i sprzętów

plażowych ryczały wakacyjne piosenki. Mieszały się w przerażającą kakofonię dźwięków. Komisarz się skrzywił.

Był potężnym, zwalistym mężczyzną, choć teraz, w wieku prawie sześćdziesięciu lat, część dawnych mięśni pokryła już warstewka tłuszczu. Mimo to jego sylwetka zwracała uwagę i większość ludzi schodziła mu z drogi. Tymczasem on maszerował prosto przed siebie niczym koń z klapkami na oczach. Nie robił tego z przekory, w zasadzie chęć wyładowania emocji momentalnie z niego uleciała, lecz pochłonięty wewnętrzną burzą myśli niemal nie zważał na otoczenie.

Śmierć Tamary Haler, jego służbowej partnerki, a do tego przyjaciółki, kompletnie go przybiła. Od kilku tygodni nie potrafił się pozbierać. Najpierw usiłował rzucić się w wir pracy, lecz nudne papierkowe obowiązki sprawiały, że wspomnienia ciążyły jeszcze bardziej. Dlatego zdecydował się na urlop. Chciał oderwać myśli i z perspektywy piaszczystej plaży poukładać sobie pewne kwestie w głowie. Stało się coś całkowicie odwrotnego.

Zaburzenie normalnego rytmu dnia, oderwanie od obowiązków, choćby te były całkowicie trywialne, sprawiło, że komisarz pograżył się w beznadziejnej żałobie oraz pustce samotności. Jego życie potoczyło się tak, że został kompletnie sam. Gdzieś tam – nikt nie wiedział gdzie – była jego córka, która zerwała z nim wszelkie kontakty. Świadomość jej istnienia mogłaby być pocieszeniem, gdyby nie pojawiała się myśl o tym, że skoro nie ma pojęcia, gdzie ona jest, to nie ma również pojęcia, czy żyje. Czy nie zginęła w jakimś wypadku albo nie została zamordowana. Czy nie popełniła samobójstwa. Zawodowe zboczenie pobudzało kolejne pytania i podkreślało niepokój. W umyśle komisarza się kotłowało. Nie była to jednak kotłowanina konstruktywna, prowadząca do jakichkolwiek konkretnych wniosków, lecz podtrzymująca stan permanentnego chaosu. Tak trwał od kilku dni...

Zdjął mokasyny i wziął je do ręki. Przeszedł kilkanaście metrów, lawirując między solidnie ufortyfikowanym miasteczkiem plażowym, złożonym z parasoli, kocy oraz parawanów. W końcu rzucił buty na

brzeg poza zasięgiem fal, po czym zdjął białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Bez cienia uśmiechu skierował się w stronę morza. W momencie, gdy jego stopa zawisała nad wodą, poczuł wibrację telefonu. Gdyby nie to, w ogóle zapomniałby, że włożył go do kieszeni szortów, które służyły mu również za kąpielówki.

Sięgnął po komórkę i odruchowo odebrał. Było to pierwsze połączenie, jakie otrzymał od wielu dni. Albo pierwsze, na które zwrócił uwagę.

– Komisarz Deryło?

Gdy odpowiedział mruknięciem, dzwoniący lakonicznie się przedstawił. Deryło zlekceważył jego imię i nazwisko, lecz skupił się na fakcie, że ten jest policjantem.

– Ponoć jest pan w okolicy Kołobrzegu? – dopytał telefonujący.

– Mniej więcej. A ktoś chce do mnie dołączyć?

– Potrzebujemy pana.

Krótkie stwierdzenie sprawiło, że komisarz instynktownie rozejrzał się wokół. Jakby ktoś tymi słowami właśnie robił mu dowcip i przyglądał się z odległości. Nikogo takiego jednak nie dostrzegł.

– Dzwonię w imieniu swoich przełożonych... – oznajmił głos. – Jest pan najlepszym śledczym, z ogromnym doświadczeniem w takich sprawach.

– Jakich sprawach?

Kiedy Deryło wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że połknął przynętę. Było już jednak za późno. Refleks coraz częściej zaczynał go zawodzić.

– Poleciała pana również komisarz Langer, która ma doświadczenie przy najgorszych mordach. Jednak teraz jest na urlopie za granicą i...

– Dość. – Komisarz, usłyszawszy słowa klucze, przerwał tłumaczenia rozmówcy. – Skoro jej nie ściągnęliście, mamy dobitny dowód na to, że wakacyjny patriotyzm nie popłaca. Mogłem lecieć do Włoch.

– Hę?

– Nie, nic. Gdzie się mam stawić? Potrzebuję kwadransa i będę gotów do wyjazdu.

Deryło tęsknie zerknął na morze i zawrócił ku bulwarowi.

3

Zabytkowy citroën Deryły bez większych problemów pokonał trasę z Lublina nad Bałtyk, lecz wyczynu tego dokonał przed nadejściem fali upałów. Trudno było orzec, czy przy temperaturze sięgającej trzydziestu pięciu stopni w cieniu bardziej męczy się pocziwa furgonetka, czy kierujący nią komisarz.

Deryło miał czerwoną twarz, pot spływał mu po czole i na oczy, koszula przykleiła się do jego ciała, a krótkie włosy wyglądały, jakby właśnie wyszedł z kąpieli. Citroën oczywiście nie miał nawigacji, a komisarz, zamiast uruchomić ją w telefonie, zdał się na znaki drogowe oraz starą mapę. Nie sądził, by w ciągu ostatniego ćwierćwiecza wybudowano w okolicy nowe drogi, ale szybko okazało się, że był w błędzie.

Po niemal półgodzinie kluczenia w obrębie miejscowości, do której został skierowany, zdecydował się zdać na własny instynkt. Zjechał w boczną dróżkę prowadzącą ku sosnowemu zagajnikowi porastającemu pas nadbrzeża. Musiał na niej zwolnić niemal do dziesięciu kilometrów na godzinę, co zrobiło całkiem dobrze obciążonemu silnikowi citroëna. Jednak najwyraźniej wybrał właściwie.

Już po kilku minutach Deryło dostrzegł błysk policyjnego stroboskopu i ujrzał dwa radiowozy. Obok nich na niewielkiej przecince stały dwa nieoznakowane auta, duży pojazd techników oraz karawan. Na szczęście w zasięgu wzroku nie widać było żadnych dziennikarzy.

Deryło zatrzymał się niemal na środku drogi, uznawszy, że nie ma już mowy o zablokowaniu komuś pilnego przejazdu. Karetka w tym

miejscu była najwyraźniej zbędna. Kiedy tylko otworzył drzwi auta, uderzyła go fala upału. Okazało się, że w jego wozie wcale nie było tak źle. Szczególnie gdy przebywał w ruchu i miał uchyloną szybę.

– Komisarz Deryło?

Wysoki, patyczkowaty aspirant uważnie się mu przyjrzał. Kiedy Deryło nie odpowiedział, najwyraźniej domyślił się, że ma rację. Wymienił z komisarzem uścisk dłoni i kiwnął głową.

– Marek Adamski... – przedstawił się, po czym skinieniem ręki wskazał gdzieś w bok.

Komisarz podążył za jego spojrzeniem. Kilkadziesiąt metrów dalej znajdował się drewniany budynek przypominający dawną nadmorską knajpę lub obiekt portowy. Zza niego dobiegał łagodny szum fal, lecz z tej perspektywy morze nie było widoczne. Budowla musiała zostać dawno porzucona, gdyż niemal nie miała szyb w oknach, biała farba obłaziła całymi płatami, a tu i ówdzie zionęła pustka dziur w ścianach, jakby wybuchły przy nich granaty.

– To jest tam – bąknął aspirant.

Deryło nie musiał się zastanawiać, co policjant ma na myśli. Wystarczył mu grymas odrazy, który pojawił się na jego twarzy, gdy wypowiadał te słowa. Znaczył on o wiele więcej od najbardziej szczegółowych opisów.

4

Zdarzało się, że na miejsca zbrodni można było wejść jedynie w kaloszach. Wystarczyło, że zwłoki poleżały w upale kilkanaście dni i potrafiły wręcz rozlać się po pomieszczeniu. Tkanka ludzka przypominała wówczas cuchnące, galaretowate błoto.

Zazwyczaj kryminaliści używali specjalnych worków ochronnych na buty, a dostęp dla śledczych był możliwy dopiero, gdy zakończyli

pobieranie śladów. Tym razem już pracowali na miejscu. Przed samymi drzwiami do pustostanu tu i ówdzie rozstawiono specjalne tabliczki, które – w zależności od koloru – albo znakowały miejsca odkrycia śladów dowodowych, albo pozwalały na określenie odpowiedniej perspektywy lub odległości na wykonywanych fotografiach.

– Ostrożnie! – Aspirant Adamski wskazał na jedną z nich i skinął głową w stronę wejścia. – Jeszcze nie ma taśm, a szef techników jest bardzo nerwowy.

– To nic. To naprawdę nic takiego...

Deryło zerknął na swoje zamszowe mokasyny i westchnął. Powstrzymał się, by odruchowo ich nie obtupać, jakby wchodził do kogoś do domu.

„A może właśnie wchodzę do kogoś do domu?” – przemknęło mu przez myśl.

Zrobił dwa kroki i stanął w progu budynku. Zmrużył oczy, usiłując przyzwyczaić je do przejścia z zalanego słońcem dworu do tonącego w półmroku wnętrza, jednak natychmiast zdał sobie sprawę, że przestronne pomieszczenie oświetlone jest przez dwa mocne reflektory. Kryminaliści byli w środku. Jeden z nich prznosił statyw i fotografował wszystko wokół, a drugi kucał obok walizki ze sprzętem. Na widok komisarza podniósł głowę i wyciągnął dłoń. Nie był to jednak gest powitania.

– Stać, do cholery! Nie widzicie, że...

Zawiesił głos i odchrząknął. Miał około czterdziestu pięciu, co najwyżej pięćdziesięciu lat, szpakowate włosy i pociągłą twarz. Był ubrany w kombinezon ochronny, lecz nie założył kaptura ani okularów. Zmarszczył czoło, po czym nerwowym gestem przesunął walizkę. Podniósł się i machnął do Deryły.

– To pan, komisarzu. Zapraszam – mruknął tonem niekryjącym irytacji. – Słyszałem, że mają pana ściągnąć z urlopu w okolicy... Co za przykra sprawa. Naprawdę współczuję. Nie rozumiem takich obyczajów.

– My się znamy? – Deryło zrobił krok do przodu, swoim zwyczajem jak najdłużej powstrzymując się przed rozejrzeniem się po miejscu zbrodni. – Chyba nie pamiętam.

Technik dał znać drugiemu, by ten odstawił aparat na statyw, po czym ponownie zwrócił się ku komisarzowi:

– Kiedyś mieliśmy szkolenie na podstawie pańskich śledztw – wyjaśnił. – Fotograf, Cztery Iks, Mistrz Gry... To byli intrygujący mordercy. Poza tym konsultuje pan sprawy z Orestem i Lizą. To moi dobrzy znajomi.

– Mówi pan o profilerze Rembercie oraz pani komisarz? Zdarzyło się, że oni pomogli mnie i być może mnie udało się pomóc im.

– Więc pomagaliśmy również sobie nawzajem.

Kryminalistyk uśmiechnął się sztucznie, odsłaniając równe białe zęby. W wyrazie jego twarzy było coś drapieżnego i dzikiego. Deryło poczuł do niego narastającą antypatię, lecz powstrzymał się od jakiegokolwiek cierpkiego komentarza. Zamiast tego nabrał powietrza i przytknął oczy. Powoli odliczył do trzech.

– Halo, komisarzu?

Głos technika wznął mu się w umysł. Otworzył oczy i całą siłą woli postarał się na niego nawet nie spojrzeć.

– Niech się pan zamknie – szepnął. – Proszę.

Nadszedł czas, by zorientował się, co się tu wydarzyło. Jego wzrok natychmiast padł na leżące w rogu pomieszczenia ciało.

5

– Jeszcze jej nie zabrali. Zawsze robią to dopiero wtedy, gdy dam wyraźny sygnał. Nigdy wcześniej. Przez lata wypracowaliśmy system, który opiera się na tej banalnej zasadzie, że na miejscu zbrodni rządzą wyłącznie ja. Przynajmniej dopóki nie zakończę pobierania wszystkich

dowodów i nie zamknę dokumentacji. To ja zapalam zielone światło dla całej reszty śledczych.

Deryło nie musiał się domyślać, że wśród „całej reszty śledczych” znajdował się również on. Zastanawiał się, czy szef kryminalistyków nie słyszał jego prośby, by się zamknął, czy gadał mimo to. Tym bardziej rozmyślnie go zignorował i zrobił krok w stronę ciała. A potem dwa kolejne.

– Jakby co, zostawię panu odbicia śladów własnych butów – mruknął. – Dzięki temu uniknie pan bałaganu.

– Obejdzcie się. Proszę sobie popatrzeć, śmiało.

Technik czubkiem buta przesunął walizkę ze sprzętem, po czym głośno parsknął. Dał znać podwładnemu, by poszedł za nim. Młodszy kryminalistyk posłusznie, ze zwieszoną głową, podążył za przełożonym, niczym średniowieczny wasal za swoim seniorem. Deryło kompletnie to zlekceważył i nie zwrócił uwagi na uśmiezek aspiranta Adamskiego. Tym bardziej że ten rozwiął się momentalnie, gdy wzrok policjanta ponownie padł w okolice zwłok. Deryło przykucnął ponad metr od niego.

– Zidentyfikowana? – zapytał, nie odwracając się.

– Jeszcze nie.

– Przeszukana?

– Ciało nie zostało ruszone choćby o milimetr. Takie mamy wytyczne.

Komisarz kiwnął głową. Zagryzł usta i bacznie lustrował leżące na boku zwłoki. Przypatrywał się im niczym naukowiec badający pod mikroskopem próbkę w laboratorium. Przesuwał wzrok powoli, niejednokrotnie ponownie wpatrując się w miejsce sprzed chwili. Oddychał przy tym bardzo powoli i głęboko. Jego potężna klatka piersiowa wydymała się i opadała jak miech kowalski.

Bez wątplenia ciało należało do kobiety. Choć jej głowa była zwrócona do ściany, przez co nie mógł widzieć jej twarzy, szerokie biodra, okrągła pupa i krój jeansów jednoznacznie pozwalały ocenić płeć. Długie kasztanowe włosy mieniły się w świetle reflektora, a kilka

kosmyków było sklejonych krwią. Ciemnobordowe, niemal czarne krople widoczne były również na drewnianej podłodze. Zapewne techników czekało zdzieranie deski po desce, gdyż zacieki spływały w szpary pomiędzy nimi. Staranność wymagała sprawdzenia tego, co kryje się pod spodem. Komisarz, uświadomiwszy sobie, jak wiele pracy jeszcze czeka kryminalistyków, poczuł wyrzuty sumienia, że potraktował ich tak cierpko. Ta myśl jednak znikła jeszcze szybciej, niż się pojawiła. Ciąg skojarzeń przywołał go do meritum.

Kobieta zdawała się kompletnie ubrana, więc potencjalnie w grę nie wchodziły motywy seksualne. Oczywiście był to jedynie pośpiesznie wyciągnięty wniosek, ale na potrzeby robocze miał swoje uzasadnienie.

– Niech pan ją obejdzie – rzucił aspirant Adamski. – Proszę spojrzeć na jej twarz...

Ostatnie słowa policjant wypowiedział niemal na bezdechu. Głośno przełknął ślinę i odkaszlnął. Deryło z zaintrygowaniem przechylił głowę. Z tej perspektywy rzeczywiście nie mógł dostrzec ani kawałka twarzy kobiety.

Podniósł się z klęczek, a podłoga cicho jęknęła. Ostrożnie przeszedł obok reflektora kryminalistyków i stanął plecami do okna. Powoli powiódł wzrokiem po zwłokach.

– Widział pan coś takiego?

Pytanie aspiranta wybrzmiało w momencie, gdy jego spojrzenie padło na twarz kobiety.

6

Fale delikatnie chlupotały. Morze obmywało piaszczystą plażę i cofało się ku granatowym czeluściom. Kilkanaście metrów dalej wznosił się klif grożący obsunięciem. U jego podnóża leżały oberwane głazy, po

które zachłannie starało się sięgnąć morze. Skarpa nie była wysoka, mierzyła pięć lub sześć metrów, lecz wznosiła się niemal całkowicie pionowo. To na jej skraju, wśród pogiętych, chylących się ku upadkowi sosen, stało Zło.

W oddali między drzewami błyskało światło stroboskopów. Wiejący od morza wiatr rozwiewał niosące się z oddali głosy. Mimo to Zło starało się nasłuchiwać. Wyłapywało słowo oraz strzępki zdań. Nie uśmiechało się, lecz było całkowicie, śmiertelnie poważne.

Czy ich tam – myślało – naprawdę można nazwać tymi dobrymi? A może to największa pomyłka i dowcip tego świata? W końcu nie istniało coś takiego jak uniwersalne dobro. Wiedzieli o tym filozofowie oraz psychologowie. Wiedzieli też logicznie myślący teologowie. Musiał wiedzieć o tym każdy, kto się nad tym kiedykolwiek zastanowił.

Zabicie człowieka nie musi być złem. Przecież już od pradawnych czasów, od zarania ludzkości, mordy mogły być chwalebne. Składano ofiary, puszono się zamordowanymi wrogami, pożerano fragmenty ludzkich ciał, by przeżyć, tworzone z nich nawet amulety i trofea. Różniły się tylko motywacje. Dlaczego jedne z biegiem stuleci uznano za bardziej szlachetne lub po prostu lepsze od innych? Odpowiedź była bardzo prosta. Tylko dlatego, że jakimś demokratycznym głosem ludu stworzono katalog grzechów. A demokracja to dopiero było zło.

Każda cywilizacja kierowała się swoimi kodeksami moralnymi. W starożytnej Sparcie umiejętną kradzież uważano za powód do dumy, muzułmanie praktykowali wielożeństwo, cudzołóstwo i politeizm również godziły w judeochrześcijański dekalog istniejący na ogromnych połaciach wszystkich kontynentów. Nawet moralna ocena zabójstwa stanowiła kwestię perspektywy. Obrona konieczna często znajdowała aplauz mas. Podobnie lincze w małych społecznościach. A zabójstwa na wojnie? A wykonanie wyroku śmierci? Form pozbawienia życia drugiego człowieka było wiele. Dlaczego miano potępiać morderstwo dokonane dla własnej rozkoszy? Dla czystej przyjemności, tak jak dla czystej przyjemności bierze się kąpiel w lodowatym morzu.

Wszystko jest wyłącznie kwestią perspektywy. A jedyną właściwą perspektywą jest perspektywa własnych żądz, instynktów oraz zachcianek. Każda inna stanowiła wypaczenie wymuszone interakcją społeczną. Prawdziwa wolność dawała prawo do mordowania, choćby cholerni etycy starali się dowodzić coś przeciwnego. A wolność to szczyt człowieczeństwa, jego najwyższa, najbardziej pożądana forma.

Zło było wolne. Choć skoro nie ma uniwersalnego dobra, być może obrzydliwością i nadużyciem było nazywanie zła złem. Ot, kolejna kwestia perspektyw.

Tym razem Zło się uśmiechnęło. Mogli je nazywać, jak tylko pragnęli. A ono zrobi z nimi, co tylko zapragnie. Z każdym z nich.

I z Was.

7

– Jasna cholera.

Deryło zmrużył oczy i mimowolnie zaklął. Zrobił pół kroku w stronę zwłok, lecz zaraz się zatrzymał. Nie zamierzał utrudniać pracy technikom, a tym bardziej sobie. Skoro został już wciągnięty w śledztwo, spodziewał się, że nie uda mu się zbyt łatwo wywinąć. Było za późno.

– Jasna cholera – powtórzył dobitnie.

W miejscu twarzy kobiety widać było krwawą czerwoną papkę tkanki, ciemniejszych żyłek oraz przebijającej szarawej bieli kości policzkowych, oczodołów oraz nosa. Fragment chrząstki sterczał niczym ohydna dekoracja sponad dwóch zionących ciemnością dziur nozdrzy. Reakcje policjantów i nerwowość techników były całkowicie uzasadnione. Skóra została ponacinana na całej twarzy kobiety, po czym ściągnięto ją z niej niczym w trakcie sekcji. Cięcie poprowadzono wzdłuż linii podbródka oraz zuchwy. Szyję nacięto na tyle szeroko, że

przez powstały otwór morderca wyciągnął język. Wyglądało to niczym upiorne dzieło pseudosztuki albo eksperymentu medycznego. Kawał fioletowoszarego narządu przypominał podpsute mięso rzucone na ladę chłodniczą.

– Oskórowano ją, kiedy jeszcze żyła – wycedził Deryło. – Choć taki ból trudno wytrzymać.

Świadczyły o tym ślady krwi, która musiała obficie płynąć w trakcie tego makabrycznego zabiegu. W poprzedniej pozycji komisarz dostrzegł jedynie jej pojedyncze krople oraz rozbryzgi sklejące włosy ofiary. Zgrywało się to w spójny obraz. Kobieta musiała zostać zamordowana w pozycji leżącej, a potem nieco obmyta.

– Zupełnie jak ofiara rytualna – ciągnął pod nosem. – Jak cielec albo inne cholerstwo...

Głęboko nabrał powietrza i się wyprostował. W oczodołach zamordowanej nadal tkwiły gałki oczne. Wyglądały niczym pokryte krwawą pajęczyną piłeczki pingpongowe. Obrazu jatki dopełniały odsłonięte białe zęby, do których poprzyklejały się kawałki tkanki, jakby kobieta jako ostatni posiłek spożyła fragmenty własnego ciała. Sprawca bowiem usunął skórę w taki sposób, że wyciął niemal całe wargi ofiary.

Deryło usłyszał za sobą chrząknięcie, a potem szmer kroków. Aspirant Adamski w ten sposób ukradkowo przypominał o swojej obecności.

– Po co to? – wypowiedziane przez niego pytanie nie pozostawiało wątpliwości, czego dotyczy. – Morderca chce zrobić sobie maskę jak ci wariaci z popieprzonych horrorów klasy C?

– Może.

Odpowiedź Deryły nie mogła nikogo zadowolić. Adamski ponownie chrząknął.

– Spotkał się pan z czymś takim? Nie wygląda to dobrze, no nie?

– Na jaką odpowiedź pan liczy, aspirancie? Chyba nie oczekuje pan pocieszenia?

Komisarz przytknął czubki palców do skroni i delikatnie je rozmasował. Miał złe przeczucie co do tego, co czeka go za chwilę. Jak dotąd rozejrzał się bacznie dokoła siebie, ale jeszcze nie spoglądał w górę. Podświadomość od początku nakazywała mu właśnie ten kierunek zostawić na koniec. *Crème de la crème* oględzin tego ponurego miejsca. Powoli podniósł wzrok i wówczas przebiegł go nieprzyjemny dreszcz. Jakby czyjaś lodowata dłoń dotknęła jego karku.

Była to dłoń samej Śmierci.

8

Deryło usłyszał za sobą tupot kroków, a potem odgłosy wymiotów. Aspirant Adamski najwyraźniej nie powstrzymał torsji. Na jego miejscu w pomieszczeniu ponownie pojawił się ponury szef kryminalistyków. Wzrok technika podążył za spojrzeniem komisarza i wówczas z jego ust dobył się szereg przekleństw. Wszystkie wypowiedziane cicho, szeptem, jakby w obliczu tego odkrycia mówienie głośno przełamywało jakieś tabu.

Tuż pod belkowanym stropem pomieszczenia zawieszono prosty stelaż. Wykonano go z kilku listewek, na które napięto płótno. Dopiero po chwili do świadomości patrzącego docierało, że owo płótno było skórą zdjętą z twarzy zamordowanej kobiety. Miała żółtowoskowy kolor i widniały na niej ślady krwi. Kilka nieregularnych, poszarpanych otworów nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Były to miejsca oczodołów, nosa oraz ust. Można było dostrzec brwi i fragment jednej z powiek wraz ze sklejonymi krwią rzęsami. Z czoła zwieszały się pojedyncze wycięte włosy, które przypominały poskręcane nitki.

– Przepraszam... Ja pierdolę. Co za popieprzeniec... Nie spodziewałem się tego...

Adamski wyrósł obok techników jak spod ziemi, tuż za plecami Deryły. Komisarz machnął ręką, przerywając jego wywód.

– Nikt się tego nie spodziewał.

– Sądzi pan, że...

– Że to jej skóra? – wtrącił się szef kryminalistyków. – A co to niby miałyby być innego? Od razu widać, że pasuje jak ulał.

Adamski głośno zakaszlał i przysłonił usta dłonią.

– To tylko skóra – ponuro skwitował Deryło. – Tak samo martwa jak torebka, saszetka albo buty na pańskich stopach.

– Tyle że ludzka...

Komisarz wzruszył ramionami.

– Skóra. Dowód. Tak powinniście do tego podchodzić.

– Przepraszam, ale dla mnie to przede wszystkim ludzkie szczątki – mówiąc to, aspirant co chwilę zawieszał głos, by nabrać powietrza. – I do licha, jak zwyrodniałym trzeba być, żeby zrobić coś takiego? Po co to zrobił?

Deryło ani na moment nie opuścił głowy, wciąż jak urzeczony wpatrując się w makabryczną instalację. Wreszcie zamrugał i przesunął się o pół kroku, by spojrzeć na nią z nieco innego kąta. Dobrze wiedział, że wszystko, ale to absolutnie wszystko, mogło być istotne dla rozwoju śledztwa.

– Kompletne szaleństwo – mruknął kryminalistyk. – Nie sądzę, by można było znaleźć proste wytłumaczenie.

– Nie? – Deryło sarknął, nawet na niego nie zerkając. – Czasem można się zdziwić.

– Liczymy, że ma pan jakieś teorie.

– Owszem. Choćby taką, że ludzie pragną zmieniać twarze. Wówczas metaforycznie linieją jak jaszczurki, a jaszczurki to przecież najbardziej klasyczny znak zła.

Adamski z podziwem łypnął na komisarza.

– Jak pan na to wpadł?

Deryło cicho się zaśmiał i w końcu opuścił głowę. Spojrzał z pogardą najpierw na technika, a potem na aspiranta.

– Nie wiem, trochę ściemniam. Chcecie, żebym wam wszystko powiedział już teraz? – Klasnął i rozłożył ręce. – Nie jestem cudotwórcą. Jeśli go chcecie, dzwońcie pod inny numer, a mnie pozwólcie wrócić na plażę.

Po tych słowach Deryły w pomieszczeniu zapadła martwa cisza.

9

Citroën spisał się na medal. Jakimś cudem nie rozkraczył się w drodze, klimatyzacja ręczna – czyli uchylone okna – szybko schłodziła wnętrze, a nawet tajemnicze jęki dobiegające niegdyś spod auta całkowicie ucichły. Mogła to być jedynie cisza przed burzą, lecz Deryło starał się być jak najlepszej myśli.

Komenda wykazała się nadzwyczajną hojnością i przedłużyła mu pobyt nad morzem, lecz w ośrodku położonym bliżej miejsca zbrodni niż jego dotychczasowy. Był to czterogwiazdkowy hotel o długiej anglojęzycznej nazwie zakończonej luksusowo brzmiącym dodatkiem „Voyage”. Komisarz kompletnie nie rozumiał, dlaczego w Polsce nie używano języka polskiego, a nazwy zagraniczne zyskiwały nimb ekskluzywności.

W miejscowości, do której wjechał, znajdowało się także osiedle o wyjątkowej nazwie Baltic Resort. Deryło jak przez mgłę pamiętał, że przed dwoma lub trzema laty na jego terenie doszło do tajemniczej zbrodni opisanej później przez jakiegoś pisarzynę o nazwisku równie egzotycznie brzmiącym jak nazwa osiedla. Cóż, teraz nie było czasu się nad tym rozwodzić.

Przed oczami komisarza wciąż przewijały się zwłoki kobiety z oskórowaną twarzą oraz makabryczna instalacja zamontowana pod sufitem pustostanu. Gdy wjechał w ciasne uliczki kurortu, zmusił się, by skupić uwagę na prowadzeniu. Podążał powoli, wzdłuż bulwaru,

przy którym ciągnął się szereg sklepów i restauracji. Mimo późnej pory większość z nich była otwarta, a wokół wręcz przewalały się tłumy spacerowiczów. Ludzie żyli i bawili się, nie myśląc o śmierci. I nie było w tym niczego złego.

Deryło wreszcie dostrzegł neon swojego nowego hotelu i drogowskaz kierujący na prywatny strzeżony parking. Cała eskapada trwała tak długo, gdyż po powrocie z miejsca zbrodni komisarz wrócił jeszcze po swoje rzeczy i zdecydował o całkowitej przeprowadzce do nowego miejsca. Nie miał pojęcia, jak długo potrwa śledztwo ani na jakich zasadach ma w nim uczestniczyć. Wolał jednak zaoszczędzić sobie czasu na późniejszych podróżach, nawet gdyby miał przedłużyć tutejszy pobyt już na własną rękę.

Wysiadł z citroëna i się przeciągnął. Wziął elegancką skórzaną walizkę, po czym skierował się ku drzwiom wejściowym. W tym samym momencie mocny powiew wiatru przetoczył się po okolicy. Zagrzechotała toczona po bruku butelka i trzasnęło jakieś okno. W oddali głucho zadudnił grzmot.

– No to pięknie. – Deryło zatrzymał się w pół kroku, zastanawiając się, czy wziąć z auta parasolkę. Zarzucił ten pomysł i zrezygnowany ruszył do hotelu. – *Bonjour* – rzucił na przywitanie recepcjoniście. – Mówicie tu po polsku?

Wyprostowany jak struna siwy mężczyzna obrzucił go badawczym spojrzeniem. Nie podłapał żartu, lecz dygnąwszy, wyciągnął kartę meldunkową. Drętym tonem objaśnił komisarzowi, gdzie znajdują się restauracja, basen oraz sauna.

– Koszt pobytu został pokryty – wyjaśnił, po czym dodał: – Jednak nie wykupiono panu parkingu.

Deryło bez słowa wziął kartę do pokoju i skierował się ku schodom. Nie zamierzał korzystać z windy. Irytował go fakt, że już niemal nigdzie nie stosuje się klasycznych kluczy do drzwi. Karty nie dość, że wiecznie się rozmagnesowywały, to jeszcze nie miały żadnej estetyki. Kawałek plastiku z kiczowatym logo hotelu oraz kodem kreskowym wyglądał równie atrakcyjnie jak jego karta kredytowa.

Gdy wreszcie wszedł na piętro, wiatr ponownie zawył w lufcikach okien. Coś niedaleko spadło na ziemię i rozbiło się z głośnym trzaskiem. To wszystko były złe znaki. Tak złe jak na przykład stłuczenie lustra. Komisarz w parszywym nastroju przyłożył kartę do czytnika i otworzył drzwi pokoju. Nie miał pojęcia, czego może się spodziewać choćby tu, za progiem.

DZIEŃ NASTĘPNY

10

Citroën mknął z ogromną prędkością. Silnik wzbijał się na najwyższe obroty, coś cicho powarkowało, a zawieszenie żałośnie jęczało na nierównościach. Pęd powietrza napierał na przednią szybę, na której pojawiła się nitka pęknięcia. Deryło obserwował, jak się powiększa z sekundy na sekundę, wreszcie jak przecina niemal całą szklaną tafłę na pół. Chwycił mocniej kierownicę, lecz właśnie wtedy rozległ się brzęk. Pod naporem wiatru szyba rozsypała się na drobne kawałki. Auto wypadło z drogi, mknąc prosto ku linii drzew.

Komisarz zamknął oczy i uniósł dłoń, by osłonić twarz od poranienia. Gwałtownie się poruszył. Odwrócił głowę, choć wiedział, że nie uda mu się uratować. Wstrzymał oddech i...

Zamrugnął. Przez chwilę nie miał pojęcia, co się stało. Orientacja spływała na niego bardzo powoli, pozwalając odtworzyć obraz sytuacji. Rzeczywistość wyłaniała się z oparów senności.

Leżał niemal w poprzek w hotelowym łóżku, na zmierzwionej kołdrze i z poduszką gdzieś na wysokości brzucha. Ciężko oddychał. Zerknął na cyfrowy zegar stojący na szafce nocnej i odczytał godzinę. Minęła już szósta.

– Cholerny koszmar... – wymamrotał, chcąc usłyszeć własny głos. – Niech to szlag.

Zerwał się na równe nogi i wziął lodowaty prysznic. Starannie się ogolił, a następnie, całkowicie rozbudzony, zszedł do hotelowej restauracji na śniadanie. Mimo ogromnego wyboru dań zjadł to, co zawsze – rozkrojoną na pół bułkę z dżemem oraz drugą połówkę z miodem. Popił ją podwójnym espresso, które od lat stanowiło rytuał, choć nie przekładało się już na żadną reakcję organizmu. Na pewno od dawna nie dodawało mu kopa. A może nie dodawało mu go nigdy.

Zerknął za okno restauracji i przypomniał sobie zbierającą się w nocy nawałnicę. Chyba obyło się bez deszczu, na chodnikach nie było żadnych kałuż, ale zapewne właśnie przez wiatr miał te okropne koszmary. Wszędzie poniewierały się połamane gałęzie i powywiewane z kubłów śmieci. Na dworze panował jednak nadal potworny zaduch. Niedoszła burza jeszcze podkreśliła wilgotność powietrza, a mimo wczesnej pory temperatura zapewne ocierała się już teraz o dwadzieścia pięć stopni.

Deryło pośpiesznie skierował się do stojącego na parkingu auta, lecz nagle się zatrzymał. Spojrzał na cyferblat starego tissota. Zegarek wskazywał siedemnaście po ósmej. Gdyby nie był na urlopie, już od godziny siedziałby w komendzie, zatopiony w porannej papierologii. Tyle że choć formalnie odpoczywał, czekała na niego robota. Przynajmniej mógł zacząć dzień bez raportów oraz odpraw. Trochę jak wolny strzelec albo amerykański detektyw, których praca choć z perspektywy filmowej niegdyś wydawała mu się tak atrakcyjna. Teraz już nie miał złudzeń.

Wsiadł do citroëna i uruchomił silnik. Przezornie upewnił się, że na szybie nigdzie nie widać żadnych pęknięć ani rys. Dotknął jej nawet opuszkami palców, po czym, ukontentowany pozytywnym wynikiem tego badania, wygodnie rozsiadł się w fotelu. Wiedział, dokąd musi się udać. I choć jakaś jego część pragnęłaby teraz zanurzyć się w morzu albo wylegiwać na plaży, w głębi duszy był zadowolony. Wysilek umysłowy oraz fizyczny zabijały złe myśli. Choć miał do czynienia z jakimś pochrzanionym wynaturzeniem człowieka, jego umysł zaczynał pracować na normalnych obrotach. W głowie przewinął mu

się obraz wyciętej skóry z otworami na oczy, usta i nos. Skrzywił się na samo wyobrażenie tego, co przeżyła ofiara sadysty.

– Dorwę sukinsyna – wycedził, po czym się poprawił: – Dorwę cię.

Z tym postanowieniem wrzucił bieg i dodał gazu. Nie skierował się bynajmniej w stronę komendy. Ruszył w zupełnie przeciwnym kierunku.

11

– Właśnie skończyliśmy. Może się pan rządzić po swojemu.

Deryło spojrzał spode łba na szefa kryminalistyków. Mężczyzna był już ubrany po cywilnemu, miał podkrążone oczy oraz ziemistą twarz. Nie sprawiał wrażenia tak energicznego i zadziornego jak poprzedniego dnia, choć nadal był gotów na konfrontację. Puścił komisarzowi oko, po czym wymownie uniósł metalową walizkę.

– Na raport trzeba będzie poczekać – mruknął. – Choć prawdę mówiąc, nie liczyłbym na żadne fajerwerki. Nie mamy zbyt wielu śladów.

– Zamordował ją w pomieszczeniu, w którym znaleziono ciało? Zdarliście podłogę?

– A jak pan myśli, co robiliśmy przez ostatnie dwanaście godzin?

– Pływaliście? Ponoć jest tu całkiem niezła plaża.

Deryło przeszedł obok technika i uniósł taśmę policyjną. Kiedy zbliżył się do drzwi budynku, kryminalistyk głośno sapnął.

– Pod podłogą było mnóstwo krwi, ale wszystko wokół zostało polane jakimś detergentem – wyjaśnił. – Substancja organiczna w znacznej mierze została po prostu wyzarta. Obstawiałbym, że ten świr zabił ją na jakimś materacu albo na czymś podobnym, a potem ułożył ciało bezpośrednio na wyszorowanej podłodze. Ale więcej wyjaśni autopsja.

– Dziękuję.

– Co, proszę? Nie słyszałem.

– Dziękuję – powtórzył komisarz. – Wiem, że może być pan obrażony po wczorajszym, ale nie przyjechałem tu prowadzić wojenek. Dziś jestem w lepszym nastroju.

– Za to ja nie.

– Wczoraj zepsuto mi dzień, a panu noc...

Technik parsknął i skierował się do stojącej nieopodal furgonetki. W środku już siedział jego podwładny. Chwilę później pojazd odjechał i Deryło został na miejscu zbrodni sam. Nie było już śladu po policjantach, ekipach dochodzeniowych oraz wszelkich innych służbach. Pozostały jedynie taśmy, naderwana plomba na drzwiach oraz tabliczka z pieczętkami oraz napisaną wielkimi literami informacją o zakazie wstępu. Skoro na straży nie wystawiono żadnego funkcjonariusza, technicy musieli z pełną stanowczością orzec zakończenie swojej pracy.

Deryło odwrócił się i powoli uchylił drzwi do budynku. Wciągnął zapach wilgotnego drewna oraz morza. Nie wyczuwał jakiegokolwiek aromatu środków czyszczących. Przez chwilę stał w progu, wreszcie wszedł do środka.

Jak zawsze, gdy po raz kolejny znajdował się na miejscu zbrodni, uderzył go brak ciała. W sposób oczywisty zwłoki zazwyczaj stanowią centralny element scenerii, przez co gdy były zabierane miewał niemal namacalne poczucie pustki. Ostateczny dowód śmierci i przemijania. Tym bardziej że w miejscu, gdzie leżała kobieta, zdarto podłogę i odsłonięto betonowy fundament poprzecinany żebrowaniem legarów. Tabliczki dowodowe zostały już stamtąd zabrane.

Komisarz z trudem przeniósł wzrok na ścianę, a potem w przeciwny kąt pomieszczenia. Miało ono nie więcej niż trzydzieści metrów kwadratowych oraz około dwóch i pół metra wysokości. Przez niski strop odnosiło się wrażenie klaustrofobicznej ciasnoty. Aż dziwne, że poprzedniego dnia zawieszona tuż pod sufitem skóra nie została dostrzeżona wcześniej. Deryło łypnął w miejsce, gdzie przyczepiony był upiorny stelaż. Teraz w jego miejscu widniała

papierowa tabliczka z przyczepionym taśmą klejącą numerem. Pozostała jako jedna z niewielu w całym pomieszczeniu.

Deryło zastygł w bezruchu. Miał zadartą głowę, lekko rozwarte usta i szeroko otwarte oczy. Oddychał bardzo powoli. Drgnął dopiero, gdy poczuł w kieszeni spodni wibrację. Poprzedniego wieczoru wyciszył dzwonki, a od rana nawet nie zerknął na komórkę. Tym razem również zlekceważył nadchodzące połączenie. Coś całkowicie innego przykuło jego uwagę i wymagało pilnego sprawdzenia.

12

– Pieprz się, dupku.

Amelia Darska wypowiedziała te słowa po tym, jak upewniła się, że zakończyła połączenie. Dzwonił jeden z jej stałych klientów, właściciel kilkunastu nieruchomości, które sprzedawał, wynajmował lub Bóg jeden wie, co z nimi robił. Darska pośredniczyła przy paru intratnych transakcjach, lecz klient wciąż miewał jakieś pretensje. Skoro wynajął najbardziej prestiżowe biuro nieruchomości na Pomorzu, uważał, że jego szefowa rozwiąże wszelkie problemy, począwszy od zwalonego drzewa na terenie jednej z posiadłości po inwazję mrówek w innej. Darska cierpliwie go wysłuchiwała, zbywała półsłówkami, a potem zapewniała, że coś na to poradzi. Kompleksowa obsługa w końcu zapewniała wyborną reputację jej firmie. Żałowała tylko, że przy transakcjach nie pośredniczył żaden z jej pracowników. Choć w tym przypadku chyba nikomu nie byłaby w stanie zaufać.

Ledwie schowała telefon do kieszeni, a znów poczuła wibrację. Błyskawicznie odebrała. Była już osiemnasta i powinna mieć to w nosie. Problem polegał na tym, że nie miała.

– Halo? Amelia Darska, Biuro Nieruchomości Prestige...

– Dzień dobry, dzwonię w sprawie pozycjonowania państwa strony w...

– Chrzań się.

Tym razem Darska rozłączyła się już po powiedzeniu tych słów. Od kilku dni nękał ją jakiś człowiek dopytujący się o możliwości pozycjonowania ich witryny. Nie rozumiał, że ona się tym nie zajmuje, a z efektów działania dotychczasowych współpracowników jest całkowicie zadowolona. Klientów mieli aż zbyt wielu. I tak zastanawiała się nad zatrudnieniem nowych agentów oraz zmianą siedziby.

Schowała telefon do kieszeni i odetchnęła. Maszerowała w stronę parkingu bulwarem jednej z turystycznych miejscowości na wybrzeżu. Po lewej rozciągały się plaże, na których wylegiwali się turyści. Morze było wzburzone i pływały jedynie pojedyncze osoby. Zdecydowana większość amatorów wody brodziła tuż przy brzegu.

Głośne podwójne piknięcie oznajmiło, że Darska dostała maila na główną skrzynkę pocztową. Nim przeszła sto metrów, rozległy się jeszcze dwa sygnały informujące o nadejściu esemesów.

„Pozycjonowanie strony” – pomyślała. „Jeszcze czego... Powinno się zgłosić go do prokuratury za nękanie. Jeśli zadzwoni ponownie, zrobię to jak nic”.

Powstrzymała się przed sięgnięciem do kieszeni i założyła za ucho pukiel długich blond włosów. Była zgrabną trzydziestotrzyletnią kobietą, która potrafiła wykorzystać swoje walory. Obcisłe, niemal białe jeansy, biała koszula z dużym dekoltem obszytym koronkowym żabotem, czarny pasek podkreślający jej talię. Do tego czerwone szpilki, których obcasy wystukiwały rytm jej kroków.

– Halo, proszę pani!

Darska nawet nie zwróciła uwagi na osobę, która podeszła w jej stronę z plikiem kartek oraz tekturową teczką.

– Przeprowadzam ankietę, chciałbym...

– Nie mam czasu.

– To tylko jedno pytanie. Jedno jedyne!

– Nie mam czasu.

Powtórzona odpowiedź brzmiała oschle i nerwowo. Ankieter nie zamierzał jednak odpuścić.

– Czy wierzy pani w duchy? – dopytał, zrównując się z Darską krokiem.

– Pieprz się, człowieku – fuknęła kobieta. Nagle ułała się z niej cała złość i kolejne słowa wyrzuciła jednym tchem: – Nie wierzę w żadne duchy. Mam je w dupie. Rozumiesz? Możesz to napisać na tej swojej cholерnej kartce. „Ma w dupie duchy”. Chyba nie muszę ci tego więcej powtarzać?

Nie musiała. Ankieter całkowicie zmieszany jej tonem podążył w przeciwnym kierunku. Darska z irytacją pokręciła głową i weszła w uliczkę, gdzie mieścił się parking. Marzyła o zimnym białym winie. Nie interesowały ją żadne duchy, gdyż jej uwagę wystarczająco absorbowali żyjący. Jednych i drugich miała po dziurki w nosie.

13

Ostatnie połączenie pochodziło od Sofii Dmitris. Dokooptowana przed paroma miesiącami do wydziału Deryły policjantka według jego przełożonych miała zastąpić Tamarę Haler. Choć komisarz cenił jej intelekt, zdolności organizacyjne oraz poczucie humoru, nie potrafił nawiązać z nią bliższej relacji. Nawet jeżeli miała to być relacja stricte zawodowa. Zdawał sobie sprawę, że bierze na siebie więcej obowiązków lub znowuż całkowicie je ceduje na innych, byle tylko uniknąć jak największej liczby pól do współpracy. Jednocześnie w mającej macedońskie korzenie kobiecie coś go intrygowało. Analizował niewielką bliznę pod jej lewym okiem, zdjęcie dziecka na tapecie telefonu, czasem nieudolnie zamaskowane zaczerwienione oczy. Jego logiczny, żądny informacji umysł domagał się odpowiedzi

w miejscu stawianych pytań. Tym razem Dmitris nie mogła mu udzielić żadnej z nich.

Wyciągnął z kieszeni marynarki wizytówkę, którą wczoraj wręczył mu aspirant Adamski, po czym wybrał jego numer telefonu. Policjant odebrał niemal od razu.

– Wiem, że jest pan na miejscu – odezwał się, nie kryjąc dumy. – Już mi o tym doniesiono.

– Mogłem się tego spodziewać. Macie tu na Pomorzu szczególne upodobanie do konfidentów.

Aspirant zlekceważył ten przytyk.

– Czy ma pan jakąś koncepcję?

– W sensie... pyta mnie pan, czy mam pomysł, jak ująć mordercę? – Deryło parsknął. – Nie. Mówiłem, że nie jestem jasnowidzem, ale zbieram dane. Rozumie pan? Informacja dodana do informacji tworzy obraz sprawy, a gdy ten jest dość trójwymiarowy i przyjrzymy mu się z wszystkich stron, gdzieś w tle możemy dostrzec sprawcę.

– Podoba mi się ta metafora. Powinienem ją zapisać.

Deryło pomyślał, że Haler, słysząc te słowa, przewróciłaby oczami. Na jej wspomnienie poczuł ukłucie gdzieś w żołądku. Oparł się o futrynę pustostanu i mocniej przyłożył telefon do ucha. Starał się pozostać spokojny i opanowany. Nie było potrzeby wyzywać się na Boga ducha winnym policjancie. I tak przydzielwszy go do takiej sprawy, przełożeni musieli mieć do niego niezwykle zaufanie.

– Pierwszą informacją, której potrzebuję, jest ta, jakim cudem trafiono na te zwłoki – oznajmił, spoglądając przed siebie, w głąb sosnowego lasu. – To całkowite zadupie, ale nie służy chyba jako noclegownia dla bezdomnych?

W słuchawce zapadła cisza. Następnie Deryło usłyszał stłumiony głos i odchrząknięcie. Aspirant zapewne konsultował odpowiedź z kimś innym.

– Nie – odezwał się po chwili. – Nie mamy żadnych informacji o tym, by nocowali tam bezdomni.

– Moje pytanie skupiało się na czymś zupełnie innym. Na to odpowiedziałem sobie sam.

– Nie rozumiem, czy...

Deryło cicho zaklął.

– Chodziło mi o to, skąd dostaliście informację o zabójstwie.

Aspirant Adamski wypuścił powietrze w mikrofon.

– Ach, tak, dostaliśmy anonimowe zgłoszenie. Sprawdziliśmy już ten trop – dodał pośpiesznie. – Wiadomość wysłano jako esemes z bramki o zmiennym numerze proxy czy jakoś tak. Informatyk ująłby to precyzyjniej, w każdym razie nadawca jest ponoć całkowicie niewykrywalny.

– Dziwne.

– Słucham?

– To dziwne – powtórzył Deryło. Mówił przede wszystkim do siebie, porządkując kolejne informacje. – Zabił tę kobietę na uboczu, a jednocześnie potem chciał, aby jego zbrodnię wykryto... Tyle że sam nie zostawia śladów.

Aspirant entuzjastycznie przytaknął. Mało brakowało, a zaczęłby komisarzowi bić brawo.

– Dlaczego? – zapytał jak uczeń domagający się od mistrza klucza do tajemnicy wszechświata.

Deryło ponownie odwrócił się w stronę wnętrza pomieszczenia. Jeszcze raz omiół wzrokiem zerwaną podłogę oraz strop.

– Chciał mieć czas i pewność, że nikt nie przerwie mu w procesie tworzenia – skwitował zadumany. – Morderca zadziałał jak artysta.

14

– I będzie pan gotów postawić tezę, że to seryjny morderca?

– Nie.

– Nie?

– Nie zamierzam stawiać żadnych tez. – Deryło wyszedł z budynku i zerknął w stronę citroëna. Samochód stał kilkadziesiąt metrów od niego, niemal dokładnie tam, gdzie zatrzymał się wczoraj. Tyle że wokół nie było żadnych innych pojazdów ani ludzi. To nasunęło komisarzowi kolejną myśl. – Czy szukano śladów opon albo informacji o tym, jak morderca się tutaj dostał? Nie widziałem, żeby technicy robili cokolwiek poza samym budynkiem i obrębem paru metrów...

Aspirant Adamski milczał. Nim odpowiedział, upłynęło dobrych kilkanaście sekund i mało brakowało, żeby komisarz w końcu wybuchnął.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Wiem, że niedawno zakończyli pracę, ale nie otrzymałem żadnego raportu... Proszę mi wybaczyć, lecz nie mamy tu doświadczenia w takich sprawach.

– „Takich”?

– No chyba rozumie pan, co mam na myśli...

– A prokurator?

Deryło uświadomił sobie, że poprzedniego dnia nie widział nikogo z prokuratury.

– Prokurator... – Adamski odkaszlnął. – Tak, to człowiek z wieloletnim doświadczeniem. Rozmawiałem z nim rano i to on zwrócił moją uwagę na możliwe inne zbrodnie. Był tym bardzo zaniepokojony, tym bardziej że planuje urlop...

– Czy możemy rozmawiać wprost? – Komisarz skierował się na wąską ścieżkę, na której zdeptano wszelkie ślady. Zaczynał czuć coraz większą irytację. Miał wrażenie, jakby rozmawiał z kompletnym dyletantem.

– Oczywiście, proszę mówić, co tylko pan uważa. I pytać, o co pan chce.

– Jest pan debilem.

Te słowa Deryło wypowiedział na tyle cicho, że aspirant nie mógł go usłyszeć.

– Przepraszam, nie zrozumiałem.

– Wiem.

– Słucham?

Komisarz westchnął. Spoglądał pod nogi, ale nie dostrzegł niczego wartego uwagi.

– Dlaczego prokurator sądzi, że może to być seryjny morderca, a nie indywidualny przypadek?

– No wie pan... Mieliśmy tu zaginięcie. – Adamski cedził słowa, jakby zastanawiał się nad każdym z nich. – Pracownik z Ukrainy, zgłoszony do pracy, znany z rzetelności... A potem przepada. Nie mieliśmy tu nigdy nawet zaginięć.

– Nie pomyśleliście, że wrócił do ojczyzny?

– To również możliwe.

– Ale atrakcyjna wydała się koncepcja, że możemy mieć do czynienia z seryjnym i że to on dopadł tego Ukraińca? – Deryło z niedowierzaniem pokręcił głową. – Kiedy zaginął ten człowiek?

– Sześć dni temu. Nie stawiał się do pracy, choć do tej pory był wzorem punktualności. W Ukrainie w trakcie bombardowania zginęła niemal cała jego rodzina.

– A przy czym pracował?

– Plażowe usługi porządkowe. No wie pan...

Deryło się skrzywił. Sposób wysławiania aspiranta przyprawiał go o mdłości. Miarka się przebierała, choć jednocześnie w tym mężczyźnie było coś tak swojskiego, że trudno było się na niego wściec. Obwinianie go, że całe życie spędził w tej sennej nadmorskiej mieścinie, mijało się z celem. Komisarz zatrzymał się przy Citroënie i oparł o jego maskę. Chciał jeszcze dążyć temat ukraińskiego pracownika, być może jedyny potencjalny trop, ale aspirant odezwał się pierwszy:

– W sumie powinien wiedzieć pan o czymś jeszcze – wymamrotał swoim monotonnym głosem. – To chyba całkiem ważne.

Komisarz nerwowo zabębnił palcami w gruby lakier auta. Mało brakowało, a wymierzyłby policjantowi cios pięścią.

– Zidentyfikowaliśmy ofiarę.

Te słowa sprawiły, że Deryło aż się wyprostował. Zamiast mówić o domysłach prokuratora albo o zaginionym Ukraińcu, aspirant Adamski nie powinien zwlekać z przekazaniem mu tej wiadomości. Tymczasem nauczony doświadczeniem komisarz doskonale wiedział, że tożsamość ofiary może być kluczem do tożsamości sprawcy. Było tak w ogromnej liczbie przypadków. Swego czasu odbył na ten temat ciekawą rozmowę z Orestem Rembertem. Profiler pokusił się o postawienie tezy, że zawsze istnieje jakaś interakcja prowadząca od zamordowanego do zabójcy. Mogło chodzić o wcześniejszą znajomość, o bywanie w tych samych miejscach lub przynależność do tej samej grupy społecznej. Morderstwa całkowicie przypadkowych osób, przynajmniej zdaniem Remberta, praktycznie się nie zdarzały. Mogło tak być w przypadku zamachów terrorystycznych albo tak zwanych zabójstw masowych, lecz nie w przypadku seryjnych morderców. Mogło, co nie znaczyło, że musiało.

Seryjny morderca... – Deryło uświadomił sobie, że sam zaczyna myśleć o poszukiwanym właśnie w ten sposób. Podobne, choćby robocze założenia, bywały jednak mylące. Potrafiły już od początku skierować śledztwo w błędnym kierunku, dlatego najlepiej było jak najdłużej pozostawić *carte blanche*. Co więcej, należało się wystrzegać pochopnych osądów, choć akurat to graniczyło z niemożliwością.

Deryło po raz kolejny zerknął na ekran telefonu. Siedział w kabinie *citroëna* i czekał na mail od aspiranta Adamskiego. Mimo że policjant nalegał, by komisarz przyjechał do komendy, ten zareagował na to wręcz alergicznie. Poprosił o przesłanie wszelkich dokumentów na swoją służbową skrzynkę. Niemal przed rokiem założyła mu ją na telefonie Tamara. To ona nauczyła go też jej obsługi i pokazała, że

rozwój techniki może być przydatny. Wcześniej nie udało się tego osiągnąć nawet jego córce, z którą wymieniał co najwyżej lakoniczne esemesy. Szczytem możliwości było dodanie znaków interpunkcyjnych, a o emotikonach należało całkowicie zapomnieć. Były dla niego równie niezrozumiałe jak rysunki naskalne Indian Navaho.

Tamara. Wiktorja.

Przed pogrążeniem się w ponurych wspomnieniach komisarza uchroniło ciche piknięcie. Sygnał oznajmił, że na skrzynkę pocztową nadeszła pierwsza wiadomość. Po chwili dołączyły kolejne. Deryło czym prędzej zaczął otwierać dokumenty, pośpiesznie zagłębiając się w ich treść.

W zebranych informacjach panował chaos, którego niemal nigdy nie dało się uniknąć na początku śledztwa. Kolejne zbiorcze wiadomości stanowiły kompilację z rozmaitych źródeł.

Deryło niejednokrotnie widział, jak ViSir albo inni jego współpracownicy przeszukują strony internetowe i portale społecznościowe, aby zdobyć jak najbardziej wszechstronny obraz weryfikowanych osób. W tym przypadku dokonano już kilku rozpytań, których treść aspirant zeskanował. Zapewne stanowiły rezultat czynności podjętych przez policjantów z samego rana. Komisarz, gdyby formalnie brał udział w śledztwie, musiałby je zatwierdzić, tymczasem w tej sytuacji wszystko docierało do niego drogą okrężną... Nie miał wpływu ani na kolejność czynności, ani na ich zakres. Policjantom udało się jednak zdobyć kilka konkretów.

Zamordowaną była Izabela Daus, trzydziestoczteroletnia feministka i działaczka kilku lewicowych organizacji.

– Ekoświr... – bąknął Deryło, gdy przeczytał nazwy kolejnych ugrupowań, do których przynależała kobieta. – Albo nawet ekoterrorysta...

Kolejne dokumenty rozbudowywały jej obraz. Daus, wykorzystując rozległą sieć znajomości, lobbowała za ustawą popierającą aborcję aż do chwili zakończenia ciąży, a także za legalną eutanazją. Miała siostrę, która mieszkała w Nowym Sączu i która, zgodnie z adnotacją

sporządzoną na marginesie pisma, została już powiadomiona o ostatnich wydarzeniach.

Komisarz przez dłuższą chwilę przypatrywał się fotografii załączonej do jednej z wiadomości. Przedstawiała ładną brunetkę o dużych błękitnych oczach oraz małym, nieco zadartym nosku. Na wspomnienie, jak teraz wyglądała twarz kobiety, Deryło się skrzywił. Ponownie zajął się lekturą załączników do maili.

Zgodnie z podaną wytłuszczonym drukiem informacją nie były znane żadne konflikty, których stroną mogła być Daus. Oczywiście jak wszystkie osoby zaangażowane w politykę musiała mieć wrogów, lecz nie dotarto do żadnych danych, by kiedykolwiek jej grożono lub choćby wdano się z nią w otwarty konflikt. Najpoważniejszym incydentem z jej udziałem było zakłócenie mszy świętej celebrowanej przez kapłana, który wcześniej nie zgodził się jednoznacznie potępić duchownych uwikłanych w pedofilię. Nie obyło się wówczas bez interwencji kilku patroli, które zapobiegły linczowi. Takie ekscesy mogły mieć miejsce w Berlinie, ale nie w Nowym Sączu. Przynajmniej tak utrzymywał lokalny prałat.

Deryło nagle się poprawił w fotelu i odłożył telefon na kolano. Spojrzał w stronę budynku, gdzie odnaleziono ciało, po czym zagryzł usta. Coś przyszło mu do głowy.

16

Z oczywistych przyczyn samobójstwo nie wchodziło w tej sprawie w grę. Jednak samobójstwo rozszerzone już jak najbardziej, choć wówczas należałoby spodziewać się kolejnego ciała. Mimo wszystko wspomniana wcześniej koncepcja metafory zrzucanej skóry oraz przeobrażenia osobowości już nie wydawała się komisarzowi tak

bardzo głupia. Nawet dostrzegał w niej pozytywne działanie podświadomości.

Usiłował uporządkować informacje, co teraz nie było zbyt trudne. Zamontowanie stelażu wymagało przygotowań. Abstrahując od tego, że oskórowanie twarzy również nie mogło zostać wykonane w ciągu kilku sekund, a – o ile nie myliła go pamięć – cięcia wykonano wyjątkowo precyzyjnie. Niektórzy zapewne stawialiby tezę, że sprawca miał doświadczenie z obróbką mięsa lub skór, lecz Deryło nie zamierzał porwać się na taki wniosek. Skoro tatuażysty mogli ćwiczyć na pomarańczach lub jabłkach, mógł na nich ćwiczyć również morderca. Nigdy nie należało się ograniczać ani zbyt upraszczać kwestii, które wcale nie musiały być proste.

Jednak oczywistym faktem była szczególna staranność sprawcy. Z pewnością nie działał on pod wpływem afektu ani jakiegokolwiek impulsu. W grę wchodziło jedynie wyrachowane, zaplanowane zabójstwo. Świadczyło za tym samo uprowadzenie kobiety, sprowadzenie jej do uprzednio przygotowanej kryjówki, a następnie jej staranne posprzątanie. Deryło nie miał wątpliwości, że w środku pozostało tylko tyle śladów, ile morderca chciał zostawić.

Można było rozważyć motywacje działania sprawcy. To właśnie był punkt wyjścia, który proponowała Haler i który aprobował Orest Rembert. Należało się nad nimi zastanowić. Zdarcie skóry z twarzy mogło mieć na celu upokorzenie ofiary, pozbawienie jej cech człowieczeństwa, ale przecież morderca na tym nie poprzestał. Stworzył instalację, która stawała się widoczna dopiero, gdy zadarło się głowę. Ku sufitowi albo metaforycznemu niebu.

Czy ten szaleniec uważał, że tworzy boskie dzieło sztuki? Miał się za samego Boga albo boskiego wysłannika, który ma uczynić sobie Ziemię poddaną? Który niczym Michał Anioł wykuwał nowe, lepsze formy z materii, jaka już istniała?

Nie. Choć psychologicznie wydawało się to Deryle w miarę spójne, lecz coś mu nie grało. Jakiś istotny szczegół nadal pozostawał na orbicie świadomości.

Rozejrzał się i przeszedł przez główny bulwar. Samochody stały na nim w popołudniowym sznurze skierowanym ku plaży. Przed godziną komisarz powrócił do miejscowości i starał się zebrać myśli. Nadal nie zaangażowano go do formalnego udziału w śledztwie, choć aspirant przesyłał mu na bieżąco większość dokumentów. Cudowna była perspektywa rozłożenia się nad morzem i przemyślenia wszystkiego podczas wpatrywania się w fale, zamiast siedzieć w czterech ścianach gabinetu. Choćby ten miał najwspanialszy widok na lubelską starówkę albo starówkę jakiegokolwiek pięknego miasta.

„Artyści również chcą pokazać dopiero skończone dzieło...” – Deryło powrócił do swojego wyводу. „Proces twórczy bywa niemal intymny. Choć z drugiej strony sztuka mogła stanowić doskonałą zmyłkę. Ślepą uliczkę, w którą usiłował skierować ich morderca”.

A gdyby tak chodziło o znacznie bardziej trywialną pobudkę? Zemstę za coś? Albo motywację czysto polityczną? W końcu każdą sprawę należało analizować przede wszystkim z perspektywy ofiary. Ta z pewnością nie była nijaka i mogła mieć wrogów. Nawet jeśli ci wcześniej się nie ujawnili.

Komisarz skierował się ku wąskiemu przejściu prowadzącemu na plażę. Minął przytulającą się parę i zwolnił kroku ze względu na grupkę młodzieży taszczącą parasole oraz parawany. W tym momencie ktoś chwycił go za ramię. Nim zdołał się odwrócić, poczuł szturchnięcie w plecy. Jakby ktoś przyłożył mu do nich lufę pistoletu.

Zamiast strzału nastąpił wybuch śmiechu. Gdy Deryło spojrział przez ramię, dostrzegł smukłą czterdziestkokilkulatkę ubraną w granatowy zakiet oraz białe marynarskie spodnie. Kobieta szeroko się uśmiechała. Miała duże, ciemne oczy, mocny nos, mięsiste usta

i sięgające ramion kręcone włosy. Nad uchem błyszcząca złota elegancka wsuwka w kształcie trójzębu Neptuna.

– Sofia... – Komisarz z dezaprobatą pokręcił głową. – Co ty tu robisz?

Sofia Dmitris, podwładna Deryły, wzruszyła ramionami. Puściła do niego oko.

– Mogłabym cię zastrzelić. Nie zauważyłeś mnie aż do ostatniej chwili.

– Wysłali cię, żebyś urządziła mi szkolenie z czujności?

– Raczej sama zgłosiłam się, że ci pomogę. W nocy dostałam wiadomość o tym, że współpracujesz przy tej sprawie, a jak wiesz, mam swoje źródła w całym kraju...

– I zgodzili się? Ot tak? – zdziwił się komisarz. – To chyba jakieś nowe, dzikie praktyki. Zaczynamy funkcjonować jak agencje detektywistyczne z dziewiętnastego wieku albo jak...

Dmitris weszła mu w słowo.

– Nie zgodzili się. Przynajmniej oficjalnie. Dlatego wzięłam urlop.

– Co takiego? Chcesz mi powiedzieć, że wzięłaś wolne, żeby mieć możliwość pójść do roboty?

– Raczej pojechać. – Sofia po raz kolejny puściła mu oko i delikatnie pchnęła w stronę plaży. Stali na środku, blokując przejście. – Cała trasa zajęła mi niecałe siedem godzin.

– Jesteś...

Deryło nie dokończył. Zerknął na nią z mieszaniną podziwu, zaskoczenia oraz niepewności, czy aby przypadkiem nie ma przed sobą osoby niepoczytalnej.

– Zatrzymałam się w tym samym hotelu co ty – ciągnęła Dmitris. – Po drodze dzwoniłam do ciebie, ale oczywiście nie odebrałeś, dlatego uznałam, że wybiorę się na bulwar.

– Mogłem być gdziekolwiek. – Komisarz przypomniał sobie o porannym połączeniu, które zlekceważył. Zdjął mokasyny i wziął je do ręki. Powoli maszerował plażą w stronę budki z przekąskami. Sofia podążyła za nim.

– Jasne. Ale w końcu jestem tu na urlopie, więc uznałam, że jeśli cię nie znajdę, po prostu pójdę popływać, pogapię się w morze i tak dalej... Wiesz, moje południowe korzenie sprawiają, że godzinami mogę siedzieć w miejscu i przyglądać się przechodniom.

– Jak te zgrzybiałe sycylijskie dziadki?

– Macedońskie. To taki kraj nad Jeziorem Ochrydzkim.

– Na północ od Grecji? Ten, z którego wywodzi się Aleksander zaskakująco zwany Macedońskim?

– Akurat on był Grekiem.

Dmitris przewróciła oczami. Podeszła do jednego ze stolików przy drewnianej budzie i przyciągnęła do niego dwa krzesła obrócone w stronę plaży.

– A teraz opowiedz mi wszystko po kolei – oznajmiła, całkowicie poważniejąc. – Musimy brać się do roboty. Tutejsza komenda dała mi słowo, że nie ma nic przeciwko.

Deryło nie zamierzał protestować. Po pierwsze, opowiadając, sam mógł uporządkować informacje, a po drugie, długa podróż Dmitris i jej chęć pomocy poruszyły jakiś mało mu znany obszar mózgu. Być może nawet czuł wdzięczność lub wzruszenie, choć nie zamierzał się nad tym zastanawiać.

Zamówili z Sofią kawy oraz dania rybne, po czym komisarz pogrążył się w szczegółowej opowieści. Mówił konkretnie, nie pozwalając sobie na jakiegokolwiek interpretacje, lecz jednocześnie starał się wyciągnąć z pamięci jak najwięcej spostrzeżeń. Dmitris słuchała, co jakiś czas dopytując o jakiś szczegół lub prosząc o rozwinięcie pewnego wątku. Jej szczególną uwagę zwróciła Izabela Daus.

– Słyszałam o niej – przyznała, gdy Deryło skończył opowieść. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a wczasowicze powoli opuszczali plażę. – Zdaje się, że...

Przerwała, widząc, że komisarz trzyma w dłoni wibrujący telefon. Po chwili odebrał i przyłożył go do ucha. Swoim zwyczajem bąknął na przywitanie coś niezrozumiałego, lecz niemal natychmiast jego twarz przybrała wyraz bezgranicznego zdumienia.

– O kurwa... – niemal krzyknął, zwracając na siebie uwagę turystów siedzących w promieniu paru metrów. – To jakiś żart?

18

Pewien chilijski seryjny morderca, zapytany o powód, dla którego pozbawił życia sześćdziesiąt trzy kobiety, odparł, że zrobił to z nudów. Nie miał nic lepszego do roboty, więc podrzynał gardła, a potem kawałkował zwłoki. Fragmenty ciał ofiar rozrzucał to tu, to tam w lokalnym parku. Ponoć po miesiącach poszukiwań udało się poskładać zaledwie jeden kompletny szkielet. Fragmenty całej reszty zostały pożarte i strawione przez mnóstwo bezpiecznych psów wałęsających się po okolicy. Niektórzy mówili, że na gnijącym ludzkim mięśnie rozkwitły najpiękniejsze hortensje. Inni twierdzili, że to nieprawda, a owymi roślinami były storczyki. Jakiś botanik próbował nawet zarejestrować ich nową odmianę. Marketingowcy z wydziału miasta proponowali, by zorganizowano wycieczki terenowe szlakiem mordercy i jego ofiar. Nie doszło do tego, gdyż pomysłu oprotestowały rodziny zabitych kobiet...

Na początku była nuda. Nuda potrafi być ogromną siłą. Twórczą, lecz również niszczycielską. W dniu, gdy Adam z odrazą cisnął na stół komiks, od samego rana padało. W pokoju domu kolonijnego poza nim było jeszcze dwóch chłopców – Artur i Wojtek. Pierwszy leżał na łóżku ze słuchawkami nałożonymi na głowę, które nie były w stanie stłumić bardzo głośnej rockowej muzyki. Tymczasem Wojtek siedział nieruchomo na krześle przy oknie i melancholijnie wpatrywał się w szarpane porywami wiatru korony drzew.

Adam nawet nie zwrócił uwagi, że komiks zsunął się ze stołu, po czym spadł na podłogę. Podszedł do swojego łóżka i wyciągnął spod niego duży turystyczny plecak.

– Miałem z tym poczekać, ale chyba nie ma na co... Pogoda pod psem. Mój ojciec mówi, że w taką ulewę nic, tylko się powiesić.

– Zgadzasz się z nim. – Wojtek odwrócił się od okna i westchnął. Zainteresowany, zerknął, co robi jego kolega. – Powinniśmy mieć zorganizowane jakieś gry albo coś. Cokolwiek lepszego od filmów...

– Daj spokój, opiekunowie też chcą mieć czas wolny. Dlatego dali nam święty spokój.

– I co chcesz zrobić?

– Nic takiego. – Adam znacząco się uśmiechnął. Włożył dłoń do plecaka, lecz niczego z niego nie wyciągnął. Zamiast tego droczył się z Wojtkiem. – A co? Już zwróciłem twoją uwagę? Myślisz, że mam tam pismo z gołymi babkami? Chciałbyś, no nie?

– Gołe babki?! – zawołał nagle Artur. Przed chwilą dobiegł końca album, którego słuchał, i chłopiec nawet nie zdawał sobie sprawy, jak głośno mówi. Ściągnął z uszu słuchawki, po czym rezolutnie podniósł się z łóżka. – No, pokazuj!

– To coś znacznie lepszego.

Adam przesunął plecak pomiędzy nogi. Rozpiął jedną z przegródek i ponownie zerknął na towarzyszy. Delektował się ciekawością, która wręcz ich pożerała.

– Możecie obstawiać – oznajmił. Lewą dłońią założył za ucho kosmyk kręconych włosów i ponownie schował ją do plecaka. – No, śmiało. Macie po trzy próby.

– Nie denerwuj mnie – mruknął Artur. – Nie mam pojęcia.

– Ja mogę obstawić, to nic trudnego – zaproponował chytrze Wojtek. – Alkohol, papierosy albo narkotyki. Coś z tych trzech rzeczy.

Adam z poważną miną potrząsnął głową. W jego oczach nie było już żartobliwej iskierki sprzed chwili. Pojawił się w nich całkowicie inny, tajemniczy wyraz. Kąciki ust drgnęły w jakimś tiku, który nie miał nic wspólnego z uśmiechem.

– Pudło, pudło, pudło – stwierdził martwym tonem. – Musicie się bardziej postarać albo zostajecie w pokoju.

W tym momencie powiew wiatru zawył gdzieś na korytarzu i w oddali trzasnęły drzwi. Niewiele brakowało, a wypadłaby z nich szyba. Brzęknięcie szkła w ramach poniosło się nieprzyjemnym echem.

– Okej, może to był znak. – Adam ponownie się uśmiechnął, lecz był to uśmiech sztuczny i pusty. Wielu chłopców potrafi go przywdziać, na przykład by przedrzeźniać nauczycieli. – Proszę bardzo. No, możecie być już wdzięczni.

Adam powoli wyciągnął z plecaka ręce. Z namaszczeniem położył na podłodze jakiś przedmiot. Artur i Wojtek łąpczywie wyciągnęli ku niemu dłonie, ale jednocześnie cofnęli je, jakby zawstydzeni. Wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Skąd to masz? – Artur szeroko otworzył oczy i przeczesał palcami czuprynę. – O kurczę!

Adam wzruszył ramionami. Powiódł dumnym wzrokiem po twarzach przyjaciół i usiadł na podłodze. Z namaszczeniem dotknął wyciągniętego przedmiotu.

– Wszyscy chcieliby wiedzieć, skąd pochodzi prawdziwe zło... – oznajmił sentencjonalnie. – Tak mówi mój tata. A to, co macie przed sobą, to jest właśnie najprawdziwsze, najgorsze zło. Boicie się?

19

– On twierdzi, że zabójca kombinował coś nad tą wykrojoną skórą. Nie patrz tak. Nie chodzi o to, że zrobił z niej obrus i zaczął jeść. Nie zostawił jej po prostu i nie naciągnął na ten stelaż, ale w międzyczasie czymś jeszcze pokrył... Na razie patolog nie chciał powiedzieć nic więcej.

– Powie, gdy będziemy na miejscu?

– A bo ja wiem? Pierwszy raz rozmawiałem z tym człowiekiem.

– Może będzie bardziej wylewny niż Gawiński. W końcu trudniej o większego mruka...

Dmitris westchnęła. W zabytkowym Citroënie nie czuła się najpewniej. Niepokoiła ją nie tyle prędkość osiągana przez komisarza, co stuki dobiegające spod auta oraz jego aerodynamika, przez którą wydawało się, że furgonetka lada moment wzbije się w powietrze. Na szczęście Deryło powoli zwalniał.

– To tutaj. – Spojrzał na niski, jednopiętrowy budynek przypominający pawilon. W pomieszczeniach niemal na całej jego długości były włączone światła. Na słupie obok otwartej bramy widniała tabliczka z adnotacją, że właśnie tu mieści się zakład medycyny sądowej, biuro patologa oraz miejscowe laboratorium.

– Wreszcie. – Sofia z ulgą opuściła duszne wnętrza furgonetki i czym prędzej skierowała się ku drzwiom. – Kombinowanie nad wykrojoną skórą? Tak to nazwał?

– Dokładnie tak – odparł jej miły głos dobiegający z niewielkiego wykuszu.

Niemal w tej samej chwili naprzeciw Deryły i Dmitris pojawił się wysoki, stosunkowo młody mężczyzna w rozpiętym kitlu. Rzucił na ziemię niedopałek papierosa, po czym zdeptał go obcasem szpitalnego klapka.

– Wiktor Ling – przedstawił się, wyciągając dłoń najpierw ku podkomisarz. – To ja was tu ściągnąłem. Z góry proszę o wybaczenie.

– Mając przynajmniej jakieś konkrety?

Deryło jak zwykle podchodził z nieufnością do osób, których nie znał. Tym bardziej że lekarz zdecydowanie odbiegał od znanego mu wizerunku patologa. Był elegancki, smukły i uśmiechnięty. Mówił głośno, niemal rubasznie, rzucając tu i ówdzie wesołe spojrzenia. Jego twarz można było określić jako ruchliwą, z prostym nosem, dość wąskimi ustami oraz dużymi, bystrymi oczami. Spod niebieskiego czepka wystawał pukiel ciemnych, lekko kręconych włosów. Do tego zamiast charakterystycznego dla przedstawicieli tej profesji zapachu środków czyszczących od Linga wyczuwalny był intensywny świeży

aromat porządnych perfum. Przypominał raczej aktora uczestniczącego w kastingu na filmowego amanta niż lekarza ostatniego kontaktu.

– Skóra została natarta jakimś olejem – wyjaśnił, prowadząc śledczych pustym korytarzem. – Trudno mi go zidentyfikować, lecz z pewnością nie jest to żaden typowy kosmetyk, jakiego mogłaby użyć ta kobieta. W końcu do czynienia mamy z twarzą...

– Pobrał pan jego próbkę? – dopytała Sofia.

– Oczywiście. Jedna trafiła do laboratorium, a druga nadal jest w mojej pracowni.

– Czy to gęsty olejek? Większość powinna już wyparować, lecz skoro mówimy o widocznym śladzie...

– Jest na tyle gęsty, że skóra go nie wchłonęła. Poza tym po śmierci pory zachowują się nieco inaczej niż za życia, więc zaburzone jest również naturalne parowanie przez powłoki skóry.

– Po śmierci – powtórzyła sedno jego słów Dmitris. Deryło natychmiast zwrócił uwagę na jej dziwny, pełen zadumy ton. – Mam nietypową prośbę... Czy będę mogła powąchać tę skórę?

Tym razem to patolog wymownie spojrział na podkomisarz. Kąciki jego ust drgnęły w uśmiechu i chwilę później energicznie kiwnął głową.

– Skoro ma to nam w czymś pomóc, oczywiście. Mam otwarty umysł. Na zapachy również, no i na wszystkie eksperymenty...

Sofia nie podchwyciła jego mglistej aluzji. Bez wątpienia miała jakiś pomysł. W jej oczach pojawił się błysk zaintrygowania.

Amelia Darska nerwowo zabębniła paznokciem w blat biurka. Strona internetowa wyszukiwanej nieruchomości ładowała się już bardzo długo. W końcu wyświetlił się błąd połączenia.

– Cholera – powtórzyła kobieta. – Co jest...

Otarła oczy i zobaczyła, że jej laptop nie jest połączony z żadną siecią. Nigdy wcześniej nie miała podobnego problemu. Mogła to być kwestia routera albo dostawcy internetu, ale w tych sprawach kompletnie się nie orientowała. Była skupiona na swojej pracy, a kwestie informatyczne scedowała na innych. Nie znosiła jednak, gdy problemy komplikowały jej pracę. Może nie potrzebowała pozycjonowania, lecz porządnej obsługi informatycznej – również w domu. W końcu tutaj przeprowadziła równie wiele transakcji, co w biurze.

W rogu ekranu dostrzegła ikonkę pokazującą, że nim sieć przestała działać, dostała mail. Kliknęła na tę informację i niemal od razu załadowało się pole z kilkoma linijkami tekstu. Natychmiast je przeczytała. Z każdym kolejnym słowem czuła się coraz bardziej nieswojo.

„Nie wierzysz w duchy? W takim razie najwyższy czas, abyś uwierzyła. My istniejemy. Jesteśmy tutaj. Tuż obok. Czujesz nasz oddech?”

21

Dmitris założyła rękawiczki i z namaszczeniem chwyciła fragment skóry twarzy zdjęty przez patologa z drewnianego stelaża. Było na nim wyraźnie widać pory oraz kilka drobnych skaz. Na rzęsach sterczących z częściowo uszkodzonej powieki dostrzegalne były resztki tuszu. Kawałek wargi nosił ślady szminki, a w jednym płątku ucha nadal tkwił złoty kolczyk. Lekarz przebąknął, że nie usunął go tylko

dlatego, by mogli go zobaczyć. Wkręt miał kształt wypukłej gwiazdki z małym zielonkawym kamykiem pośrodku. Nic nie wskazywało, by było w nim coś nietypowego ani by przedstawiał jakąś niezwykłą wartość. Chyba że sentymentalną...

Wykrojona skóra przypominała natomiast makabryczną maskę, którą można by założyć na własną twarz i zyskałoby się przy tym rysy zamordowanej kobiety. Choć teraz, po zdjęciu ze stelaża, była pomarszczona oraz pozaginana. Do tego, gdy patrzyło się na nią pod światło, miała żółtawy, wilgotny połysk.

Dmitris powoli wypuściła powietrze i przysunęła nos niemal do samej skóry. Przymknęła oczy, po czym wzięła głęboki oddech, jakby delectowała się najprzyjemniejszym zapachem.

– I? – Deryło nie mógł wytrzymać. – Powiesz, o co ci chodzi? Czy może lubisz obwąchiwać niektóre rzeczy? Słyszałem o różnych filiach...

Sofia nie odpowiedziała. Jeszcze kilkukrotnie wzięła głębokie wdechy, a potem wstrzymywała powietrze w płucach. Wreszcie otworzyła oczy i kiwnęła głową.

– Czy używał już pan roztworów? – zwróciła się do Linga.

Mężczyzna spojrzał na nią z zainteresowaniem. Przez kolejną minutę przerzucali się terminami chemicznymi, które dla komisarza brzmiały niczym wyliczanka w obcym języku. Choć miał rozległą wiedzę, daleko wykraczającą poza tak zwane przedmioty humanistyczne, chemia stanowiła dla niego ziemię nieznaną, na której zgłębienie nigdy nie miał dość czasu.

– Będę potrzebował kwadransa albo dwóch – nagle oznajmił patolog.

– Zaczekajcie.

– Wolę wyjść na zewnątrz – bąknął komisarz. – Cokolwiek byście knuli, zaczekam na telefon.

Nie zważając na reakcję Dmitris, skierował się do wyjścia. Szedł tak szybko, że Sofia dogoniła go dopiero w głównym holu.

– Widzisz, jak to jest, gdy nic nie mówisz, tylko robisz tajemnice z własnych pomysłów? – zapytała, odgadując powód jego

niezadowolenia.

– Zlekceważyłaś moje pytanie.

– I to tak bardzo cię boli, panie zadufany? Dobrze wiem, że wcale taki nie jesteś.

Komisarz westchnął i spojrział na nią z ukosa. Wyszli na parking, po czym zatrzymali się niedaleko citroëna.

– Co to za koncepcja? – zapytał wreszcie. – Może mi coś wyjaśnisz?

– Tylko jeśli się potwierdzi. Nie lubię pustych strzałów.

– Wolałbym wiedzieć, do kogo strzelamy.

– Chyba już wiemy. – Dmitris pośpiesznie wyciągnęła telefon, lecz nim odebrała, zwróciła się do komisarza: – Wystarczyło poczekać dwie minuty, zamiast się obrażać i wychodzić.

– Ale...

Sofia już nie słuchała komisarza. Przyłożyła komórkę do ucha i przytknęła palec do drugiego. Zmarszczyła czoło, kilkakrotnie kiwnęła głową, po czym szeroko się uśmiechnęła. Z tryumfalną miną zakończyła rozmowę.

– Tak jak myślałam. Przeczucie mnie nie myliło. – W świetle latarni cienie załamywały się na jej twarzy, a oczy były niemal niewidoczne. – Wiemy, czym natarto twarz tej kobiety. I to może sporo skomplikować... A może wcale nie?

Gdyby nie była kobietą, Deryło już by się na nią rzucił. Tymczasem potulnie czekał, aż podkomisarz przejdzie do sedna i podzieli się z nim swoim odkryciem.

– Jakim cudem na to wpadłaś?

Deryło był wyraźnie niepokieszony, że to nie on naprowadził patologa na właściwy trop. Co prawda domyślał się toku rozumowania Dmitris,

lecz jego umysł potrzebował potwierdzenia nawet w takich sprawach. Tym bardziej że brakowało mu kilku zmiennych.

– Olejek różany! – parsknął i zabębnił dłońmi o kierownicę citroëna.
– Co nam daje ta wiedza?

Sofia ponuro westchnęła.

– Jeszcze nie wiem. W końcu koncepcje to twoja działka. Swoją drogą to ty nakierowałeś mnie na tę myśl...

– Serio?

– Tak, kiedy tylko powiedziałeś o tym, że ta kobieta w trakcie jakiegoś happeningu zakłócała mszę, przyszło mi to do głowy.

– I uważasz, że chodzi o profanację?

– Nie mam bladego pojęcia. Jestem do ciebie na tyle podobna, że nie lubię szafować teoriami bez poparcia w dowodach.

Komisarz uśmiechnął się. Wyraźnie rozbawiony oderwał dłonie od kierownicy i klasnął.

– *Touché.*

– Nie będę jednak z tego wypunktowania tak dumna, jak ty byś był na moim miejscu.

– Okej, okej, odpuść staremu prykowi. Przyznaj jednak, że skojarzyłaś olejek różany z konserwowaniem zwłok.

Dmitris kiwnęła głową, więc Deryło kontynuował.

– Skoro zamordowana uchodziła za zaciekłą ateistkę drwiącą z religii, po śmierci sprofanowano jej zwłoki, nawiązując do sposobu, w jaki konserwowano relikwie.

– Powiedziałam, że nie wrobisz mnie w dywagacje. Choć jak dla mnie to ona wcale nie drwiła z religii, a wytykała zakłamanie kapłana.

– Przeszkadzając w modlitwie?

– W kazaniu. A to różnica.

– Podczas bzdurnych kazań zazwyczaj się modłę. Mogła robić swój happening przed kościołem. – Deryło zawiesił głos i zrezygnowany sapnął. – Przepraszam. Jestem rozkojarzony i nie wiem już, do kogo się przyczepić.

– Najlepiej do samego siebie. Wyjdzie na zdrowie tobie i światu.

Deryło ponownie z uśmiechem zerknął na Dmitris. Ta drobna kobietka coraz bardziej mu się podobała. Choć może to on miał teraz chwilę słabości i podatności na zauroczenia.

– Czy olejek różany jest łatwo dostępny? – zapytał, przyhamowując auto. Jechali już nieopodal bulwaru i nocni, podchmieleni spacerowicze w każdej chwili mogli wpakować się tuż przed maskę.

– Tak – odparła Dmitris, po czym rozumiejąc intencję jego pytania, dodała: – Przynajmniej na tyle, że nie wytypujemy sprawcy na podstawie punktów sprzedaży...

– Świetnie. Masz jakieś inne koncepcje?

– Tylko jedną teorię, którą mogę się podzielić. Jest tak pochrzaniona, że sama sobie ulżę, kiedy to zrobię.

Komisarz wjechał na hotelowy parking i zatrzymał auto. Uniósł dłoń, by zapalić światło zamontowane w podsufitce, lecz Dmitris wymownie uniosła palec.

– Nie baw się w przesłuchanie – stwierdziła. – Ciemność tworzy lepszą atmosferę.

– Natomiast ty nie baw się w pewnego Eryka, który lubi grać na emocjach... Wal prosto z mostu.

Sofia powoli przedstawiła mu swoją teorię. Ta rzeczywiście pasowała do ciemności, brzmiała bowiem jak najgorszy z koszmarów.

23

Darska drgnęła. Wiadomość o duchach była jakimś kretyńskim żartem. Zamierzała porachować się z każdym durniem, który usiłował sobie robić z niej dowcipy. Nie miała poczucia humoru. Wiedziała o tym i dobitnie o tym przekonali się jej wszyscy byli partnerzy. Zbyt mocno skupiała się na pracy, żeby dowcipkować i żartować.

– Co za licho... – syknęła wściekle.

Podniosła się od laptopa i sięgnęła ku stojącej na blacie biurka lampie. Było już późno, a w pomieszczeniu panowała ciemność rozjaśniona jedynie przez blask ekranu. Darska nacisnęła włącznik, lecz światło się nie zapaliło.

– Co jest, do cholery?

Nacisnęła przycisk jeszcze kilkukrotnie, ale nic się nie stało. Kobieta uznała, że spaliła się żarówka, lecz po chwili do głowy przyszła jej kolejna myśl. Skoro nie było internetu, a lampka nie działała... Zerknęła w stronę listwy z zabezpieczeniami przeciwprzepięciowymi i zobaczyła, że ta również się nie pali normalnym zielonym światłem. Pomarańczowa poświata informowała, że listwa pracuje w trybie awaryjnym.

Nie było prądu. Ot, całe wytłumaczenie problemów z połączeniem sieciowym.

– Świetnie... Szczęśliwy wieczór przy świecach. Akurat gdy mam mnóstwo roboty... I nie posiadam świec.

Darska niemal zapomniała o przeczytanym przed chwilą mailu o duchach, gdy coś cicho kliknęło. Niedaleko za nią. W rogu pomieszczenia.

Kobieta szybko się odwróciła i dostrzegła, że podłączona do gniazdka ładowarka pulsuje światelkiem. Zatem prąd musiał zostać ponownie włączony. Sięgnęła po leżący na biurku telefon i uruchomiła aplikację odpowiedzialną za sterowanie oświetleniem domu. Nim ją otworzyła, zapaliły się wszystkie lampy w jej gabinecie.

– Cholera.

Po dwóch lub trzech sekundach w pomieszczeniu ponownie nastąpiła ciemność. Z pokoju obok dobiegł jednak cichy szmer. Darską przebiegł dreszcz. Wyraźnie słyszała czyjś głos za ścianą. Niski, bełkotliwy, jakby ktoś, mając usta pełne jedzenia, usiłował coś powiedzieć.

Tego było za wiele. Przestraszona cofnęła się ku oknu i rozejrzała za czymś, czym mogłaby się bronić. Szmer słów zamienił się w śmiech.

Wreszcie śmiech gładko przeszedł w dźwięk znany jej z pewnego programu informacyjnego.

– Telewizor... Włączył się. Ja pierniczę!

Wszystko można było wytłumaczyć w całkowicie banalny sposób. Darska powoli się uspokajała i starała się przekonać, że to wszystko jest po prostu jakąś durną awarią elektroniki. Wyprostowała się i spowalniała oddech. Wtedy tuż obok niej huknęła muzyka. Kobieta aż podskoczyła. Uderzyła nogą w krzesło, które przewróciło się i runęło na ziemię. Darska odskoczyła w stronę biurka, na którym leżał nóż do papieru – prezentowy badziew, do tego tępy, ale zawsze coś.

Serce waliło jej jak oszalałe. Tymczasem światło znów zaczęło mrugać. Jakby robiło to, żartując z ponownie wariackiego rytmu jej oddechów.

24

Czasem przesadna pewność siebie równa się jedynie dumie. Innym razem duma równa się czystej głupocie i tak też było w przypadku Amelii Darskiej. Kobieta chciała wezwać pomoc, lecz nadmierna duma jej na to nie pozwoliła. Nie pozwoliła jej również na to, by rzucić się od razu ku drzwiom i wybiec z domu na ulicę. To mogłoby ją uratować.

Zamiast tego Darska zatrzymała się w progu salonu i obserwowała mrugające światło żyrandola.

– To jakiś żart... – powtarzała. – Duchy nie istnieją.

Z sercem łomoczącym w piersi ledwie trzymała się na nogach, lecz nie uciekała. Zmuszając się do opanowania emocji, zawróciła do gabinetu. Kiedy tylko przekroczyła jego próg, jej laptop włączył się i z jego głośników huknął fragment *Dies Irae* z *Requiem* Mozarta.

Z ustawionego obok głośnika ryczał rockowy kawałek. Feeria barw oraz dźwięków przyprawiała o zawrót głowy.

Darska rzuciła się po telefon. Na szczęście komórka działała i udało się jej ją odblokować. Wybrała ostatni numer, pod który dzwoniła.

– Amelia?

Głos jej przyjaciółki przywołał ją nieco do rzeczywistości. To, co działo się wokół, było szaleństwem, lecz sama przecież nie była szalona. Chyba że... Nie. Stanowczo odrzuciła tę myśl.

– Mój dom jest nawiedzony – wyszeptała łamiącym się głosem. Coraz gorzej szło jej panowanie nad sobą. – Cholera... Przyjedź tu jak najszybciej, proszę. Musisz sama...

Przerwała w pół zdania. Jej uwagę przykuła czerwona diodka mrugająca przy oknie tarasowym. Po chwili muzyka całkowicie ucichła i w domu rozległ się szmer mechanizmu zabezpieczającego. Roleta antywłamaniowa zaczęła się powoli unosić.

– Na pomoc!

Wszelka odwaga opuściła Darską. Uleciały z niej pewność siebie, duma i resztki opanowania. Drżała z przerażenia, przyciskając do ucha telefon. Nie słyszała jednak, co mówi jej przyjaciółka. Jej wszystkie zmysły skupiły się na ruchu metalowej rolety.

Szur, szur. Mechanizm szmerał, jakby ktoś maszerował. A raczej jakby ktoś kuśtykał, wlokąc po szorstkim podłożu ciężką siekierę. Nie miała pojęcia, skąd w jej głowie pojawiło się to skojarzenie. W ogóle się nad tym nie zastanawiała. Sparalizowana przerażeniem stała w progu własnego salonu.

Nagle telefon wypadł jej z ręki, a usta rozwarły się w niemym krzyku. Latarnia ogrodowa delikatnym blaskiem rozświetlała taras jej domu. Taras, na którym tuż przed jej oknem ktoś stał.

Zarys sylwetki poruszył się i w tym samym momencie klamka okienna cicho kliknęła. Demon bez problemu wszedł do środka.

– Wszystkie drzwi i inne okna są zamknięte na amen – oznajmił gardłowym głosem. – Nie masz dokąd uciec, ślicznotko. Jesteśmy tu sami.

DZIEŃ NASTĘPNY

25

Słowa Dmitris wryły się głęboko w umysł komisarza. Jej koncepcja wydawała się banalna, a zarazem w jakiś sposób logicznie uzasadniona. Sprawca, który profanował ofiarę przez zrobienie ze skóry jej twarzy wypaczonej, makabrycznej relikwii. Dlaczego robił to właśnie w taki sposób? Zdaniem Sofii mógł uważać się za wyjątkowego artystę, twórcę, który – tak jak wcześniej założył Deryło – wydobywał z martwej materii własne dzieło.

„Tworzył je na swoje podobieństwo?”

To pytanie komisarza początkowo Dmitris pozostawiła bez odpowiedzi. Nie chciała brnąć w dalsze dywagacje. Jednak po chwili milczenia wyrzuciła myśl, która wydawała się jej najbardziej przerażająca.

„Tworzył to dzieło nie jak Bóg, ale jak szatan. Dlatego zawiesił je pod sufitem, rozumiesz? Zakpił nawet z samego Boga. W miejsce jego twarzy wstawił twarz swojej ofiary”.

W pierwszej chwili Deryło chciało się śmiać, lecz gdy pobieżnie przeanalizował tę teorię, wszystko zaczęło do siebie pasować. Wyłonił się z niej obraz kogoś kompletnie oszalałego, a zarazem kierującego się własną żelazną logiką. Ani ofiara, ani sposób jej zamordowania, ani postępowanie ze zwłokami po śmierci nie były przypadkowe. Tyle że rozumowanie Sofii miało jedną istotną lukę. Nie wyjaśniało motywacji zabójcy. Choć ten miałby postrzegać się jako wcielone Zło, nie było mowy o tym, dlaczego mordował. Dlaczego ryzykował dożywotnim więzieniem i własnym życiem, aby tylko pozbawić życia kogoś innego? Dla przyjemności? Czy ta była w jego systemie wartości warta każdej ceny?

Psychopaci wcale tak nie kalkulowali, Deryło doskonale to wiedział. A moralność kogoś, kto uważał się za szatana, zapewne była jeszcze bardziej pochrzaniona od moralności psycho- albo socjopatów. O ile w ich kontekście o czymś takim jak moralność można w ogóle było mówić. Nawet piramida potrzeb Masłowa bywała przez nich kompletnie odwracana.

Te myśli sprawiły, że komisarz niemal przez całą noc się wiercił. Zapadał w półsen, rozbudzał się, skupiając na chaotycznych skojarzeniach, na olejku różanym, kawałku skóry i profanowaniu relikwii, a potem znów śnił jakieś poszarpane koszmary.

Wreszcie, gdy zrobiło się jasno, wstał z łóżka i szybko się zebrał. Wyszedł z hotelu, po czym skierował się prosto ku plaży. W momencie, gdy ściągnął szorty, zostając w samych kąpielówkach, rozległ się dzwonek jego telefonu. Przystanął, gniewnie zaciskając pięść.

– No, to popływane... Chyba powinienem trzymać się z dala od morza.

Zaklął i nie ociągając się dłużej, odebrał. Jak zwykle mógł się spodziewać jedynie najgorszego. I to najgorsze właśnie nadchodziło.

26

– Halo?

Deryło z telefonem przy uchu podszedł do morza. W drugiej dłoni trzymał mokasyny i pozwolił, by fala musnęła czubki jego stóp. Przynajmniej tyle mógł wynieść z pobytu na plaży.

W słuchawce odezwał się aspirant Adamski. Wybełkotał słowa powitania oraz jakieś skomplikowane zdanie, które zapewne miało brzmieć jak przeprosiny za zawracanie komisarzowi głowy o tak wczesnej porze. Rzeczywiście ledwie dochodziła ósma i w promieniu

kilkudziesięciu metrów od Deryły nie było żywego ducha. Prawdziwy luksus jak na warunki polskiego plażowania.

– Pojawia się wątek nowej kobiety... – Adamski ciągnął swym ślamazarnym tonem. Choć jednocześnie było w nim słycać głębokie zdenerwowanie, którego nie potrafił wyartykułować tempem mówienia.

– Nowej kobiety? – Deryło smętnie zwiesił głowę i cofnął się o krok. Znalazł się poza zasięgiem fal. – Jakiej?

– Takiej, której przyjaciółka zgłosiła zaginięcie.

Wyrażenie sedna mogło zająć aspirantowi całe godziny, więc komisarz z irytacją mocniej ścisnął słuchawkę.

– No i? – sarknął, popędzając Adamskiego. – W Polsce codziennie ktoś ginie i zaraz się odnajduje. Nadgorliwi przyjaciele, a przede wszystkim przyjaciółki, potrafią robić zbędny alarm z byle powodu.

– Mamy tu dziwny zbieg okoliczności i wysyp takich spraw, nie sądzi pan? Długo, długo nic, a nagle zgłoszone zostaje trzecie zaginięcie w ciągu tygodnia.

– Owszem, wierzę w statystykę. Ale czasem pojawia się coś takiego jak pech albo fatum. Zwał jak zwał.

– Fatum? – Aspirant nerwowo się zaśmiał. – W takim razie co pan powie na to, że zaginiona dzwoniła do tej przyjaciółki wczoraj wieczorem? Ciekawe, co?

Deryło chciał już coś powiedzieć, ale Adamski powstrzymał go nerwowym odchrząknięciem. Po raz pierwszy odważył się na podobne zachowanie względem komisarza.

– To nie wszystko. W trakcie rozmowy zaginiona była kompletnie roztrzęsiona i twierdziła, że jej dom jest nawiedzony. Dobrze pan to usłyszał? Nawiedzony! I zdaje się, że nie była pijana.

W miejscu, gdzie zjawiała się śmierć, powinna być całkowita cisza. Jednak nikt nie wiedział, czy w domu Amelii Darskiej zagościła śmierć, czy może nadal mogła się tlić nadzieja, że kobieta po prostu dokądś wyszła. Gdyby nie podejrzany telefon do przyjaciółki, a może przede wszystkim gdyby nie niedawne morderstwo, zaginięcie kobiety mogłoby zostać zbagatelizowane. Zamiast tego jej dom zamienił się w scenerię erupcji chaosu.

Już na podjeździe panował ścisk aut i furgonetek. Tuż za ogrodzeniem ustawiono rozmaite walizki oraz akcesoria kryminalistyczne. Tu i ówdzie przechadzali się policjanci lub technicy, najwyraźniej ściągnięci z całego województwa. Zapewne ktoś decyzyjny niecierpliwił się i wywierał presję czasu. Albo presję rezultatów, co zazwyczaj okazywało się jeszcze gorsze.

– Okno od strony ogrodu było otwarte. – Mówiąc to, szef techników spojrzał na Deryłę z ukosa. Przeniósł wzrok w stronę drzwi tarasowych i wskazał na nie osłoniętą rękawiczką dłonią. – Otworzenie go od zewnątrz jest dziecinnie proste. Wystarczy obejrzyć poradnik na YouTube.

– Czy są jakiegokolwiek ślady majstrowania przy zamku?

– Nie trzeba majstrować, wystarczy cienki drucik albo gruby plastik. Poza tym wczorajsza noc była ciepła, więc ta kobieta mogła je po prostu otworzyć.

– Nie zainstalowano tu czujki alarmowej? – zdziwił się komisarz. – Budynek wydaje się bardzo nowoczesny.

– Alarm jest, ale w drzwiach wejściowych i przedpokoju... W ogóle ten dom napakowany jest elektroniką, choć to kompletny przerost formy nad treścią.

– Gratulować wyboru specjalisty od zabezpieczeń.

Deryło powiódł wzrokiem po biurku, na którym stał MacBook, po małej drukarce, a następnie zerknął na designerską chromowaną szafkę. Na jej blacie leżał zeszyt lub notes, obok stała szklanka

z nalany do połowy sokiem, a nieco dalej odłożono elegancki złoty zegarek.

– Nie wydaje się, żeby cokolwiek skradziono – mruknął. – Przynajmniej widzę tu kilkanaście przedmiotów, które można by zastawić od ręki w dowolnym lombardzie. I to za niezłe pieniądze.

– Ale ten smartfon... – Technik przesunął się i wskazał na leżący na podłodze telefon komórkowy. – Znaleziono właśnie tutaj. Jakby go nagle wyrzucono albo zgubiono.

– Może w trakcie rozmowy z kobietą, która zgłosiła zaginięcie...

Komisarz zatrzymał wzrok na drzwiach tarasowych, a potem powoli obszedł pomieszczenie. Wyciągnął telefon i po chwili namysłu uruchomił aparat. Zrobił kilka zdjęć, starając się objąć jak najwięcej szczegółów. Nie miał pojęcia, co może mu się przydać. Co więcej, nie wiedział, jaki będzie miał dostęp do akt sprawy oraz dokumentacji. Jego status niezmiennie pozostawał całkowicie nieokreślony i orbitował gdzieś na krawędzi śledztwa, choć jednocześnie najwyraźniej wiele się po nim spodziewano.

– Wspomaganie pamięci? – Technik puścił do niego oko i przykucnął, zajmując się przerwaną niedawno pracą.

Komisarz nie odpowiedział. Spojrzał na bezdotykowy włącznik światła, na zamocowane na specjalnym wysięgniku głośniki, a potem na czujkę ruchu zamontowaną w rogu pomieszczenia. Wreszcie ponownie zerknął na leżący na biurku laptop.

Wyłączył aparat i wybrał numer ViSira – informatyka z lubelskiej komendy. Choć mężczyzna prowadził nocny tryb życia, odebrał niemal od razu. Deryło miał do niego całkowite zaufanie. Zamienił z nim kilka zdań, pośpiesznie zarysowując obraz sytuacji i prosząc o drobną pomoc.

– To chwilę potrwa – odparł ViSir. Sapnął, mruknął i wreszcie dodał: – Godzinę, dwie... Może dłużej. Ale zobaczę, co da się zrobić. *Hasta la vista, commendant.*

Komisarz bardzo liczył na pomoc informatyka. Mimo swego konserwatyzmu wierzył, że nowoczesna technologia może wygrać

w starciu z siłami nieczystymi.

28

– Amelia nigdy tak ze mną nie rozmawiała. Rozumiecie? Nigdy. Znamy się prawie dwadzieścia lat i mówię wam, że to najbardziej opanowana i najbardziej pewna siebie osoba, jaką znam. Baba z jajami większymi niż... Sama nie wiem kto, ale pomyślcie o najbardziej przebojowej kobiecie, jaką znacie, i pomnóżcie to razy sto. Albo razy tysiąc.

Kamila Fig spojrzała najpierw na Deryłę, lecz zaraz przeniosła wzrok na Dmitris. Sofia dołączyła do komisarza w drodze do przyjaciółki, która odebrała ostatni telefon od zaginionej. W ciągu ostatniego kwadransa Deryło pokrótce streścił jej wydarzenia poranka.

Kiedy policjanci zjawili się w mieszkaniu Fig, ta już na nich czekała. Była ładną, choć nieco pulchną trzydziestolatką, o mocnych kościach policzkowych i dużych ciemnych oczach. Krągłości maskowała luźnymi ubraniami, upodabniającymi ją nieco do postaci z arabskich bajek. Brakowało tylko, by na głowie zawiązała turban. Przyjęła ich w niewielkim salonie, lecz pod pretekstem, że jest jej duszno, poprosiła, by przeszli na spory taras. Rozciągał się z niego widok na pobliski park, za którym przebijał granat Bałtyku. Tu i ówdzie rozstawiono donice z różnymi roślinami. Komisarz zauważył, że w sezonie na wynajmowaniu takiego lokalu można było naprawdę nieźle zarobić.

– Czy pani Darska miała jakiegoś partnera?

Pytanie zadane przez Dmitris sprawiło, że Fig się wyprostowała, po czym odgięła głowę do tyłu. Z jej ust dobyło się coś pośredniego między zabawnym prychnięciem a śmiechem.

– Ona mogła mieć, kogo chciała. Ale od pewnego czasu nie rozmawialiśmy o tych sprawach... Właściwie to było nasze jedyne tabu.

– Dlaczego? – drażył Deryło. – To powinien być jeden z najważniejszych tematów plotek dla przyjaciółek.

– Może... Ale nie do końca odpowiada mi podejście Amelii.

– Proszę to rozwinąć.

Widząc zniechęcenie na twarzy Fig, komisarz pośpiesznie dodał:

– Każda informacja może nam pomóc, rozumie pani? Choć teraz mówi pani o tabu, lepiej, żebyśmy znali cały obraz sytuacji.

Kobieta założyła nogę na nogę i zerknęła gdzieś w dal. Po chwili wbiła spojrzenie w jukę ustawioną obok komisarza. Wydawało się, że z rozmysłem od razu zwróciła jego uwagę na ten temat, gdyż zaczęła opowiadać bez dłuższego wahania.

– Nie popieram wolnych związków, a tym bardziej eksperymentowania z... nazwijmy to różnymi płciami. Bo to nie robi Amelii różnicy.

– Jest biseksualna?

– Seks to dla niej kwintesencja życia. Tak jak każdy inny sięga po wino, papierosy albo idzie na plażę, ona odstresowuje się w łóżku. Czy gdzie to tam robi...

Dmitris kątem oka zerknęła na komisarza, lecz ten udał, że tego nie dostrzega.

– Jednak o ile wiem, Amelia ostatnio się nieco uspokoiła. – Fig powiedziała to zdanie tonem usprawiedliwienia przyjaciółki. Nagle zamrugła, zagryzła usta i po raz pierwszy na dłużej spojrzała komisarzowi prosto w oczy. Jakby podjęła jakąś decyzję, kiwnęła głową, po czym dodała: – Coś mi się przypomniało. To może być bardzo istotne... Mój Boże...

Kamila Fig przeciągnęła dłońmi po twarzy, po czym pokręciła głową. Przez cały czas hamowała łzy, choć była na skraju wybuchnięcia płaczem. Deryło aż zastanawiał się, czy przypadkiem insynuacje co do seksualności Darskiej nie dotyczyły wzajemnej relacji obu kobiet. Uznał jednak, że na razie tego zagadnienia nie będzie zgłębiał. Poza tym media prawdopodobnie od samego rana wałkowały temat morderstwa Izabeli Daus.

– Proszę mówić – zachęcił Fig. – Co też się pani przypomniało?

– Naprawdę wszystko może być istotne – dodała ciepłym głosem Dmitris. Wyciągnęła dłoń ku ręce kobiety, ale jej nie dotknęła. – Jeżeli chce pani pomóc swojej przyjaciółce, a widzę, że właśnie tak jest, lepiej powiedzieć więcej, nawet tylko to, co się pani wydaje, niż coś przemilczeć...

– Tak... – Fig zacisnęła usta i pociągnęła nosem. – Wiem...

– Więc?

– Amelia zadzwoniła do mnie wczoraj po południu. Pewnie około szesnastej albo nieco wcześniej... Akurat byłam w restauracji, więc chyba to było jednak bliżej trzeciej, ale już sama nie wiem...

Deryło chrząknął, lecz powstrzymał się przed pośpieszeniem kobiety. Zamiast tego delikatnie się uśmiechnął, jakby chciał ją uspokoić. Jego wielka, zwalista sylwetka również mogła działać kojąco. Szczególnie gdy z jego twarzy zniknął tak częsty wyraz nieustępliwości oraz gniewu. Teraz naprawdę współczuł tej roztrzęsionej kobiecie.

– Przepraszam. – Fig odruchowo założyła włosy za uszy i się wyprostowała. – Uznajmy, że było to między piętnastą a szesnastą. Wszystko można sprawdzić w telefonie...

– A telefon? – Delikatnie naprowadziła ją na temat Dmitris. – Czego dotyczył?

– Amelia mówiła, że jakiś ankieter zaczepił ją i wypytywał, czy wierzy w duchy. Żartowała, że już nie ma lepszych tematów do przeprowadzania ankiet i że padło akurat na nią...

Deryło natychmiast podchwycił ten wątek.

– Opisała tego ankietera? Powiedziała, gdzie go spotkała?

– Nie. Chyba nie...

– Spokojnie, proszę się zastanowić.

Fig ze łzami w oczach pokręciła głową.

– Pamiętam praktycznie każde słowo z tej rozmowy. Trwała raptem pół minuty i z pewnością Amelia nie wspomniała o żadnych szczegółach... Zdaje się, że tego popołudnia wybierała się na plażę.

– Dobrze, to już coś. – Komisarz zerknął na Dmitris, dając jej do zrozumienia, że teraz może przejąć pałeczkę rozpytania, lecz nagle coś nasunęło mu się na myśl. Pochylił się ku Fig i powoli, ze szczególną ostrożnością, sformułował pytanie. Na pozór dziwne, choć ocierało się o kwintesencję sprawy.

30

– Lewicowe myślenie? – Fig się zdziwiła. Deryło budował pytanie tak długo i skomplikowanie, że Dmitris musiała wyłuskać jego sedno. – Chodzi wam o to, czy Amelia była jakąś lewacką bojowniczką?

– Albo choćby feministką. – Komisarz był jak na siebie zadziwiająco delikatny i zmieszany. – Nie mówię o akcjach rodem z biografii Lenina, o zamachy bombowe albo tajne komplety, ale po prostu pytam o jej poglądy. Chyba rozmawialiście o polityce.

– Owszem. Zdarza się. Czasem się nawet o nią pokłócimy.

– Akurat to nic niezwykłego...

– Tak, ale w tym rzecz, że to ja mam bardziej lewicowe poglądy od niej. – Fig uśmiechnęła się blado. – Choć bijecie chyba do jej seksualności? Biseksualista znaczy lewak?

– Nie powiedziałem tego.

– Amelia, mimo swojej orientacji, jest konserwatystką. Choć to kobieta sukcesu, jak już mówiłam, baba z jajami, ale zarazem optuje za wsparciem rodziny i wychowaniem zgodnym z dekalogiem. Nie cierpi zielonych, żartuje z wegetarian i tak dalej... Jej konikiem jest rozwój technologiczny, choćby kosztem natury.

Dmitris coś zanotowała, po czym zerknęła na zawieszony nad stołem okrągły dworcowy zegar. Wskazówka w kształcie dłoni, odkąd się tu pojawili, stała w miejscu, mierząc w ułożone na godzinie trzeciej wiśnie. Tandetny wyrób musiał nie działać.

– Czy jest osobą wierzącą? – dopytała ponownie, spoglądając w ciemne oczy Fig. – Czy chodzi do kościoła?

– W święta chyba się jej zdarza, ale z pewnością nie co niedzielę. Poza tym rozdziela kościół od kleru.

– Jednak skoro jest wierząca, w takim razie nawiedzenie i...

Kobieta weszła Dmitris w słowo.

– Nawiedzenie? – parsknęła. – Ta rozmowa mnie zszokowała, bo Amelia jest cholernie racjonalną i zdroworozsądkową osobą. Ona nawet na najbardziej przerażającym horrorze zaśmiewa się, jakby oglądała bajkę dla dzieci.

– W sumie tak jest... – bąknął Deryło.

– Słucham?

Komisarz machnął ręką. Podniósł się od stołu i podziękował za poświęcony czas.

– Sfera duchowa to duchowa, ale tamta ankieta ją rozbawiła. – Fig powiedziała to, gdy znaleźli się już w przedpokoju. Jakby po to, aby właściwie ją zrozumiano, dodała: – Na pewno nie potraktowała jej poważnie.

„A powinna” – przemknęło Deryle przez myśl, lecz ugryzł się w język.

– Na stoliku był rozłożony notes, który zwrócił moją uwagę. Tak jakby ta kobieta korzystała z niego niedługo przed zniknięciem.

– Już o tym mówiłeś.

Dmitris spojrzała na komisarza i zmarszczyła brwi. Kilka minut wcześniej wsiedli do citroëna Deryły i teraz kluczyli wąskimi uliczkami. Komisarz głośno porządkował myśli. Nagle sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej telefon. Pośpiesznie odebrał. Wymienił kilka lakonicznych słów, po czym rozczarowany rzucił komórkę do schowka.

– Liczyłem, że to ViSir... – mruknął.

– A to?

– Człowiek z tutejszej komendy. Na moją prośbę weryfikował inicjały, które widziałem w tym notatniku...

– Po twojej minie widzę, że chyba nie mamy żadnego przełomu.

Deryło ponuro potrząsnął głową. Zacisnął dłonie na kierownicy i bezmyślnie skręcił w kolejną nadmorską uliczkę.

– Niestety. „K. K.” Osoba o takich inicjałach nie przewija się w dotychczasowych aktach, zapytano o nie Fig i ta również nie miała nic do powiedzenia. Słowem, pudło.

Dmitris się zamyśliła. Poprawiła spinkę do włosów, po czym oparła głowę o szybę auta. W tej pozycji przypominała komisarzowi Tamarę. Brakowało tylko, by wyciągnęła paczkę draży miętowych i go poczęstowała. Nagle poczuł do niej niczym nieuzasadnioną złość. Jakby to jej winą było to, że nie jest Tamarą. Jakby miał prawo na niej wyładować całą wściekłość za to, co się wydarzyło. Zdawał sobie jednak sprawę z absurdu tych uczuć i ze wszystkich sił starał się skierować myśli na inny tok.

– O czym dumasz? – zagaił, siląc się na obojętny ton. – Wyglądasz, jakbyś rozwiązywała równanie kwantowe.

– To znacznie bardziej trywialne.

– I tak możesz się tym podzielić.

Dmitris odwróciła się do komisarza i delikatnie przekrzywiła głowę. Jej regularne południowe rysy nabrały tajemniczego wyrazu.

– Czy oprócz inicjałów nie było tam nic więcej? – zapytała po chwili.

– Co masz na myśli?

– No, numeru telefonu, adresu, daty, czegokolwiek... Inicjały to tylko bezsensowne litery. W notatniku zazwyczaj zapisuje się coś więcej.

Deryło zwolnił i oderwał dłoń od kierownicy. Zabębnił palcami w lewar zmiany biegów. Nagle zjechał na pobocze, po czym zatrzymał auto.

– Jezu! – Dmitris aż się zaparła stopami o podłogę auta. – Ostrożnie! Ten zabytek mechaniki zaraz się rozpadnie.

Komisarz nie zwracał na nią żadnej uwagi. Nachylił się, by wydobyć ze schowka telefon. Szybko go odblokował i z głębokim namysłem uruchamiał kolejne aplikacje. Dmitris spojrzała na niego z przyganą.

– Znowu bawimy się w granie na emocjach i chwile pełne napięcia?

– Nie, nie... Ale masz całkowitą rację. – Nagle Deryło poprawił się w fotelu i obrócił ekran telefonu ku Sofii. – Widzisz? Co to może znaczyć?

32

– Jeżeli nas przyłapią, mamy przekichane – rzucił Wojtek.

– Przerąbane. A nawet przejebane – poprawił go Artur. – Kto mówi „przekichane”? To jakieś słowo używane przez naszych dziadków albo klechów na katechezie.

– Księża używają znacznie gorszych – wtrącił Adam. – Sam wielokrotnie słyszałem.

Nie powiedział nic więcej. Zarzucił na ramię plecak, do którego schował wyciągnięty niedawno przedmiot i ruszył ku drzwiom. Skinieniem głowy dał znać kolegom, by poszli za nim.

Wojtek bez przekonania zerknął na Artura, jednak ten już podążył za najstarszym chłopcem. Po chwili cała trójka wyszła na korytarz, na którym nie było teraz nikogo. Z sali telewizyjnej dochodziły dziecięce śmiechy świadczące o tym, że opiekunowie włączyli kolejną komedię dla dzieci. Nie brali pod uwagę różnicy wieku podopiecznych. Część kolonistów miała zaledwie siedem lat, a niektórzy w przyszłym roku mieli skończyć podstawówkę. Właśnie do tych ostatnich zaliczali się chłopcy przemierzający korytarz.

– Teraz cicho i ostrożnie – nakazał Adam.

Pozostała dwójka kiwnęła głowami, po czym wszyscy niemal na palcach przemaszerowali przy jednym z pokoi zajmowanych przez dorosłych. Było to pierwsze z niebezpiecznych miejsc. Kolejne stanowiło rozwidlenie korytarzy, przy którym ustawiono stół z tacami pełnymi świeżych owoców oraz warzyw. Większość z nich pozostała oczywiście nietknięta. Właśnie na to miejsce rozpościerał się widok z sali telewizyjnej.

– No to pozamiatane – mruknął Wojtek. – Drzwi są otwarte.

– Ale wszyscy gapią się w ekran, debilu – bąknął Adam. – To normalne, gdy ogląda się film.

– Można się jeszcze patrzeć na dziewczyny – wtrącił Artur.

Po tej uwadze trójka konspiratorów uśmiechnęła się do siebie i w jakiś tajemniczy sposób nabrała odwagi. Adam znacząco klepnął się w plecak.

– Wiecie, co czeka nas za kilka minut – szepnął. – Musimy się tylko postarać. Idziemy oddzielnie tak, jakbyśmy po prostu szli do kibla. Nawet jeśli ktoś nas zobaczy, to nic...

Chłopiec miał rację. Choć jedna z opiekunek z pewnością widziała przechodzącego korytarzem Wojtka, nawet się nie odezwała. Powróciła do śledzenia fabuły bajki, która pochłoneła ją znacznie bardziej niż niejednego z jej podopiecznych.

Cała trójka niebawem znalazła się na dworze. Choć deszcz lał niezmiennie mocno, nie mógł ich powstrzymać. Poczując wolność, jak oszaleli rzucili się biegiem między sosnami porastającymi pas

wzdłuż plaży. Po pokonaniu niespełna trzystu metrów znaleźli się na terenie opuszczonego ośrodka. Dwie stare altanki chyliły się ku upadkowi, a cały teren porastały wysokie trawy, pokrzywy oraz dzikie róże.

– Tam. – Adam wskazał na bliższą chatkę. – Tam przekonacie się, czym jest zło. Już niedługo.

33

Na powiększonym zdjęciu widoczny był leżący na szafce otwarty notatnik. Figurowały w nim dwie zapisane niedbałym pismem litery: K.K. Jednak tuż obok znajdowała się adnotacja: 2010. Dmitris odruchowo poprawiła spinkę do włosów i przeniosła spojrzenie na komisarza.

– Okej, miałam rację – zgodziła się. – Jednak dalej to nic mi nie mówi. Dwa tysiące dziesięć? Myślisz, że chodzi o rok?

– Nie mam pojęcia. Co by to miało znaczyć? Że właśnie wtedy ta kobieta poznała jakiegoś K.K.? Po co miałyby to zapisywać?

– Swoją drogą... – Sofia jeszcze raz wzięła telefon od Deryły i dokładnie przyjrzała się zdjęciu. Obracała je oraz powiększała w różnych miejscach. Wreszcie zrobiła minę, która nie zwiastowała nic dobrego.

– Co takiego tam widzisz?

– To pismo... Oczywiście mogę się mylić, należy dać je do zbadania, ale...

– Ale co? Wyrzucić to z siebie albo dam ci coś na rozwolnienie.

Dmitris westchnęła.

– Moim zdaniem to męskie pismo. Ostry krój liter, cyfry bez zaokrągleń, niepodomykane zera, jedynka jako kreska... To typowe cechy męskiej ręki.

Deryło zagryzł wargę. Jeszcze raz zerknął na zdjęcie, po czym schował telefon do kieszeni. Energicznie pchnął drzwi auta.

– Dokąd idziesz? – zapytała Dmitris. – Masz jakiś plan?

– Żadnego. Po prostu muszę to rozchodzić.

Komisarz ponownie wyciągnął komórkę i wybrał numer do komendy. Gdy przekierowano go do Adamskiego, poprosił, by grafolodzy pochylili się nad notatnikiem. Jak się okazało, nie został on nawet zabezpieczony jako dowód. Aspirant pokrętnie się tłumaczył, wreszcie zapewnił, że wszystkiego dopilnuje osobiście. Dał na to nawet słowo.

– Dwa tysiące dziesięć... – Deryło wymamrotał, gdy zakończył połączenie. – K.K. Dwa tysiące dziesięć.

– Dwa, zero, jeden, zero – rzuciła Sofia. – Może to jakiś kod? Może K.K. to nazwa skrytki, w której...

– Nie! Czekaj!

Komisarz oparł się o maskę citroëna i pośpiesznie odblokował komórkę. Był wdzięczny Haler, że w ciągu ostatnich miesięcy nauczyła go jej obsługi. Tamara... Haler... Odegnął wspomnienia i uruchomił internet. Kilkukrotnie myląc klawisze, wpisał hasło. Dmitris nachyliła się nad jego ramieniem, z zaciekawieniem zerkając na ekran telefonu.

– Myślisz, że to o to chodzi?

– Zaraz się przekonamy.

Strona wyszukiwarki ładowała się bardzo powoli. W całej miejscowości zasięg nie był najlepszy, ale wreszcie internet wypluł wyniki. Deryło otworzył pierwszą stronę od góry. Uniósł dłoń, jakby chciał triumfalnie zabębnić palcem w wyświetlacz.

– To chyba pasuje, no nie?

Dmitris jedynie ponuro kiwnęła głową. Tak, to z pewnością pasowało.

– Księga Kapłańska, rozdział dwudziesty, werset dziesiąty? – Dmitris jeszcze mocniej pochyliła się nad ramieniem komisarza. – Brzmi sensownie... Aż nazbyt.

Deryło powiększył tekst, by odczytać właściwy fragment.

– „Ktokolwiek cudzołoży z żoną bliźniego, będzie ukarany śmiercią i cudzołożnik, i cudzołożnica...”[1] – Uśmiechnął się blado i sapnął. – Może i jest w tym więcej sensu, niż na pozór by się wydawało.

– Szkoda, że nie sprawdziliśmy tego przed rozmową z Fig...

– Wiesz, że ten temat traktowała dość oględnie... Jak to mówiła? „Seksualność”, „sfera seksualności”?

– Jakoś tak. W każdym razie słowo „biseksualizm” ledwie przeszło jej przez gardło.

– Chcesz do niej wrócić i jeszcze raz o tym pogadać?

– Nie. – Deryło wybrał w komórce niedawno zapisany numer i przytrzymał słuchawkę między uchem a ramieniem. – Może przez telefon będzie nieco bardziej swobodna – szepnął. – W każdym razie...

Odchrząknął i formalnie się przedstawił. Najwidoczniej Fig odebrała, lecz nie miała pojęcia, z kim rozmawia. Deryło zamienił z nią kilka słów, co chwilę zerkając wymownie na Sofię. Początkowo starał się mówić oględnie, szafując ogólnikami i licząc, że kobieta sama zrozumie, do czego zmierza, lecz ta najwyraźniej nie była chętna podchwycić temat. W końcu komisarz cicho odchrząknął.

– Czy to możliwe, żeby pani Darska zainteresowała się kobietami po uprzednim rozczarowaniu jakimś mężczyzną? Zawodzie miłosnym albo... Wie pani, o co mi chodzi.

Dmitris domyśliła się, że na linii zapadła cisza i dopiero po kilku sekundach Fig udzieliła Deryle odpowiedzi. Ta musiała być wymijająca, gdyż komisarz z rezygnacją sapnął. Wreszcie zakończył połączenie i wciąż trzymając telefon w dłoni, zagryzł usta.

– I?

– Cholera, nie zapytałem o coś jeszcze. Zaczekaj...

Deryło ponownie wybrał numer Fig. Tym razem kobieta odebrała od razu, a komisarz nie zamierzał już jej zwodzić półsłówkami. Natychmiast przeszedł do sedna. Odpowiedź kobiety była zaskakująca.

[1] Biblia Tysiąclecia, Pallotinum, Kpł 20,10.

Amelia Darska знаła Izabelę Daus. Fig kojarzyła nazwisko zamordowanej kobiety i wiedziała, że swego czasu ta współpracowała z jej przyjaciółką. Nie potrafiła zdradzić żadnych szczegółów tej współpracy, lecz nie miała wątpliwości, że łączyły je jakieś relacje.

Biznesowe? Czy coś więcej?

Te pytania Deryły nie uzyskały jednoznacznej odpowiedzi. Formalnie z punktu widzenia światopoglądowego obie kobiety stały po przeciwnych stronach barykady. Ironia losu sprawiła, że konserwatystka nie stanowiła najwyraźniej w życiu prywatnym najlepszego przykładu wzorca żony, pani domu ani tym bardziej owej spoiny wzorowej rodziny, którą miała być kobieta.

Mogło to jednak nie być szczególnie istotne ani z punktu widzenia sprawcy, ani – w związku z tym – dla śledczych. Komisarz dopuszczał nawet możliwość, że morderca mógł uprowadzić osobę powiązaną z jego poprzednią ofiarą tylko po to, by wywieść dochodzenie na manowce. Czasem ułuda dodatkowego powiązania faktów i uzyskania nowego tropu sprawiała, że śledczy tracili dni, a nawet tygodnie na wędrowanie w fałszywym kierunku. W Egipcie pod koniec XX wieku działał morderca, który przy ciałach zamordowanych kobiet zostawiał listy z cytatem z Koranu dotyczącym zabijania bezbożników. Tamtejsza policja przez długi czas szukała sprawcy o motywacji religijnej, w czym pomagały jej również służby międzynarodowe. Koniec końców okazało się, że sprawca to mieszkający w Egipcie obywatel Francji, który z islamem nie miał nic wspólnego. Zamordowane kobiety straciły życie tylko dlatego, że kolejno odrzucały jego zaloty. Sprowadzenie śledztwa na fałszywe tory było proste i naprawdę skuteczne.

Komisarz zetknął się z tyloma zdegenerowanymi, ale niesamowicie pomysłowymi umysłami, że dopuszczał wszelkie scenariusze. Nie przekreślał żadnej motywacji ani żadnego przebiegu wydarzeń. Rozczarowania miłosne, zemsta, mizoginia, urojenia... Wszystko wchodziło w grę.

Leżąc w hotelowym łóżku, do późna zastanawiał się nad przebiegiem ostatnich godzin. Analizował je jako całość oraz rozbierając na oddzielne szczegóły. Wycięta skóra, drewniany stelaż, tajemniczy ankieter, słowa o nawiedzonym domu... Choć wydawało się, że wszystko to ma liczne punkty wspólne, wcale nie był o tym przekonany. Od wczoraj jedynie przybyło znaków zapytania.

Duchy? Zło jako takie? Emocje? Ból?

Może. Całkiem prawdopodobne, ale...

Na właściwy trop mógł go naprowadzić ViSir. Niestety informatyk nadal nie zadzwonił, by poinformować o wykonaniu zadania. Czyżby to go przerosło?

Komisarz podniósł się i siadł na łóżku. Sięgnął po leżący na szafce nocnej notatnik, po czym wyrwał z niego kartkę. Złożył ją tak, by nadać jej kształt kwadratu, a następnie odruchowo, pogrążony w myślach, zaczął składać z niego żurawia origami. Symbol szczęścia, które było mu teraz tak bardzo potrzebne...

Nie. Nagle pomyślał, że szczęście może znaleźć gdzieś indziej. A przynajmniej jego pozory.

Mimo późnej pory w hotelowym barze było jeszcze kilka osób. Grupka mężczyzn siedziała przy okrągłym stoliku w rogu, samotny starzec sączył piwo tuż przy wejściu, a smukła kobieta sączyła drinka przy samym barze. Miała około pięćdziesięciu lat i ładną sylwetkę, którą

podkreślała obcisła, krótka sukienka. Twarz, zmęczona, o podkrążonych oczach i mętym spojrzeniu, nie pasowała do całości. Komisarz pomyślał nawet, że to może przez żółte, rozproszone światła kobieta wydaje się starsza. W każdym razie z pewnością nie odpowiadał za to brak makijażu, którego aż zbyt gruba warstwa pokrywała jej twarz, podkreślała oczy oraz uwydatniała i tak wydatne usta.

Deryło pochylił się nad wypolerowanym kontuarem i przywołał barmana.

– Małą whisky – rzucił. – Lód i woda.

– Jaka?

– Obojętne. Lód i woda sprawiają, że da się wypić każdą.

Wymiana zdań zwróciła uwagę samotnej kobiety. Deryło widział, że obrzuca go wzrokiem, ale nie dał tego po sobie poznać. Przez chwilę po głowie przemknęła mu myśl, że miło byłoby się ludzić, że to jego córka. Mógłby sobie to wmawiać, ale...

– Jaki sens ma zamówienie dowolnego whisky z lodem i wodą, skoro wie się, że te zabijają smak?

Kobieta znalazła się tuż przy nim. Miała niski, nieco chropawy głos, a wokół niej unosił się intensywny aromat cytrusowych perfum. Deryło chwycił podaną mu przez barmana szklaneczkę i odwrócił się do nieznajomej.

– Miło jest się napić – odparł, patrząc prosto w jej duże kocie oczy. – Ale gdy jest to zbyt miłe, ma się ochotę wypić zbyt wiele. A z kolei to już miłe nie jest.

Kobieta się roześmiała. Machnęła dłonią, jakby chciała odgonić sprzed nosa muchę, i wyciągnęła dłoń do komisarza. Dotknęła jego ramienia.

– Jest pan tu sam? – Pochyliła głowę i nagle się wyprostowała. Usiadła na obrotowym hokerze tuż przy Deryle. Obróciła się w jego stronę tak, że teraz jej kolana niemal dotykały jego pasa. – Ja tu też bywam i lubię dobrą zabawę... Niech pan jeszcze nie odpowiada. Proszę pozwolić mi zgadnąć. Przyjechał tu pan w interesach... Wiem,

że wiele osób robi tu biznesy, gdyż jesteśmy na uboczu, więc wydaje się, że świat przymyka na wszystko oko. Na nieścisłości i grzechy...

To ostatnie słowo kobieta wymówiła ze szczególnym naciskiem. Oblizwała usta i przygryzła wargę.

– Same puste strzały. – Deryło jednym łykiem wypił niemal całą zawartość szklaneczki i szeroko się uśmiechnął. – Jestem gliniarzem.

Kobieta aż podskoczyła. Zmrużyła oczy i ponownie się zaśmiała. Tym razem krótko i piskliwie.

– Ja to mam farta – mruknęła. – Mówi pan poważnie?

– Jak najbardziej.

– Szlag.

– Aż tak źle jest spotkać gliniarza po godzinach?

W oczach kobiety pojawił się filuterny błysk. Nie miała jednak odwagi sama z siebie podchwycić tematu. Deryło łypnął w stronę niewielkiej przestrzeni w pobliżu głośników, po czym ponownie odwrócił się do nieznajomej. Wskazał na błyskające światła, a potem parkiet. W tym momencie grano *You will be the woman soon*, piosenkę, która kojarzyła mu się przede wszystkim z kultowym *Pulp Fiction*.

– Mogę pani zaproponować taniec – rzucił bez uśmiechu. – A potem kolejkę whisky. Z lodem i wodą.

– Taniec? Ale ja...

Wszedł kobiecie w słowo.

– Ja też. I nie chcę wiedzieć, jak się pani nazywa. Zresztą i tak nie powiedziała mi pani prawdy. Zatańczymy, kupię pani drinka, a potem wieczór się skończy.

– Jest pan... Sama nie wiem jaki.

– Wystarczy powiedzieć: „Tak, chętnie zatańczę”. Za moment skończy się ta piosenka i opuści mnie ochota oraz odwaga.

– Wobec tego nie mamy czasu do stracenia!

Kobieta natychmiast zgrabnie zeskoczyła z hokera, chwyciła komisarza za rękę i poprowadziła go ku parkietowi. Tańczyła wspaniale, a on robił, co mógł, by dotrzymać jej tempa. Gdy kilka

minut później znalazł się w łóżku, nie miał pojęcia, czy to wszystko mu się nie przyśniło. Włącznie z niezobowiązującym pocałunkiem, który złożyła mu na policzku.

DZIEŃ NASTĘPNY

37

Deryło skorzystał z okazji i skoro świt udał się na plażę. Tłumacząc się sam przed sobą, że odrobina ruchu pozwoli mu sprawniej myśleć, przez niemal pół godziny pływał równolegle do brzegu. Tym razem nikt mu w tym nie przeszkodził. Woda była zimna, ale przez to odświeżająca. Zapowiadał się kolejny upalny dzień, a już od rana panował okropny zaduch. Na niebie nie było ani jednej chmurki i nad horyzontem, niczym w krajach śródziemnomorskich, unosiła się biaława mgiełka.

Wreszcie komisarz wyszedł na brzeg i głośno parszkając, wytarł się z kropli wody. Na plaży pojawiła się prócz niego pierwsza para, która usiadła na krzakiastym kocu. Po chwili rozległ się dźwięk otwieranych puszek piwa, a do młodych ludzi dołączyli kolejni. Nadmorskie wyjazdy w tym wieku rządziły się swoimi prawami. Udowadniały, że wraz z wiekiem nabierało się nie tyle rozsądku, co wrażliwego żołądka.

Deryło przez kilka minut ukradkiem przyglądał się młodzieży. Pograżył się we wspomnieniach. Co prawda nigdy wcześniej nie był w tej miejscowości, lecz razem z bratem Romanem i ówczesną przyjaciółką, a późniejszą żoną Ewą, bywali na kempingu kilkanaście kilometrów dalej. To między innymi dlatego na urlop wybrał właśnie te okolice. Mniej lub bardziej świadomie podążał szlakiem własnej przeszłości. Przeszłości, z której pozostało trochę dobrych wspomnień, lecz przede wszystkim ucisk w głębi serca. Otaczały go duchy... Gdyby chociaż w nie wierzył, mogłoby to być pocieszeniem. Tymczasem mimo szczerych chęci pozostawał podręcznikowym ateistą.

– Wiki... – wypowiedział zdrobienie imienia córki, jakby usiłował sobie przypomnieć sposób, w jaki je wymawiał przed laty. – Wiki...

Przed oczami przesunęło mu się wspomnienie dnia, w którym Wiktoria poznała się z Tamarą. Obie kobiety przypadły sobie do gustu i wówczas czuł, jakby miał dwie córki. Jakby jego rodzina znów stawała się niemal pełna. A potem... Bańka prysła tak szybko, jak urosła. Do tego stało się to w całkowitej ciszy.

Deryło założył koszulę i zapiął dwa guziki. Zawrócił w stronę hotelu, po czym skierował się ku części restauracyjnej. Ledwie minęła siódma, lecz w przeszklonym wnętrzu już pojawili się pierwsi goście. W powietrzu unosił się zapach kawy oraz wypiekanego pieczywa. Pobrząkiwały sztucze i wieka metalowych podgrzewaczy. W głębi szemrał przyciszony telewizor.

Komisarz przecesał palcami mokre włosy i zerknął na swoje klapki. Dawniej nie pojawiłyby się w restauracji w takim stroju. Nawet jedynie na śniadaniu, gdy wokół było zaledwie kilka osób ubranych równie mało formalnie. Teraz... Wahał się tylko przez chwilę. Wracanie do pokoju równało się stracie kilku minut oraz potencjalnemu sprawdzeniu umyślnie zostawionej w nim komórki. Na to jeszcze był czas. Dlaczego nie miałyby sobie pozwolić na tę krótką, błogą chwilę nieświadomości? Pozornego odpoczynku, choćby ten wiązał się z podążaniem szlakiem własnych wspomnień.

Wziął talerz, nałożył na niego bułkę i dżemiki w opakowaniach, po czym skierował się do stolika położonego w rogu pomieszczenia. Odruchowo zerknął w stronę zawieszzonego niedaleko telewizora. Choć głos był niemal całkowicie ściszony, jego uwagę przykuła przesuwająca się belka.

– Cholera... – syknął, niemal rzucając talerzyk na stół. – Jakim cudem się dowiedzieli?

– Zgłośnijcie to! Zgłośnijcie ten cholerny telewizor!

Komisarz jak opętany machał to do kelnera, to do szefa sali, wskazując na ekran. Rozglądał się przy tym za pilotem. Choć z głośników dobywał się cichy szmer, dźwięk został tak mocno ściszony, że niemal niemożliwe było rozróżnienie słów. Poza tym w restauracji pojawiała się coraz więcej ludzi, którzy rozmawiali i brzękali naczyniami. Grupka stojących najbliżej osób bacznie przyglądała się komisarzowi. Ten nie zwracał jednak na nich żadnej uwagi. Pochłoneła go próba czytania z ust kobiety, która właśnie pojawiła się na ekranie. Była w bliżej nieokreślonym wieku, miała podkrążone oczy i niedbale uczesane włosy. Deryło doskonale wiedział, że właśnie takie niepozorne reporterki bywają najciekawsze. Tym bardziej niepokoiły go kolejne komunikaty.

„TAJEMNICZY ANKIETER. CO O NIM WIE POLICJA?”

Pasek o takiej treści raz po raz przewijał się na dole ekranu. Deryło nie musiał się specjalnie domyślać, w jakim tonie zrealizowano materiał. Nagle ktoś zgłosił telewizor i dobiegł go niski, niemal męski głos dziennikarki.

– Kolejne osoby zgłaszają się, informując o ankietach dotyczących wiary w duchy bądź inne zjawiska nadprzyrodzone. Co ciekawe, część z nich nie jest nawet w stanie stwierdzić, czy zagadująca je osoba była mężczyzną, czy kobietą. Jak dotąd nie udało się stworzyć żadnego portretu pamięciowego, a policja, zdaje się, jeszcze nie podjęła tego tropu. Co gorsza, nie wiadomo, czy ankieter jest jeden, czy może istnieje cała grupa powiązana z zaginięciem Amelii Darskiej. Do naszej redakcji zgłaszają się kolejne osoby i z pewnością o kolejnych wydarzeniach będziemy państwa informować na bieżąco. Tymczasem jeszcze raz pokazujemy zdjęcie zaginionej. Gdyby ktokolwiek widział ją w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, proszony jest o...

Deryło sapnął. To, skąd media podłapały ten wątek, było teraz nieistotne. Zaskoczyła go jednak informacja o innych osobach

zaczepionych przez owego „tajemniczego ankietera”, choć mógł to być jedynie wymysł dziennikarzy. Dla taniej sensacji byli oni w stanie stworzyć całkowicie alternatywną rzeczywistość. Dorabiali fakty i dopisywali wydarzenia, wiedząc, że pozostaną bezkarni. Nie zdawali sobie sprawy, jaką krzywdę wyrządzali śledztwom.

Komisarz całkowicie stracił apetyt. Ledwie skubnął bułkę, po czym wypił przy ekspresie podwójne espresso i czym prędzej udał się do pokoju. Już kiedy podchodził do drzwi, usłyszał dobiegające ze środka tony *Sarabande* Haendla. Wpadł do środka i rozejrzał się za swoim telefonem. Po chwili odnalazł go pod poduszką na łóżku. Dzwonił aspirant Adamski i zgodnie z komunikatem na ekranie nie było to pierwsze pochodzące od niego połączenie. Deryło momentalnie zapomniał o planie porannego odpoczynku. Odebrał i przytknął komórkę do ucha.

– Tak, widziałem ten cholerny reportaż... – warknął na przywitanie.
– Zrobi się teraz kompletny burdel.

– Ma to również swoje dobre strony – odparł swym ślamazarnym głosem Adamski. – Tym bardziej że pismaki zorientowali się, że współpracuje pan z nami przy tej sprawie. I jest ktoś, kto chce z panem porozmawiać, komisarzu. To całkiem ciekawe...

39

Symeon Odier. To imię i nazwisko brzmiały tak egzotycznie, że wydawały się pseudonimem. Deryło zdecydował o to nie dopytywać. Mężczyzna, który za pośrednictwem Adamskiego, a wcześniej dyżurnego komendy policji postanowił się z nim spotkać, wykazał się ogromną determinacją. Nie chciał rozmawiać przez telefon, lecz zaproponował spotkanie w Lornetkowie.

Lornetkowie? Deryło nie miał pojęcia, co to za miejsce i jak się tam dostać. Przeczucie podpowiadało mu również, że może to nie być nazwa obecna w wyszukiwarkach Google.

Okazało się, że Lornetkowem miejscowi nazywali punkt widokowy na nadmorskim klifie, na samym skraju parku krajobrazowego. Choć okolica robiła niesamowite wrażenie, docierało tu niewiele osób, gdyż do wyznaczonego punktu wiodło tylko kilka tras, na które składały się przeważnie wysokie drewniane lub kamienne schody. Wykluczało to spacer z wózkiem albo osób w podeszłym wieku. Komisarz po ponad kwadransie wspinaczki z satysfakcją stanął na szczycie. Był lekko zdyszany, a czoło zrosił mu pot. Mimo to nie zatrzymał się. Natychmiast ruszył w stronę wskazaną przez tabliczki informacyjne.

Wkrótce wyłonił mu się niewielki, półokrągły naturalny taras otoczony metalową barierką. Stało przy niej kilka osób, a kolejnych kilka robiło zdjęcia. Na widok Deryły z jednej z ławek podniósł się mężczyzna o kilka lat starszy od komisarza. Był ubrany w granatowe spodnie, białą koszulę oraz lnianą marynarkę z delikatnym deseniem. Na głowie miał elegancką panamkę. W zestawieniu z tym strojem jego blada twarz wydawała się niemal przezroczysta. Błękitne oczy ginęły gdzieś we wgłębieniach czaszki, a wąskie usta miały niemal ten sam kolor co skóra.

Mężczyzna przedstawił się owym egzotycznym imieniem, skinął komisarzowi głową i dał znać, by usiedli na ławce na uboczu punktu widokowego. Deryło kątem oka rzucił na rozległą panoramę Bałtyku, na rozciągające się u podnóża skarpy plaże i wreszcie podążył za Odierem.

– Co takiego chciał mi pan powiedzieć? – natychmiast przeszedł do rzeczy. – Straciłem mnóstwo czasu, żeby się tu dostać.

– Czy sam widok nie jest wystarczającą rekompensatą?

– Gdybym chciał widoków, polatałbym paralotnią.

Odier westchnął. Usiadł na ławce i zwiesił głowę między ramiona. W tej pozycji zastygł przez dobrych kilkanaście sekund. Deryło już miał go szturchnąć, gdy ten powoli odwrócił się w jego stronę.

– Słyszał pan o niebieskim wielorybie? – zagadnął. – O tym niesławnym *blue whale*?

Komisarz się zastanowił i kiwnął głową.

– Chodzi o tę grę, przez którą nastolatki popełniali samobójstwa?

– Właśnie tak.

– Przepraszam, ale nie jestem w nastroju do domysłów...

Symeon Odier ponownie spojrział w dal. Przesunął kapelusz na tył głowy, po czym wyciągnął chusteczkę i otarł nią pot z góry wargi.

– Skoro myśli pan, że to domysły, to rzeczywiście niczego nie wiecie.

– Czego mamy niby nie wiedzieć? Niech pan się wysłowi.

– Przed niebieskim wielorybem były inne gry.

Deryło gniewnie mlasnął i podniósł się z ławki. Zawrócił niemal w miejscu, a następnie spojrział na Odiera z góry. Mężczyzna spokojnie uniósł dłonie.

– Jedną z nich zaczynało się wyjątkowym pytaniem. – Uśmiechnął się i skierował mętny wzrok wprost w oczy komisarza. – „Czy wierzysz w duchy?” Tak, właśnie to był początek całej serii zadań, wyzwania i katastrof... W trakcie gry zginęło kilka osób, ale nie to jest najciekawsze. Z naszą historią wiąże się znacznie więcej...

40

Drzwi do altanki były przywiązane z zamkiem cienkim drutem. Adam bez problemu go odwiązał i rzucił na ziemię. Po chwili chłopcy weszli do tonącego w półmroku środka.

– Nie ma tu światła? – zdziwił się Wojtek. – Nie widzę żadnych włączników...

– Nie – odparł Adam. – Poza tym i tak byśmy go nie zapalili, aby nie zwrócić na siebie uwagi. Chodźcie tam, pod okno. Prędko.

Nie zważając, że roznoszą błoto, chłopcy przemaszerowali ku sporemu oknu, którego jedna drewniana okiennica była oberwana, a druga żałośnie zwieszała się na zawiasie.

– Ponoć w tym domku kiedyś kogoś zamordowano – oznajmił Adam.

– Kręcono tu jakiś program, „Sezon pierwszy” czy coś takiego... Nigdy tego nie wyjaśniono.

– Nie żartuj. – Wojtek kuksnął go w ramię.

– On nie żartuje – wtrącił Artur. – Też o tym słyszałem. Rozmawiali o tym dwie opiekunki.

– Świetnie, po prostu, kurczę, świetnie.

– Nie pękaj. To tylko dodatkowy smaczek, no nie?

Adam ostrożnie odstawił plecak na ziemię i się rozejrzał. W domku niemal nie było żadnych sprzętów, a jedna ściana pomazana była czerwonym graffiti. Na podłodze poniewierały się butelki oraz podarte, stare koce. Czuć było smród moczu oraz kału. Ponury odbiór wnętrza zwielokrotniał deszcz walący o szybę oraz dach. Artur się wzdrygnął, lecz zaraz zamaskował to głośnym klaśnięciem.

– No, Adam, zaczynajmy! Nie ma co tracić czasu. Niedługo nasza nieobecność zostanie odkryta i będziemy mieli problem...

Adam kiwnął głową. Rozpiął plecak i wyciągnął z niego duże czarne pudło. Położył je na podłodze, po czym ponownie spojrzął na towarzyszy.

– To ostatni moment, aby się wycofać – stwierdził nadzwyczaj poważnie. – Kiedy otworzę pudełko, będzie na to za późno, rozumiecie?

– Tak – zgodził się Artur.

Wojtek jedynie kiwnął głową.

– Musisz to powiedzieć – naciskał Adam. – Głośno i wyraźnie.

– Tak – bąknął chłopiec, po czym, jakby zawstydzony własnym tonem, niemal krzyknął: – Tak! Co więcej mam dodać? Mało wam?

Adam przez chwilę stał nieruchomo, jakby celebrując ten moment. Wreszcie z namaszczeniem uchylił pudełko i wyciągnął z niego plik luźnych kartek. Przetasował je, po czym milcząc, przebiegł wzrokiem kilka akapitów. W jego oczach zapaliły się tajemnicze iskierki.

– To są zasady gry – oznajmił po chwili. – Przeczytajcie je uważnie. Powoli i ze zrozumieniem.

Podał kartki obu towarzyszom, którzy natychmiast zaczęli wertować ich zawartość. W pewnym momencie Wojtek pokręcił głową, jakby chciał czemuś zaprzeczyć.

– Nie, nie – rzucił wreszcie. – Nie wchodzę w to. Wiem, że zapewniałem, że się nie wycofam, ale... To jakieś szaleństwo! Opiekunowie nas zabiją. Wylecimy z hukiem z kolonii. Poza tym...

Chłopiec umilkł. Pod piorunującymi spojrzeniami dwóch towarzyszy spuścił głowę i zrezygnowany westchnął.

– Okej. – Głośno wciągnął powietrze i usiłował zdobyć się na uśmiech. – Przepraszam. Zacznijmy tę chorą grę.

Artur jako pierwszy wypowiedział otwierające ją pytanie:

– Czy wierzycie w duchy? One tu są...

41

Pierwszy etap, jak to najczęściej bywa w przypadku wszelkich gier, miał na celu przyciągnięcie uwagi oraz rozochocenie uczestników. Nie tylko gry hazardowe powodują rozszerzenie źrenic, przyśpieszone bicie serca, nieświadome, coraz częstsze oblizywanie warg. Są to reakcje bezwarunkowe związane ze zwiększonym wydzielaniem adrenaliny. Przyjemność płynąca z gry dorzuca dawkę endorfin oraz dopaminy. W pewnym momencie zarówno pokerzysta, jak i choćby gracz na komputerze podobni są do narkomana, który właśnie zaaplikował sobie nową dawkę używki.

Po kwadransie od rozpakowania czarnego pudełka trzech chłopców osiągnęło właśnie taki stan. Sprzyjały mu dreszczyk emocji związany z ucieczką z pokoju i nieustająca nawałnica za oknem. Sprzyjał mu też skręt z marihuany, który został załączony do pudełka.

Nastolatkwowie podzielili się nim i dopilnowali, by każdy zaciągnął się dokładnie tyle samo razy. Artur szczególnie uważał, by Wojtek nie oszukiwał, i kiedy ten się zaciągał, zatykał mu nos, a następnie usta. Wreszcie w altance zrobiło się siwo od dymu, który miał specyficzny kwaśny zapach.

Gra rozpoczęła się na dobre, a jej zasady były nadzwyczaj proste. Należało wykonywać wszystkie zadania i być bezwzględnie posłusznym Mistrzowi Gry, którym został Adam. Na kolejne etapy składały się inne zadania oraz rozmaite talie kart. Na ich jednej stronie był przedstawione wizerunki postaci z tarota oraz rozmaitych wierzeń z całego świata, a po drugiej znajdowało się pokrótce opisane zadanie.

Przy pierwszych wyzwaniach chłopcy mieli sporo śmiechu. Wyrwanie włosa z głowy, niemruganie przez pół minuty, wstrzymanie oddechu na czterdzieści sekund, a potem na minutę... Zdobywanie punktów było łatwe i dodawało poczucia, jakby było się do tej gry wręcz stworzonym. Dodatkowo pobudzał je czerwony komunikat na boku opakowania, informujący o tym, że nikomu nie udało się ukończyć tej gry. Nikt nie wykonał ostatnich zadań.

Nie minęło dwadzieścia minut, odkąd chłopcy znaleźli się w altance, gdy Wojtek wylosował kolejną kartę. Powoli w myślach odczytał zadanie, po czym nerwowo się zaśmiał. Adam i Artur nachylili się w jego stronę. Wszyscy trzej siedzieli na podłodze niedaleko jedyne go okna. Wiatr regularnie poruszał naderwaną okiennicą, wywołując przeciągły jęk zawiasu.

Adam zabębnił palcami w deskę. Wyprostował się i wymierzył palec w najmłodszego chłopca.

– Pokaż tę kartę – nakazał stanowczo. – Pokazuj!

– Ale...

– Pokazuj!

– Właśnie, pokazuj – dołączył Artur. – Teraz. Już. Szybciej!

Wojtek nieśmiało obrócił kartę w dłoni. Błady uśmiech przemknął mu przez twarz, a na policzkach pojawił się rumieniec.

– To idiotyzm – szepnął. – Zadanie polega na obcięciu sobie płatka ucha...

Adam kiwnął głową, jakby właśnie tego się spodziewał.

– Żyletka – powiedział ostrym tonem.

– Co żyletka? – zapytał nieśmiało Wojtek. – Przecież...

– Żyletka jest wśród gadżetów dodanych do gry. Leży w tamtym woreczku.

– Nie żartuj.

– Nie żartuję. Ani ja, ani nikt – wycedził Adam. Następnie zaczął monotonicznie powtarzać: – Żyletka, żyletka, żyletka, żyletka...

– Żyletka, żyletka, żyletka! – zaczął krzyczeć do wtóru Artur. – Żyletka...

Ich głosy złączyły się i wybrzmiały niczym pradawna pieśń kapłanów odprawiających upiorne rytuały. Zdawały się wypełniać altankę jakąś tajemniczą energią, całkowicie zagłuszając dźwięki nawałnicy. Nie było już odwrotu. Zło bezpowrotnie zjawiło się na powierzchni ziemi.

42

– Proszę się nie gniewać, komisarzu. Nie jestem już młody i nie potrafię przekazywać wiadomości tak klarownie, jakbym chciał. Poza tym część z nich to fragmenty moich własnych wspomnień, a niektóre to jedynie domysły lub nawet plotki. Tych ostatnich staram się unikać i nigdy nie powielać. Przynajmniej umyślnie.

Symeon Odier wyprostował się i poprawił kapelusz. Przez chwilę wpatrywał się w skrzący się w promieniach słońca Bałtyk, wreszcie przeniósł wzrok gdzieś w dal, w odległy horyzont. Niemal na linii zetknięcia się morza z niebem sunął długi kontenerowiec. Z tej odległości wydawał się niewiele większy od paznokcia.

– Rozumiem, proszę mówić dalej. – Deryło opanował zniecierpliwienie i ponownie usiadł przy Odierze. Wiedział już, że go w niczym nie pośpieszy. Odruchowo obrócił między palcami srebrny rzymski sesterce, który od lat służył mu za amulet. Co prawda nie wierzył w jego moc, ale przyzwyczajenie utrwaliło się i rytuał potrafił go uspokoić. – Nie wiem jednak, jaki związek ta gra mogłaby mieć ze śledztwem... Oczywiście poza rzekomym podobieństwem wiadomego pytania. Choć niech pan pamięta, że to dziennikarze poruszyli ten temat i przedstawili całkowicie po swojemu.

Odier kiwnął głową, jakby doskonale rozumiał wątpliwości komisarza. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym wyciągnął z niej złożoną kartkę. Bez słowa podał ją Deryle.

Komisarz zmrużył oczy, skupiając się na zapisanym niewielką czcionką tekście. Kartka stanowiła wycinek z gazety, na którym markerem zakreślono jeden z artykułów. Deryło pobieżnie czytał kolejne zdania, starając się wychwycić sens całości. W pewnym momencie zaznaczył palcem miejsce, gdzie skończył lekturę, i zerknął na Odiera.

– Rozumiem, że tych troje nastolatków zginęło dziesięć lat temu niedaleko stąd – odezwał się, usiłując zebrać myśli. – W tym rzecz?

– Również – lakonicznie odparł Symeon. Po chwili, widząc konsternację komisarza, dodał: – Rzeczywiście schronisko, w którym przebywali, znajduje się dokładnie dwa kilometry od tego miejsca. Dom, gdzie urządzili sobie grę, jest kilkaset metrów dalej.

– Popełnili samobójstwo?

– Nikt nie wie, co się tam dokładnie wydarzyło. Najprawdopodobniej jeden z nich zamordował pozostałych, a potem sam się zabił.

– Przez tę grę?

– To wersja oficjalna.

– A nieoficjalna?

Odier nie odpowiedział. Wskazał palcem na trzymaną przez komisarza kartkę, jakby na niej kryło się wyjaśnienie. Deryło zerknął na kobietę, która wychylała się ponad barierką, by zrobić sobie selfie.

Mało brakowało, a wypadłaby na drugą stronę. Nagle kocim ruchem odzyskała równowagę, co wywołało aplauz dwóch towarzyszących jej mężczyzn. Lekkomyślność i prymitywizm turystów bywały zatrwazające.

Komisarz powrócił do lektury. Kątem oka dostrzegł, że Symeon Odier bacznie mu się przypatruje, jakby wyglądał jego reakcji. Nagle Deryło zrozumiał, który fragment był najważniejszy. Przeczytał go dwukrotnie.

A potem z niedowierzaniem pokręcił głową i nerwowo parsknął.

– To jakiś absurd! – wykrzyknął. – Nie wierzę...

43

– Sprawia wrażenie racjonalnego. Przynajmniej jeśli przeczyta się jego artykuły naukowe albo wpisy na blogu.

Dmitris poszukiwała w internecie jakichkolwiek informacji o Symeonie Odierze. Okazało się, że jest ich więcej, niż się spodziewali. Komisarz przed paroma minutami streścił jej przebieg spotkania z mężczyzną, którym podzielił się również z aspirantem Adamskim. Teraz policjant jechał przed nimi służbowym bmw, usiłując poruszać się tempem, którego mógł mu dotrzymać citroën. Choć nie był przekonany co do entuzjazmu Deryły, zgodził się zawieźć go oraz Sofię na miejsce mordu sprzed lat. Mimo że nie potrzebowali na to formalnie jego zgody, najwyraźniej chciał również wykazać się, że cokolwiek robi w sprawie ostatniego zabójstwa i zaginięcia. Na wszelkich innych frontach śledztwo chyba stało w miejscu.

– Wycinek z gazety wyglądał również całkowicie racjonalnie – bąknął komisarz. – Tym bardziej że tekst napisał ktoś zupełnie inny. Zdaje się, że jakaś lokalna nawiedzona dziennikarka.

Deryło przypomniał sobie kobietę, którą widział w telewizji. Zjechali właśnie z nadmorskiego bulwaru i skierowali się w stronę rzadkiego mieszanego lasu.

– To emerytowany wykładowca etyki oraz filozofii. – Dmitris westchnęła, czekając, aż załaduje się jej kolejna strona. W tej okolicy zasięg komórkowy był coraz gorszy. Wszystko ładowało się jeszcze wolniej niż w miasteczku. – Bywał gościnnie nawet w Cambridge i na Harvardzie.

– Emerytowany? – zdziwił się komisarz. – Wydawało mi się, że jest starszy ode mnie ledwie o kilka lat. Choć wiem, że to prawie wiek emerytalny, ale zazwyczaj wykładowcy...

– W tamtym roku hucznie świętował osiemdziesiątkę.

– O cholera. Najwidoczniej tutejszy klimat i filozoficzne podejście do życia sprzyjają zachowaniu formy.

– Aha.

Zdawkowe przytaknięcie Sofii zwróciło uwagę komisarza. Łypnął na partnerkę i zobaczył, że ta jest całkowicie pochłonięta lekturą jakiegoś tekstu.

– Jego zainteresowania naukowe skupiają się między innymi na etycznej teorii gier – rzuciła po chwili milczenia. – Postawił tezę, że nasze upodobania hazardowe formują charakter równie mocno, jak wszystkie przypadkowe wydarzenia, z jakimi stykamy się w życiu.

– Brzmi skomplikowanie.

– Ale ładnie łączy się z naszą historią. Choć nie wiem, czy zdjęcie skóry z twarzy mogło być elementem jakiejś gry. A jeśli tak, wolałabym nie musieć w nią grać.

Deryło zwolnił, dostrzegłszy, że jadące przed nimi bmw skręca w wąską przecinkę. Ostrożnie zjechał z głównej drogi i skrzywił się, słysząc jęknięcie zabytkowych resorów citroëna w koleinach.

– A właśnie – odezwał się nagle. – To byłoby ciekawe... Oskórowanie jako forma wywiązania się z jakiegoś chorego zadania. Przypomnij mi, czy te ostatnie kretyńskie gry młodzieży nie polegały właśnie na wykonywaniu absurdalnych zadań? Świat się stacza.

– Tak – przyznała Dmitris. – Ale te zadania kończyły się samobójstwami, a nie morderstwami.

– Samobójstwa są głupie. Morderstwa mogą być ekscytujące. Przynajmniej z perspektywy sprawcy, który jest podobny do hazardzisty...

Deryło nie rozwinął tej myśli. Adamski właśnie zjechał w niewielką zatoczkę znajdującą się przed rozpadającą się drewnianą altaną. Komisarz zatrzymał furgonetkę obok bmw i wyłączył silnik. Uważnie rozejrzał się wokół.

– Ładna okolica – mruknął. – W sam raz, żeby popełnić zbiorowe samobójstwo. Albo żeby zagrać w upiorną grę... Choć nadal nie jestem w stanie uwierzyć, że ktoś, kto popełnił samobójstwo, zostawił wiadomość, że powróci po równej dekadzie. A nawet jeśli, to że faktycznie mu się to udało.

Dokładnie taka myśl, a raczej przestroga, znalazły się w artykule sprzed lat.

44

– To ten domek. Można powiedzieć, że jest przeklęty. Po pierwszej zbrodni i tak nie było najemców i popadał w kompletną ruinę, lecz od dziesięciu lat nawet nie pojawił się pomysł, żeby zainwestować w okolicę. Znajdujemy się dwieście metrów od wybrzeża i kilka kilometrów od jednej z najpiękniejszych plaż Bałtyku, a turystyka omija to miejsce jak skażone. Nikt nie chce ryzykować.

Adamski zatrzymał się przed drewnianą altaną i ponuro rozejrzał się wokół. Teren był zarośnięty trawą oraz chwastami, gdzieniegdzie w górę wystrzelały dziczki zasianych drzew. Jedna ze ścian budynku została niemal całkowicie pomazana nieudolnymi graffiti, a pod oknem drugiej widać było ślad po nadpaleniu. Zapewne ktoś rozpałił

w pobliżu ognisko, które jedynie dzięki impregnatom sprzed lat nie zajęło całej altany.

Aspirant sięgnął do kieszeni i wyciągnął niewielkie opakowanie. Ostrożnie je otworzył.

– Bez tego jestem ślepy jak kret... Mogę prowadzić auto, ale nie przypomnę sobie terenu. – Pochylił się i założył soczewki kontaktowe. Zamrugał, by wreszcie ponownie rozejrzeć się po okolicy. – Od razu lepiej... Choć turystyka śladami makabry cieszy się zainteresowaniem, to nie do końca przekłada się na obłożenie miejsc, w których kogoś zamordowano.

Dmitris ponuro się uśmiechnęła i skierowała ku wejściu. Miała na stopach płytkie czerwone czółenka, więc musiała uważać, by nie nadepnąć na kawałek szkła. Najwyraźniej na rozpadającej się werandzie odbyło się kilka mocnych libacji. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby gdzieś leżały igły oraz gumowe wężyki.

– Chodźcie. – Adamski ruszył przodem. Pchnął zwieszające się z zawiasów drzwi i oświetlił mocną latarką ponure wnętrze. – Zapraszam do środka. Rozgośćcie się.

– Panie przodem. – Deryło uklonił się, przepuszczając Sofię. – Ciekawość to pierwszy stopień wiadomo dokąd...

– Powiedział ten, co jest najmniej ciekawy.

Cała trójka weszła do wnętrza i zaczęła się rozglądać. Choć było niewiele czasu, aspirant Adamski dobrze przygotował się do roli przewodnika. Ze skórzanego nesesera wyciągnął kilka fotografii i podał je Sofii oraz Deryle.

– Tak wyglądała sytuacja przed dziesięciu laty. Na obecną chwilę mam tylko to....

Fotografie przedstawiały wnętrze altany już po zabraniu ciał ofiar, ale gdy niemal wszędzie rozstawione były jeszcze tabliczki dowodowe kryminalistyków. Komisarz zwrócił uwagę, że jedna z nich znajdowała się dokładnie w miejscu, w którym stał w tym momencie. Odruchowo się przesunął, jednocześnie starając się zrozumieć, jaki dowód odkryto właśnie tutaj.

– Ma pan więcej dokumentów?

– Przykro mi. – Aspirant pokręcił głową. – Wziąłem to, co znalazłem na wierzchu. Większość jest już zagrzebana w archiwum...

Komisarz dostrzegł, że Sofia odeszła na bok. Z jedną z fotografii obchodziła dookoła pomieszczenie. Nagle się zatrzymała i zmarszczyła czoło.

– Coś mi się tu nie zgadza. Skoro ten dom był niezamieszkały od czasu tamtych wydarzeń...

Deryło i Adamski z zaintrygowaniem czekali na wyjaśnienia. Tymczasem Sofia ponownie powiodła wzrokiem po otoczeniu, po czym przykucnęła. Potarła dłonią podłogę, coś cicho mruknęła i się wyprostowała.

– Spójrzcie sami, czy naprawdę tego nie widzicie?

– Czego? – dopytał naiwnie aspirant. – Chyba nie rozumiem...

Deryło nagle kiwnął głową. Pojął, co zwróciło uwagę Sofii, i aż jej przyklasnął.

– Masz rację!

45

Świat przysłaniała mgła. Wszystko znajdowało się za ciemnym, gęstym oparem. Trudno było rozróżnić jakiegokolwiek przedmioty, a pojedynczy błysk światła przypominał słońce wznoszące się niziutko nad horyzontem. Albo tak, jakby wynurzało się gdzieś zza gór, które znajdowały się ledwie na wyciągnięcie ręki... Tak lubiła góry i poranne wędrówki. Przed laty na Maderze zaliczyła wschody słońca na trzech najwyższych szczytach. Czy teraz znajdowała się na jednym z nich? Może właśnie tak czuły się ofiary lawin, tych strasznych katastrof, których bała się całe życie. Ktoś jej powiedział, że umrze pod zwałami śniegu... Czy to działo się teraz? Przecież właśnie

wschodziło słońce, a nie można umrzeć o wschodzie słońca. Tak daleko od nocy...

Darskiej plątały się myśli. Rozbudzała się powoli, ale nagle wspomnienie wyśnionego koszmaru sprawiło, że szeroko otworzyła oczy. Zamrugła.

Znajdowała się w ciemnym, cuchnącym wilgocią pomieszczeniu, a po jej lewej stronie widniała smużka żółtawego światła. Musiały być tam drzwi prowadzące do dalszej części budynku.

Kobieta chciała krzyknąć, lecz głos uwiązł jej w gardle. W usta miała wepchnięty jakiś knebel, który rozrywał jej kąciki warg. Czuła potworną suchość języka, zupełnie jakby wystrugano go z porowatego drewna. Poruszyła nim i ból rozlał się po całej jej twarzy.

Spróbowała wstać, ale i to było niemożliwe. Dwa sznury trzymały ją bardzo mocno. Leżała na płaskiej desce, która mogła być blatem stołu lub czymś podobnym. Starając się opanować, wyprostowała palce i dotknęła gładkiej powierzchni.

Bolał ją kark i lewa strona ciała. Wydarzenia, które rozegrały się, nim straciła przytomność, wracały do niej niczym poszatkwane, niewyraźne sceny.

Mrugające światła. Rzępoląca muzyka. Mail...

Co było w nim napisane? Coś o wierze w duchy? Tak jej się zdawało, ale nie była już pewna. Znacznie ważniejsza myśl dotyczyła zarysu postaci, którą dostrzegła w oknie. Kto to był? Czego od niej chciał?

Szaleniec, który wdarł się do jej domu i dopadł ją po kilkunastosekundowym pościgu. Upadła na schody i wtedy stłukła sobie lewe biodro oraz zebra. Zsunęła się ze stopni niczym bezużyteczny worek. Straciła dech i pluć krwią.

Ten szaleniec...

Jakby go wywołała. W chwili, gdy starała się przywołać jego twarz, usłyszała cichy szmer i drzwi do jej katowni się otworzyły. Ponownie dostrzegła zarys postaci stojącej na tle światła. Nie widziała żadnych konkretnych rysów ani choćby kawałka twarzy. Nic. Jakby spoglądała

na bezkształtną masę, która jedynie przez nadinterpretację przypomina sylwetkę ludzką.

Przebiegł ją dreszcz. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że jest całkowicie naga. Zdarto z niej ubranie i skrępowano ją sznurami jak kawał suszonej szynki. Poczowała wstyd, strach i ból. Odruchowo chciała zasłonić miejsca intymne, lecz więzy niezmiennie uniemożliwiały jej jakikolwiek ruch.

– Nie wstydz się... – wyszeptał gardłowy głos. – Takimi zostaliśmy stworzeni.

Demon podszedł do niej i postawił coś obok jej głowy. Darska usłyszała dziwny chłupot. Usiłowała coś powiedzieć, ale knebel stłumił jej głos.

Oprawca milczał. Otworzył jakąś puszkę i po chwili kobieta usłyszała cichy plusk. Szalencie unurzał coś w cieczy. Sekundę później poprowadził po jej ciele pędzel z oleistą substancją. Smarował ją niczym kucharz rozprowadzający olej po sztuce mięsa. Prowadził długie, pewne pociągnięcia szerokim pędzlem, który raz po raz nurzał w puszcze. W powietrzu uniósł się mdły, chemiczny zapach.

Kobieta zaczęła się szarpać i cicho popiskiwać. Rozprostowywała i zaciskała palce. Mrugała. Robiła wszystko, by pokazać sobie i swojemu oprawcy, że nadal żyje. Że będzie usiłowała walczyć i...

Sama nie wiedziała co. Gdy rozprostowała dłoń, napastnik z całej siły wbił końcówkę pędzla pod kłykieć jej środkowego palca. Miała wrażenie, że przebił jej dłoń na wylot. Potworny ból rozlał się po całej ręce i sprawił, że popuściła. Plama moczu rozlała się pod jej pupą i udami.

– Uspokój się – syknął demon. – Teraz wysmaruję ci buzię, a potem przyjdzie czas na najlepsze. Zaskoczę cię.

I rzeczywiście, jakby nigdy nic, szalencie zaczął pociągać pędzlem po jej twarzy. Nie baczył na to, że gęsta ciecz spływała do jej nosa i ust. Nie interesowało go, że kobieta dławi się i rzezi. Wykonywał swój piekielny plan. Kiedy wreszcie odłożył pędzel, cicho się zaśmiał, po czym nie śpiesząc się, poszedł w róg pomieszczenia.

– Zaczynamy show... – oznajmił. – Jesteś go ciekawa?

46

– Jeśli jakieś miejsce jest opuszczone przez kolejne lata, to raczej marnieje i się kurzy, a nie robi coraz czystsze, do tego z posprzątaną podłogą, na której zapewne rozlano jakiś środek czyszczący.

Dmitris wypowiedziała myśl, na którą wpadł już także komisarz. Adamski z opóźnieniem, lecz również dostrzegł wyraźną różnicę między wyglądem pomieszczenia ze zdjęć a obecnie. Nawet przed dziesięciu laty, gdy rozegrały się tu tragiczne wydarzenia, gdzieś tam poniewierały się śmieci, niedopałki oraz butelki. Teraz większość z nich zniknęła. Przynajmniej ze środka pokoju.

– Śmieci zmieciono. – Deryło wskazał w kąt altany. – Tam jest ich cała górka. Poza tym przy oknie leżą puste puszki po piwie i dwie flaszki.

– Pomerania – wyszeptał niemal z namaszczeniem Adamski.

– Co takiego?

– Pomerania.

– Słyszałem, do cholery. Ale pytam, co to takiego.

Aspirant wskazał palcem na jedną z butelek.

– Wódka, której już nie ma na rynku od kilku lat. Lokalny projekt, który nie wypalił, choć zapowiadał się ogromny sukces. W smaku była naprawdę wyjątkowa i mogła konkurować z najlepszymi. Nie trzeba jej było w ogóle zapijać. Poza tym kiedy się dodało kroplę cytryny...

– Już dobrze, dobrze – ucięła ten wywód Sofia. – Wódka jak wódka. Znacznie ciekawsze, że z tego, co pan mówi, nie znalazła się tu po tym, jak pomieszczenie posprzątano.

– Czyli właściwie wcale go nie posprzątano – zauważył komisarz. – Raczej przerzucono brudy z kąta w kąt.

– W takim razie...

Dmitris wymieniła z Deryłą porozumiewawcze spojrzenia i oboje jednocześnie kucnęli. Sofia zaczęła na czworaka obchodzić podłogę, tu i ówdzie stukając w nią palcem. Komisarz obrócił się tak, by spojrzeć na deski pod światło. Wydawało mu się, że widzi nawet ślady szczotki. Adamski jak otępiały przypatrywał się ich poczynaniom. Nie wiedząc, co robić, przestąpił kilka kroków w jedną i w drugą, wreszcie bezradnie rozłożył ręce.

– O co chodzi? Coście zobaczyli?

– Nic. W tym rzecz. – Komisarz rąbnął dłonią w jedną z desek. – Na zdjęciach w tym miejscu leżą jakieś szmaty. Dwa metry stąd rozrzucono stos gazet, który teraz znalazł się pod samą ścianą.

– Sądzicie, że ktoś tu był i posprzątał?

– Co gorsza, posprzątał podłogę – wtrąciła Sofia. – Ostatnim razem, gdy Eryk spojrział w górę, trafił na stelaż ze skórą zdjętą z twarzy zamordowanej kobiety.

– Podłoga nie jest na górze...

– Ale doskonale ją uzupełnia. Szczególnie jeśli sufit odnosi się do czegoś boskiego, a podłoga do piekła.

Deryło przerwał analizowanie desek i zerknął na Sofię. Przeczesał palcami krótkie włosy.

– Aż tak daleko w to nie brnąłem. I wolałbym, żebyś nie miała racji...

– Sama wolałabym jej nie mieć.

W tym momencie Dmitris chwyciła za odstającą deskę i ją pociągnęła. Cały kawałek podłogi oderwał się z legara.

– Jasny gwint.

To, co zobaczyli policjanci, przyprawiło ich o szybsze bicie serca. Adamski przytknął dłoń do ust, aby powstrzymać wymioty.

Pod podłogą na stelażu podobnym do tego, który użyto przy ostatnim mordzie, rozpięto kawałek skóry. Mierzył około dwudziestu centymetrów na trzydzieści i miał żółtawy, woskowy kolor.

Adamski szybko oddychał, starając się opanować mdłości. Dmitris pochyliła się i przyglądała odkryciu, jakby sama w nie nie wierzyła. Tymczasem komisarz przesunął się tak, by wpuścić więcej światła. Wreszcie sięgnął po telefon i zapalił latarkę. Po chwili z ukontentowaniem zauważył:

– To nie jest ludzka skóra. Widzicie te pręgi i sierść? – Zakreślił w powietrzu palcem jakieś oględne koło. – Spójrzcie.

Dmitris zagryzła usta. Po chwili dostrzegła to, na co wskazywał komisarz.

– Chcesz powiedzieć, że...

– To kawałek skóry świńskiej. Widać pręgę grzbietową, czy jak to się tam nazywa.

Sofia odsapnęła, choć nie było w tym specjalnej ulgi. Adamski odzyskał nieco kolorów i poruszył się, jakby uznał, że przesunięcie się o kilka centymetrów nie spowoduje teraz torsji. Kilkukrotnie odkaslnął, powstrzymując się przed splunięciem.

– Ja pierniczę – skwitował, udając, że wszystko z nim w porządku. Uśmiechnął się i nerwowo roześmiał. – Świńska skóra... A pan... Co pan robi!

Komisarz nie zważał na ton aspiranta. Przez rękaw koszuli wyciągnął stelaż z niecki i bardzo ostrożnie obrócił go w dłoni. Skóra została naciągnięta na listewki niczym blejtram obrazu. Od tyłu również była widoczna i właśnie to przykuło uwagę Deryły.

– Co to jest, do diabła? – Adamski potrząsnął głową niczym pies otrzepujący się po deszczu. – To jakieś żarty...

Deryło był nie mniej zaskoczony. Nawet Dmitris pochyliła głowę i odruchowo upewniła się, że spinka do włosów jest we właściwym miejscu. Wyciągnęła dłoń i delikatnie dotknęła ręki komisarza.

Obróciła trzymany przez niego telefon tak, by światło latarki padało na skórę pod nieco innym kątem. Wyraźnie teraz było na niej widać czerwone, przerażające wzory.

– Skoro skóra miała zrobić na nas jedynie mocne wrażenie, podejrzewam, że to również nie jest ludzka krew – wycedził Deryło. – Byłaby niemal czarna, a tak chodzi o efekt...

– Artystyczny? – sarknęła Sofia. Nagle podniosła wzrok i się rozejrzała po suficie. – A może gdzieś tu są jakieś kamery i ktoś pokłada się właśnie ze śmiechu...

– Raczej nie.

– Nie? A ty co, rozgryzłeś już te plamy Rorschacha? Może dostrzegasz w nim portret psychologiczny sprawcy.

Deryło wyprostował się i podszedł do okna. Zatrzymał się niespełna metr od stłuczonej szyby, po czym ponownie spojrzął na kawał skóry.

– Nie wiem, czy sprawcy – bąknął. – Ale tego, kto to zrobił, przez lata uważano za samego szatana.

48

Amelia Darska szarpnęła się. Usiłowała kopać i biła pięściami o blat stołu, do którego została przywiązana, ale nie mogła się uwolnić. Oprawca pochylił się tuż nad nią. Zarzucił ku sufitowi kabel, z którego końca zwieszał się jakiś przedmiot. Poruszał się i w półmroku kobieta nie potrafiła rozpoznać jego kształtu. Do tego na skutek przerażenia lub zaaplikowanej substancji mieniło się jej przed oczami.

– Jeszcze jedno... – syknął napastnik. – Zapomniałbym...

Zniknął jej z oczu, a potem usłyszała odgłos przypominający darcie materiału. Po chwili poczuła ruch powietrza i ból prawego ramienia. Szalencie na moment poluzował jej więzy, by pod jej plecami przełożyć jakąś tkaninę.

– Spokojnie, to prawie koniec. Choć na twoim miejscu zwróciłbym uwagę na słowo „prawie”.

Owiązywał Darską pasem płótna niczym całunem. Co chwila dyszał, napinając mięśnie, by unieść jej ciało. Kobieta starała się wtedy walczyć, wyrwać z więzów i uwolnić choćby nadgarstki, ale nadaremno. Napastnik był zbyt sprawny i zbyt bystry.

– Pt rbs... – Głoski zostały pochłonięte przez knebel i sztywność języka.

– Po co to robię? – Szaleniec najwyraźniej dobrze zrozumiał jej pytanie. Zaśmiał się i nożyczkami odciął ostatni strzęp płótna. Wywinął je, a następnie założył na jej twarz. Brutalnie uniósł jej głowę, za którą zrobił mocny węzeł. – Bo mogę. Czy naprawdę ludzie potrzebują innych odpowiedzi od tej, że mamy wolną wolę i możliwości? Czy to nigdy nie wystarcza?

Darska załkała. Przez ostatnie minuty jej ciało jakby zapomniało, że może płakać i że istnieje coś takiego jak łzy. Te teraz pociekły po jej policzkach strumieniami. Mieszały się z substancją, którą była pomalowana jej skóra, i zasychały na tkaninie. Płacz odebrał jej dech. Zaczęła się dusić, a w ustach zebrał się jej posmak żółci. Była bliska wymiotów. Z trudem przełknęła ślinę, co przyprawiło ją o potworny ból gardła.

Napastnik westchnął i poklepał ją po ramieniu. Cicho parsknął, po czym pociągnął nosem.

– Są dobre strony tego całunu – mruknął. – Dopiero wstydziałaś się, że jesteś naga, prawda? Teraz o nic się nie martw.

Demon zawiesił głos i odszedł gdzieś na bok. Po chwili Darska usłyszała ciche brzęczenie dobiegające tuż znad jej twarzy. Przypomniała sobie o przedmiocie, który zwieszał się na kablu. Zmrużyła oczy, ale płótno nie pozwalało niczego dostrzec.

W tym samym momencie napastnik ponownie pojawił się tuż przy niej. Przy skrytym za tkaniną uchu poczuła ruch powietrza, a potem dobiegły ją wypowiedane niemal pieszczotliwym głosem słowa.

– Teraz już możesz się bać... To koniec. Regulator czasowy opuszcza kabel, na którym zawiesiłem tarczę ścierną. Za kilka minut zedrze skórę z twojej twarzy jak niechcianą rdzę z kawałka metalu. Niebawem odsłonisz swoje prawdziwe oblicze. Wszyscy jesteśmy tacy sami... Wszyscy jesteśmy tylko kośćmi i mięsem. Niczym więcej.

Napastnik gwałtownie się wyprostował i wtedy Darska usłyszała ciche kliknięcie. Po chwili zdała sobie sprawę, że jej głowa została unieruchomiona w metalowym stelażu przytrzymującym jej skronie oraz blokującym szyję. Bzyczenie wirującej tarczy było coraz bliższe i wznosiło się wprost w jej mózg. Zupełnie jakby nakłuwano go bardzo długimi igłami. A nawet jakby przeszywano go na wylot.

49

– Słyszeliście o manuskrypcie Wojnicza? – zapytał Deryło.

Dmitris natychmiast kiwnęła głową, a aspirant bez przekonania mruknął coś pod nosem. To w jego stronę zwrócił się komisarz.

– Chodzi o księgę składającą się z ponad stu pergaminowych kart – wyjaśnił. – Na początku dwudziestego wieku polski antykwariusz odnalazł ją w jakiejś posiadłości jezuitów. Zdaje się, że we Frascati. Przez ostatnie sto lat starano się odczytać szyfr, którym ją napisano... Pracowali nad nim nawet kryptolodzy, którzy zajmowali się Enigmą.

– I co wyczytano?

– Nic. Alfabet pozostał całkowicie niezrozumiały. Nie rozszyfrowano nawet zdania, dlatego mówiono, że to musi być dzieło samego szatana. Nie radzi sobie z nim nawet sztuczna inteligencja, która przecież ogrywa w szachy najlepszych graczy.

– Wobec tego widzimy tu przykład tego pisma? – Aspirant westchnął. – Świetnie, ktoś lubi sobie robić żarty... Gdyby nie jedna

ofiara śmiertelna, powiedziałbym nawet, że ma ciekawe poczucie humoru.

– Nie do końca. – Deryło przeniósł wzrok na Dmitris, ale ona również zdawała się zaskoczona tym, co mówi. Być może wydarzenia, o których niedawno czytał z wypiekami na twarzy, dla innych nie były taką sensacją. – Kilka miesięcy temu odkryto, że sedno wcale nie tkwi w alfabecie. Chodziło o coś innego.

Komisarz zmrużył oczy i spojrzał na stelaż pod światło. Oceniał, czy aby na pewno nie stawia tezy na wyrost, lecz nie miał wątpliwości. Niegdyś marzył, aby zostać archeologiem, i gdyby nie przypadki i zbiegi okoliczności, zamiast pracując nad świeżymi zwłokami, wydobywałby z grobów kości liczące kilkaset lat. Z pewnością byłoby to mniej kłopotliwe, choć jak widać, niekoniecznie ciekawsze. W każdym razie młodzieńcze zainteresowanie przerodziło się w życiową pasję i Deryło niezmiennie śledził wydarzenia z rynku archeologicznego oraz antykwarycznego. Ostatnie odkrycie związane z księgą Wojnicza sprawiło, że przewertował w tym temacie cały internet, a nawet kupił dwie ciekawe książki. Jak widać, nie tylko on był zaintrygowany tematem.

– Pewien grafik komputerowy zamiast na tekście, skupił się na ilustracjach księgi – ciągnął komisarz. – Jest ich całkiem sporo, ale zaczął je dzielić na kategorie albo raczej zbiory...

– Eryk, błagam, proszę, przejdź do sedna.

Do tej pory jedynie Tamara mogła zwracać się do niego po imieniu, lecz komisarz po raz kolejny przełknął ten nietakt partnerki. W każdym razie miała rację. Nie było czasu na zbyt długie wyjaśnienia, szczególnie jeśli znalezisko odnosiło się do zaginionej kobiety.

– Postawiono tezę, że tekst może być jedynie odwróceniem uwagi – wyjaśnił pośpiesznie. – Składał się z imitujących alfabet znaków, które nie mają żadnego sensu. Sedno tkwi w ilustracjach, których fragmenty przypominają pismo obrazkowe.

– I niby tu mamy ich przykład?

Deryło kiwnął głową.

– Otóż to. Nie mam wątpliwości, że w artykule widziałem dokładnie te symbole i że przypisano im konkretne znaczenie...

– Jakże? – dopytał Adamski.

– Nie mam pojęcia – odparł lodowatym tonem komisarz. – Czytałem to jako ciekawostkę, ale nie uczyłem się na pamięć jak nowego języka. Muszę to wszystko sprawdzić. Tyle że mam stuprocentową pewność, że się nie mylę. Ręczę za to głową...

Kiedy tylko powiedział te słowa, przeszło mu przez myśl, że lepiej nie kusić złego. Było już na to za późno.

50

– Spójrz, tu wszystko zostało dokładnie opisane. To jeden z artykułów, które czytałem w ostatnich tygodniach.

Dmitris zerknęła na ekran komórki podanej jej przez komisarza. Zafrasowana wzięła ją od niego, po czym zagryzła usta. Zaczęła bacznie analizować kolejne akapity oraz załączone do nich tabele. Znajdowali się na werandzie altany, czekając na przyjazd kryminalistyków wezwanych przez Adamskiego. Komisarz odnalazł w internecie dwa naukowe teksty poświęcone niedawnemu odkryciu związanemu z rękopisem Wojnicza. Rzeczywiście natrafiono na pewien piktogramowy klucz do przekazu zawartego w ilustracjach. Na razie dotyczył on jedynie kilku kart, ale dobrze rokował na przyszłość.

Okazało się, że plama przypominająca odcisk palca pojawia się zawsze w kontekście innych znaków nawiązujących do sfery duchowej – aniołów, demonów czy samego Boga. Pewna włoska badaczka postawiła tezę, że owa plama może symbolizować człowieka. Od tego jednego założenia zaczęła się cała lawina skojarzeń. Jednak właśnie

coś przypominającego odcisk palca oraz sylwetkę diabła z rozwidlonym ogonem nakreślono na odwrocie świńskiej skóry.

– Kwadrat z krzyżem ma oznaczać grób. – Sofia zerkała to na swój telefon, gdzie miała zdjęcie ohydnej instalacji, to w ekran komórki komisarza. – Oko to zarazem znak nakazujący czujność, jak i miara odległości. W tekście dotyczącym wielkości Pragi liczba oczu na ilustracji okazała się dzielnikiem obwodu murów oraz pierzei rynku.

– Tak, pamiętam o tym... – Deryło sięgnął do kieszeni i obrócił sesterca. – Idiotyczna zagadka. Po co ktoś to zrobił?

– Mówiłem, że to jakiś pieprzony dowcipniś – wtrącił stojący o kilka metrów dalej Adamski. Wpatrzony w prześwit między drzewami niecierpliwie wyglądał techników. Najwyraźniej nie wiedział, co innego mógłby ze sobą począć. – Dla takich powinno być krzesło elektryczne.

– Palec, kwadrat z krzyżem, oko ze źrenicą skierowaną w dół. – Dmitris w zadumie wymieniała kolejne znaki. – Człowiek, grób, sto pięćdziesiąt metrów. Czy on...

– Może chodzić o zasięg wzroku – stwierdził komisarz. Nagle odwrócił się i ponownie wpadł do altany. Podłoga aż trzeszczała pod jego ciężkimi krokami. – Albo nie powinniśmy szukać aż tak daleko!

– Bo? – Sofia podążyła za nim, natomiast Adamski z wyrazem rezygnacji na twarzy zatrzymał się w progu.

– Ten człowiek to nie jest ofiara, ale ja albo ty. Ktokolwiek, kto wszedł do altany. Rozumiesz? Znajdujemy się nad grobem. Skóra to rodzaj żartobliwego drogowskazu.

– Chyba nie znam się na żartach i się pogubiłam.

– Zaraz zrozumiesz. Chyba że to ja kompletnie nic z tego nie rozumiem.

Deryło padł na kolana kilka metrów od miejsca, gdzie znaleźli stelaż. Kawalkiem zdjętej deski podważył kolejną. Zaparł się o nią i oderwał ją w końcu z trzaskiem od legara.

– Sprzątanie podłogi wcale nie było potrzebne, żeby wciągnąć nas w taką grę... Chodziło właśnie o to.

Komisarz zerwał kolejną deskę i wskazał na ciemność otchłani. Widać w niej było otwór oraz tonące w półmroku betonowe stopnie.

– Pomóżcie mi! Szybciej! Ta podłoga została częściowo zdjęta i ponownie przybita. Ktoś tam jest!

51

Przerażające bzyczenie się przybliżało. Choć Amelia Darska miała zasłonięte oczy, jakiś pobudzony strachem instynkt dokładnie przywoływał jej obraz wirującej tarczy z naklejonym gruboziarnistym papierem ściernym. Czuła jego zapach. Czuła wywołany przez niego ruch powietrza. Czuła, jak...

Kabel osuwał się powoli, ale nieubłaganie. Bzyczenie maszyny przybliżało się w jednolitym, przerażająco regularnym tempie. Centymetra na minutę? Może nawet mniej. Oprawca dozował jej strach oraz życie. Odliczały je nie oddechy, nie uderzenia serca, lecz kliknięcia urządzenia czasowego zwalniającego gumowy przewód.

Blisko. Bardzo blisko.

Darska czuła ruch powietrza już nad samym nosem. Usiłowała wcisnąć głowę w stół, lecz to oczywiście nie mogło się udać. Nie była w stanie poruszyć się w żadną stronę. Metalowy stelaż wżynał się jej w skronie.

Tak. To był koniec.

Żółć zebrała się jej w przelyku i tym razem nie mogła jej powstrzymać. Zwymiotowała, a knebel zmusił ją do łykania zwróconej zawartości żołądka. Wszystko to rozgrywało się jednak jakby poza jej świadomością.

Liczyła się tylko obracająca się w szalonym tempie tarcza. Liczył się tylko cichy, przerażający furkot.

Już.

Boże. To już.

Szorstka powierzchnia otarła się o jej nos i zdarła z niego skórę. Kobieta zadrżała na całym ciele jak targana apopleksją, a jej serce wyrzuciło podwójną porcję krwi.

Już.

Koniec.

Kabel został opuszczony i tarcza spiłowała kolejny centymetr jej nosa. Chrząstka nie stawiała niemal żadnego oporu. W powietrzu uniósł się smród rozcieranej tkanki.

Wtedy gdzieś z głębi budynku dobiegł dźwięk kroków. Brzmiały inaczej niż kroki napastnika. Nadzieja zagłuszyła ohydny dźwięk maszyny masakrującej twarz Amelii Darskiej.

52

Deryło słyszał cichy szmer. Dobiegał gdzieś z mrocznych odmětów rozciągających się w dole. Nieomal wyrznął głową w betonowy strop, gdy okazało się, że w głąb piwnicy prowadzi jedynie sześć wysokich stopni. Musiał się pochylić, aby poruszać się w niskim korytarzu. Cuchnęło tu wilgocią oraz zgnilizną. Zapewne korytarz stanowił fragment dawnej niewielkiej piwniczki.

– Latarka! – krzyknął, zdając sobie sprawę, że jego telefon został w rękach Dmitris. – Szybciej!

Niemal w tym samym momencie blade światło omiotło pokryte pleśnią ściany oraz stojący przy jednej z nich metalowy regał. Niewiele brakowało, by komisarz wbiegł prosto w niego. Stał z wyciągniętą ręką, starając się po omacku podążać naprzód. Teraz, nagle rażony światłem, zamrugął. Jego wzrok po chwili przyzwyczał się do jasności i jednocześnie z Sofią dostrzegli kwadratowe pomieszczenie kończące korytarzyk.

– Jasna cholera!

Sofia wyrwała do przodu. Na metalowym rusztowaniu po środku znajdował się zarys ludzkiej sylwetki. Przykryta prześcieradłem niczym całunem postać była skrępowana, lecz usiłowała z wszystkich sił się wyrwać. Z zakneblowanych ust dobywał się cichy charkot. Jednak nie to było najgorsze.

Zwieszająca się na kablu maszyna zakończona wirującą tarczą spiłowywała odsłonięty przez rozerwaną tkaninę nos, rozrzucając przy tym wokół fragmenty krwawej tkanki. Białe prześcieradło pokrywała coraz większa czerwona plama. Odsłonięte kobiece dłonie rozprostowywały się i zaginały w spazmatycznym tańcu. Zadbane niegdyś paznokcie wystającej spod tkaniny dłoni były kompletnie połamane. Jeden z nich sterczał na sztorc. Kobieta musiała z bólu wbić go w twarde bok stołu tak mocno, że uniósł się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

– Szlag!

Komisarz rzucił się w stronę metalowej konstrukcji. Chciał ją odepchnąć, lecz okazało się, że została mocno przytwierdzona do podłoża. Z gardła masakrowanej uprowadzonej dobywało się już mokre rzeźenie. Musiała do niego spłynąć krew zmieszana ze śliną. Kobieta dławiała się, jakby tonęła.

Deryło wyciągnął dłoń, by chwycić kabel, lecz w tej samej chwili jakieś urządzenie zwolniło blokadę. Piła opadła o kolejne kilka centymetrów. Była na tyle ciężka, że pod samą siłą nacisku rozerwana została kość nosowa ofiary. Prześcieradło rozdarło się jeszcze mocniej i odsłoniło przeraźliwie wykrzywioną twarz dogorywającej kobiety. Skóra na jej policzku zrolowała się niczym nawijany na widelec pas cieniutko ukrojonego mięsa. W powietrzu rozniósł się zapach przypominający ten, który unosi się w gabinetach stomatologicznych w trakcie borowania. Odór polerowanej kości... Do tego zmieszany ze słodkim fetorem wszechobecnej krwi.

Komisarz dosięgnął maszyny i odepchnął ją na bok. Tarcza z warkotem pomknęła dalej, lecz jednocześnie zerwała z twarzy

kobiety cały płat skóry wraz ze ścięgnami oraz kawałeczkami kości. Jej dłonie otworzyły się, lecz tym razem palce już się nie zacisnęły. Pozostały wyprostowane jakby w geście ostatniego, niemego protestu. Kobieta nie żyła. Śmierć musiała być dla niej ulgą.

53

– O kurwa.

Adamski zbiegł na dół w asyście szefa kryminalistyków. Po chwili ciemne korytarze rozświetlały światła kilku latarek oraz reflektora.

– Zjawiliście się w samą porę – parsknął Deryło. – Niemal na świeżo. Przyznajcie, że nigdy nie dotarliście tak szybko.

Komisarz dopiero co otarł twarz z krwi, lecz nadal ciężko dyszał. Mimo że na przestrzeni lat spotykał się już z różną makabrą, teraz z trudem dochodził do siebie. Stojąca obok niego Dmitris również była w szoku. Miała szeroko rozwarte oczy, uchylone usta i oddychała tak głęboko, jakby przygotowywała się do długiego nurkowania. Dłoń wciąż trzymała na szyi martwej kobiety, gdzie przed kilkudziesięcioma sekundami bez powodzenia szukała śladu pulsu. Wcześniej starała się ją reanimować. Nie miała pojęcia, ile to trwało. Minutę? Dziesięć minut? Wiedziała jedynie, że Deryło położył dłoń na jej ramieniu i dał do zrozumienia, że nie zdoła uratować tej biedaczki. To nie było już możliwe nawet dla ekipy wyposażonej w specjalistyczny sprzęt.

– Przynajmniej wiemy, że nie chodzi mu o skórę twarzy.

Komisarz powiedział te słowa ni to tonem ironii, ni to całkowicie poważnie. Odchrząknął. Roztarł krew, którą miał na nadgarstku, i powiódł wzrokiem po nie mniej osłupiałych kryminalistykach. Jego umysł za wszelką cenę domagał się racjonalności. Jedynie logiczne

wnioski mogły go natychmiast sprowadzić na właściwe tory. Musiał skupić się na faktach, a nie na emocjach.

– Morderca przeczy sam sobie – wymamrotał. – Najpierw każe nam patrzeć w górę, a potem w dół. Zachowuje twarz jednej ofiary, by u kolejnej ją zniszczyć...

– Nie chodzi mu o twarz, lecz o emocje.

Dmitris również zaczynała odzyskiwać rezon. Poruszyła się i po raz pierwszy, odkąd znaleźli się w pomieszczeniu, rozejrzała się wokół. Wreszcie, jakby z ociąganiem, skierowała wzrok w górę.

– Choć to wcale nie jest tak oczywiste...

Nie musiała nawet przesadnie wyciągać dłoni, by sięgnąć pod sam strop. Pomieszczenie było nieco wyższe od korytarza, ale i tak nie mierzyło nawet dwóch metrów.

– Znowu to zrobił... – odezwała się ponuro. – Jakby spoglądał na nas z góry. Udając samego Boga...

Deryło podniósł wzrok i natychmiast zrozumiał, co Sofia miała na myśli.

54

Pod sklepieniem, tuż obok haka podtrzymującego kabel maszyny, która spiłowała twarz uprowadzonej kobiety, znajdowało się małe urządzenie. Było ono doskonale znane komisarzowi. Polaroid. Przed czterdziestu laty jego rodzice korzystali ze starszego modelu. Robili nim zdjęcia w trakcie rodzinnych uroczystości oraz świąt. Do tej pory w przepastnych szufladach biurka Deryły znajdowały się albumy wypełnione lekko rozmytymi fotografiami w charakterystycznych ciepłych kolorach.

Ten polaroid był nieco nowocześniejszym modelem. Wyposażono go w czujniki światła i ruchu. Podobny sprzęt komisarz kupił jako

prezent dla córki przed czterema albo pięcioma laty. Jeden z jego ostatnich prezentów... A raczej jeden z ostatnich prezentów, jakie mógł jej podarować.

Nie zważając na niemy protest techników, sięgnął ku mocowaniu i delikatnie pociągnął za kabel. Ostrożnie go poluzował, jednocześnie opuszczając polaroid. Sofia sięgnęła po niego, po czym dotykając jedynie rantów sztywnego kartonika, wyjęła zdjęcie ze specjalnej kieszonki. Przez moment wahała się, czy na nie spojrzeć. Wiedziała jednak, że nie ma innej możliwości. Uniosła kartonik w stronę światła i przebiegł ją dreszcz. W tej samej chwili komisarz nachylił się tuż nad jej ramieniem.

– Cholera... – syknął. – A jednak twarze mają znaczenie.

Dmitris jedynie kiwnęła głową. Kartonik zadrżał jej w dłoniach, lecz zaraz się opanowała.

– Zdjęcie zostało wykonane w momencie, gdy tylko weszliśmy do środka – stwierdziła, widząc, że Adamski wraz z technikiem również znalazł się tuż przy niej. – Nasze twarze odbijały dość światła, by fotografia się udała... Ten, kto to zrobił, specjalnie nakierował aparat prosto na przejście z korytarza.

– Wyglądacie jak duchy – bąknął Adamski i zaraz zawstydził się tej myśli. – Nic dziwnego. Przepraszam za skojarzenie...

– Teraz chyba wszyscy tak wyglądamy – rzucił szef kryminalistyków.
– Nie mówiąc o tej kobiecie, którą mamy za plecami...

Rzeczywiście zdjęcie zostało zrobione dokładnie w momencie, gdy Deryło i Dmitris znaleźli się w piwnicznym pomieszczeniu i dostrzegli umierającą kobietę. Ich oczy były szeroko otwarte, wydawało się, że Sofia krzyczy, a komisarz przeciwnie – mocno zaciskał usta. Ich twarze zdradzały najgłębsze emocje, które niczym uderzenia pobudzonego rzeźbiarza odcisnęły głębokie piętno w rysach. Wszystko uwypuklały głębokie światłocienie wywołane przez kontrast mroku oraz mocnego światła latarki.

Gdy Dmitris nadal wpatrywała się w zdjęcie, komisarz zrobił krok w głąb piwniczki. Powiódł wzrokiem po biegnącym pod stropem kablu

i głośno sapnął.

– To zdjęcie to pamiątka dla nas... – skwitował ponuro. – Morderca obserwował nas na żywo. Minęliśmy się z nim.

55

Deryło pokonał biegiem kilka metrów, po czym dopadł do pomalowanych na czarno drzwi. Nie dostrzegłby ich, gdyby światło czyjejs latarki nie błysnęło w szklanym wizjerze zainstalowanym dokładnie na ich środku. Zostały zamontowane w korytarzu bez jakichkolwiek zawiasów, właściwie opierając się na kamiennym występie. Do tego okular wizjera znajdował się od przeciwnej strony tak, jakby właśnie tam mieściło się jakieś mieszkanie. Zamiast niego, gdy komisarz odrzucił tandetną konstrukcję, dostrzegł końcówkę korytarza. Dwa metry przed nim znajdowały się metalowe schody prowadzące pionowo w górę.

– Tam jest włącz! – Deryło wdepnął w głęboką kałużę, ale nawet się nie skrzywił. Chwycił się rantu schodka powyżej i podciągnął. Po chwili natarł na okrągły żeliwny dekiel z otworkami, przez które przebijał błękit nieba.

– Uważaj. To może być pułapka! – przestrzegła go Dmitris. – Zaczekaj na mnie...

– Nie ma na co czekać.

Komisarz odepchnął włącz i natychmiast przesłonił oczy. Prosto w jego twarz padły promienie słońca. Znajdował się jakieś dziesięć metrów od altany, pośrodku podwórza, które dzieliło ją od drugiego, podobnego budynku.

Zamrugnął i energicznie się podciągnął. Wypadł na zewnątrz, po czym nadal mrużąc oczy, rozejrzał się wokół. Nie dostrzegł nikogo. Podjazd usytuowany był od przeciwnej strony i właśnie tam musiały być teraz

wozy techników oraz znajdowali się kryminaliści, którzy nie weszli do piwnicy. Być może nawet przyjechały kolejne radiowozy, gdyż komisarzowi wydawało się, że widzi rozbłysk stroboskopów na ciemnej ścianie lasu.

Kucnął, po czym przyjrzał się ziemi. Wokół wjazdu podłóżę było piaszczyste i wyraźnie widać było odcisk kawałka buta. Nie mógł jednoznacznie stwierdzić, czy ktoś tędy wyszedł zaledwie przed minutą, czy przed paroma godzinami, ale ślad na pewno nie zachowałby się po ostatniej ulewie.

– Mamy tu odcisk podeszwy – bąknął w dół, w głąb piwnicy. – Niech pańscy chłopcy go zbadają.

Spod stóp dobiegł go stłumiony głos Dmitris.

– Lepiej czym prędzej zabezpieczmy ten teren. Wylaż.

– Potrzeba tu będzie psów tropiących oraz wszystkich wolnych ludzi. Aspirancie Adamski, niech pan wezwie nawet helikopter. Jeżeli sprawca stąd uciekł, porusza się zapewne na piechotę...

Deryło z powrotem zszedł do piwnicy. Adamski wycofał się tuż przed nim, pośpiesznie wydając komuś polecenia przez telefon. Tymczasem Dmitris zwróciła uwagę na zacięty wyraz twarzy komisarza. Wiedziała, że ten właśnie na coś wpadł. Szybko, niemal biegnąc, pokonał krótki korytarz i zatrzymał się przed metalowym stołem, na którym leżała zamordowana kobieta.

– I tym razem ten czub nie powstrzymał się przed profanacją... – wycedził, wymownie wskazując na okrywające ciało płótno. – Wcale nie zależało mu na tym, aby okryć ofiarę. Jest znacznie bardziej pokręcony, niż sądziłem.

To pytanie niszczyło ludzkość. Zamiast dowiedzieć się, w jaki sposób, albo nie szukać odpowiedzi na pytania, lecz po prostu działać, człowiek nieustannie pytał: „Dlaczego?”. Zatracił przez to naturalny instynkt rozwoju i przetrwania.

Dawni odkrywcy nie zastanawiali się, z jakiego powodu. Im bliżej równika się znajdowali, tym długości dnia i nocy stawały się podobne. Nie rozważali, dlaczego piasek na plażach, na których wylądowały ich łodzie, jest czarny, a nie biały. Nie doszukiwali się przyczyn niechęci miejscowej ludności lub tego, że traktowała ich jak bogów. Na pytania czas przychodził dopiero później. Często o wiele później.

Podobnie człowiek pierwotny, gdy był jeszcze bliższy światowi duchów niż materii, nie roztrząsał natury piorunów ani słońca. Nie potrzebował wzorów chemicznych ani praw fizyki. Dzięki temu spoglądał na wszystko przez swój pryzmat, a nie przez złudny pryzmat wykresów oraz definicji.

Poznanie procesu prowadzącego do wylądowania elektrycznego nie wniosło nic w rozwój ludzkości. Przynajmniej w rozwój metafizyczny, duchowy, czyli jedyny, jaki jest ważny. Pytanie „dlaczego?” pozostawało niezmiennie istotne. Co z tego, że poznany i wytłumaczony został przebieg zjawiska. Nie wytłumaczono natomiast kwestii znacznie bardziej istotnej, owej pierwotnej natury. W końcu nigdy nie było istotne, dlaczego na niebie pojawia się błysk. Chodziło tylko o to, dlaczego świat został tak zorganizowany, że do wylądowania elektrycznego w ogóle może dojść. Dlaczego Bóg lub bogowie stworzyli takie wylądowania?

Tak samo pustym było pytanie o naturę zła. Zło nie musiało mieć żadnej konkretnej przyczyny ani uzasadnienia. Ba! Czyste zło nawet nie mogło ich mieć. On doskonale o tym wiedział. Wiedział też, że to, co było złe dla większości ludzkości, mogło być w pewnych przypadkach traktowane jako najwyższe dobro. Na przykład przez niego.

To była owa słynna kwestia perspektyw, tak często podnoszona przez etyków i filozofów. Kolejne pytania „dlaczego?”. Nie należało ich ani

zadawać, ani słuchać. Nie istniały na nie jednoznaczne odpowiedzi, lecz jedynie dywagacje.

Liczył się czyn, gdyż to w działaniu zawierała się ludzka dusza. A może również dusza bogów oraz demonów. On czuł w sobie obecność jednych i drugich. Działał, bo tak podpowiadały mu ich głosy.

On sam był GŁOSEM.

57

Deryło bez słowa precyzyjnie się między kryminalistykami. Dmitris postępowała za nim niczym gwardia szykująca się do szturmowania tuż za ogromnym taranem. Nagle komisarz się zatrzymał i wskazał na leżące na metalowym łożu ciało. W pomieszczeniu ustawiono już dwa reflektory, których światło wypełniało niemal każdy jego zakątek. Krew pokrywająca leżące na zwłokach płótno nabrała już bardzo ciemnego koloru.

Komisarz drgnął pod wpływem nieprzyjemnego dreszczu. Dopiero spoglądał na tę kobietę, jak usiłuje walczyć o życie, widział jej zaciskające się i rozluźniające dłonie, słyszał rżenie jej oddechu i miał wątpliwą przyjemność podziwiać efekt pracy serca wypychającego z tętnic krew. A teraz... Zestawienie ciszy i bezruchu śmierci z wolą walki o życie zawsze sprawiało dojmujące wrażenie.

– To całun, rozumiesz? – Te słowa komisarz wypowiedział grobowym tonem. Poruszył dłonią, jakby kreślił linię nad zwłokami. – Pokrywa ciało, ale spodziewam się, że chodzi o coś więcej.

– Całun? – Dmitris nie wydawała się zaskoczona jego spostrzeżeniem. – Niech będzie. Choć to by było dość banalne, ale całkiem pasuje do reszty.

– A jednak nie rozumiesz.

Komisarz zbliżył się do zwłok i wymownie zerknął na szefa kryminalistyków. Ich spojrzenia się spotkały, po czym technik z rezygnacją kiwnął głową. Deryło natychmiast zrobił kolejny krok, stając tuż przy stole.

– Perhydrol – oznajmił zagadkowo. Po chwili wyjaśnił: – Z chemii jestem kompletną nogą, ale swego czasu interesowałem się konserwacją zabytków. Widziałem, jak kładzie się ten preparat na stare rzeźby albo... Nieważne. Ma charakterystyczny zapach, którego nie da się z niczym pomylić. Czujesz ten słodkawy aromat?

Dmitris wciągnęła powietrze i jeszcze uważniej spojrzała na komisarza. Nad jej nosem pojawiła się zmarszczka w kształcie litery V.

– Tak, rzeczywiście, czuję to. Początkowo myślałam, że mdli mnie woń krwi, ale na nią nigdy nie byłam specjalnie wrażliwa. Tu bukiet zapachowy jest znacznie pełniejszy.

– To właśnie aromat perhydrolu.

– Który służy do...?

Deryło wziął podaną mu właśnie przez kryminalistykę rękawiczkę i powoli nasunął ją na dłoń. Przypominał nieco kuglarza, który szykuje się do popisowego numeru. Nie robił jednak tego umyślnie. Rozejrzał się po pomieszczeniu, sprawdzając, czy skupił na sobie uwagę wszystkich zgromadzonych, po czym odwrócił się ku zwłokom. Chwycił róg zakrwawionego prześcieradła i ostrożnie zdjął je z połowy nagiego ciała.

– Już rozumiesz, do czego służy ten środek? – zagadnął, jednocześnie tryumfalnie spoglądając na Dmitris.

Z twarzy Deryły szybko zniknął delikatny, blady uśmiezek. Nie mógł dłużej udawać, że to szaleństwo w ogóle go nie rusza. Jeszcze raz zerknął na ciało, potem na uniesione prześcieradło, i odkaslnął. Nawet jemu czasem robiło się niedobrze. Teraz był taki moment.

Prześcieradło przypominało przerażający obraz. Wyraźnie było na nim widać zarys ciała kobiety oraz zdeformowane rysy jej twarzy. Te ostatnie zostały naruszone przez tarczę piły, a w miejscu, gdzie powinien znajdować się nos, zionęła dziura z postrzępionymi strzępkami materiału. Ponadto w tkaninę wsiąkło mnóstwo krwi, która dodatkowo zakłócała odbiór ohydneho dzieła. Tu i ówdzie zbierała się w wielkie plamy lub jedynie drobne rozbryzgi przypominające plansze psychologiczne. Mimo to odbicie widoczne na prześcieradle stanowiło wizerunek przyprawiający o mdłości – pieczęć prawdziwego cierpienia oraz agonii. Nic dziwnego, że na jego widok wszyscy obecni w pomieszczeniu pobladli. Jeden z kryminalistyków głośno zaklął, a Dmitris nie powstrzymała głośnego jęknięcia.

Jako pierwszy poruszył się komisarz. Opuścił prześcieradło na zwłoki, jednak tak, że pozostało rozchylone, ukazując pewną część odbicia.

– Pot oraz ciepło sprawiają, że perhydrol wchodzi w jakąś reakcję – wyjaśnił Deryło. – Nie znam szczegółów, a prawdę mówiąc, nawet nie chcę ich znać. Sedno jest jednak takie, że przy jego pomocy robiono namiastkę fotografii. Potrafiono go pozyskać już ponad dwieście lat temu i w tamtych czasach rywalizował z zastosowaniem camera obscura. Malarze wykorzystywali go do wykonywania zarysu portretowanych postaci... Takie wizerunki można przyrównać do masek pośmiertnych zdjętych za życia. Choć, jak widać, nie dla wszystkich...

– Albo jak relikwia – wtrąciła Dmitris. – Całun Turyński.

– Dokładnie tak – zgodził się komisarz. – Przed chwilą pomyślałem o tym samym.

Przestąpił z nogi na nogę i odwrócił się do zwłok plecami. Zobaczył już wystarczająco wiele. Jego odkrycie sprawiło, że Sofia z wrażenia co

rusz kręciła głową. Najwyraźniej nadal nie była w stanie pojąć bestialstwa mordercy. Nagle wydeła wargi i westchnęła.

– Czyli mamy progres – stwierdziła kpiąco. – Za pierwszym razem chusta Świętej Weroniki, teraz to... Całun Turyński. Co będzie kolejnym razem? Święty Graal z krwią czy może tablice z dekalogiem?

Tuż obok niej pojawił się aspirant Adamski. Przybity i zmieszany powiódł wzrokiem od podkomisarz do Deryły.

– Nie mówicie tego poważnie, prawda? To jakieś kompletne jaja. Nie mówcie, że ktoś morduje, naśladowując relikwie czy co tam...

– A raczej z nich szydząc – sprecyzował komisarz.

– Przecież to nie ma sensu. Po co miałyby to robić? To nie średniowiecze...

– Czy zło, o ile w ogóle coś takiego istnieje, musi mieć sens?

Pytanie Dmitris zawisło w powietrzu, jednocześnie odciągając uwagę zebranych od makabry ku bardziej metaforycznym rozważaniom. Kryminaliści zgodnie podeszli do metalowego stołu, po czym szef ekipy ustawił przy nim wielką walizkę ze sprzętem. Adamski zwrócił uwagę komisarza, potrząsając trzymanym w dłoni telefonem.

– Zanim tu zszedłem, dostałem informację... Dzwoniono z komendy – bąknął, po czym nabrał tchu i dodał: – Ustalono tożsamość byłego chłopaka Amelii Darskiej. Właśnie został zatrzymany...

– Świetnie. – Deryło ruszył w stronę schodów prowadzących do wnętrza altany. – Będziemy mieli kogoś, kto zidentyfikuje ciało. Nic tu po nas.

59

– Czy to prawda, że coraz więcej osób zgłasza się, że zostało zapytanych o to, czy wierzy w duchy?

– Nie widzę związku.

– Widzi pan. Ale jeśli mam sprecyzować, to dodam, że właśnie takie pytanie miała otrzymać zaginiona Amelia D. Podobno zadano je także zamordowanej...

– Podobno, podobno, podobno! Pisze pani artykuł o teorii prawdopodobieństwa?

Rzecznik komendy parsknął i spojrzał prosto w oczy Lucyny Wiak. Blisko sześćdziesięcioletnia dziennikarka lokalnej gazety była znana z dociekliwości. Tyle że do tej pory tropiła głównie afery polityczne oraz gospodarcze. Sprawy kryminalne w okolicy stanowiły rzadkość albo odległą historię.

– Dziesięć lat temu doszło do zbiorowego mordu – ciągnęła Wiak. Na jej pyzatej twarzy pojawił się sarkastyczny uśmiech. Ze względu na poruszany temat kobieta jednak momentalnie spoważniała. Sięgnęła do kieszeni granatowego zakietu i przez chwilę nerwowo przebierała w niej palcami. Wreszcie wyciągnęła maleńki notatnik z mnóstwem powycinanych fragmentów gazet. – O, proszę bardzo... Trzy ofiary śmiertelne, w tym sprawca, który popełnił samobójstwo. Wszystko zdawało się wyjaśnione, ale zwracają uwagę miejsce i czas. Niemal równe co do dnia dziesięć lat.

– Czy coś pani sugeruje?

– Nic. To pana pytam, czy istnieje jakikolwiek związek między tamtymi wydarzeniami a wydarzeniami ostatnich dni.

– Nie.

– Wobec tego dlaczego dostałam informacje, że akta tamtej sprawy zostały wypożyczone i nie mogę otrzymać do nich wglądu? Mam do tego dziennikarskie prawo.

Na sali zapadła cisza. Rzecznik policji oblizał usta i wzruszył ramionami. Przeniósł wzrok gdzieś za Wiak. Szukał możliwości zmiany tematu. Jednak nikt teraz nie zamierzał zadać innego pytania. Jedenaścioro przedstawicieli świata mediów czekało na konkrety. Kilkadziesiąt tysięcy widzów oraz słuchaczy rozgłośni radiowych również.

– Proszę o odpowiedź – ponagliła go Wiak. – Dlaczego nie mogłam dostać tamtych akt?

– Nie wiem.

– Nie wie pan? Więc kto ma to wiedzieć?

Rzecznik westchnął i odzyskał naturalny rezon. Zdecydował się obrać klasyczną strategię wszystkich rzeczników, czyli zagrać na czas.

– Zapewne to bardzo świeży temat – oznajmił. – Postaram się jak najszybciej zdobyć informacje i wystosować oficjalny komunikat lub odpowiedzieć pani przy kolejnej okazji. Proszę mi wierzyć, sprawa zostanie wyjaśniona, ale...

Wiak już go nie słuchała. Ostentacyjnie wstała, zamknęła notatnik i wrzuciła go do wygniecionej, poprzecieranej torebki. Nie zwróciła uwagi na to, że klapy kieszeni zakietu ma wysmarowane czymś tłustym. W ogóle nie przywiązywała specjalnej wagi do wyglądu. Interesowała ją tylko prawda. Prawda, która czasem kryła się za maską makijażu, a kiedy indziej w archiwum sądu. Tym bon motem zaczęła kiedyś jeden ze swoich najpoczytniejszych artykułów. Teraz miała temat, by ponownie wrócić na szczyt. Nie zamierzała odpuścić. To nie byłoby w jej stylu.

60

– Czekaliśmy na was. – Tęgi sierżant spojrział najpierw na Adamskiego, a potem na Deryłę. – Formalnie nic na niego nie mamy, więc popija kawę i przegląda internet. Zgodził się cierpliwie siedzieć, dlatego nie robiliśmy mu problemów...

– Prokurator wszystko by klepnął – bąknął aspirant. – Jesteśmy pod bramką, więc musimy grać ryzykownie.

– Byle nie tak ryzykownie jak Putin, wysyłając armię na Kijów. To się nazywa hazard.

Reprimenda Deryły ucięła rozmowę. Chwilę później obaj policjanci weszli do mierzącego około czterech na cztery metry pomieszczenia przesłuchań. Urządzono je w stylu nawiązującym do najnowszych zachodnich trendów.

Daniel Krug siedział niemal na środku na wysokim krześle z szerokimi podłokietnikami. Naprzeciw niego znajdował się pusty fotel, a po lewej, pod ścianą, biurko z laptopem. To na nim sporządzano oficjalne protokoły. Zgodnie z koncepcjami procesowymi między prowadzącym śledztwo a przesłuchiwanym nie było żadnego stolika ani jakichkolwiek innych sprzętów. Rozmowa miała toczyć się możliwie swobodnie, w niemal przyjacielskiej atmosferze. Na gołych ścianach nie zawieszono żadnych rozpraszaczy, choć pomalowano je na przyjemny jasnomorelowy kolor.

Krug miał trzydzieści jeden lat, jasne kręcone włosy i niebieskie oczy. Przypominał szampowego kalifornijskiego surfera, tym bardziej że był ubrany w sportową niebieską koszulkę oraz krótkie spodenki z palmami. Wyglądał, jakby ściągnięto go tu prosto z plaży.

Plan działań został uprzednio uzgodniony. Aspirant zajął miejsce przy biurku, tymczasem Deryło zaczął z Krugiem luźną rozmowę. Podobnych nieformalnych rozpytań przeprowadził w życiu tyle, że pewne tematy poruszał niemal automatycznie, wiedząc, że doskonale zmylą czujność przepytывanego. Plany wakacyjne, zapewnienia o tym, że nie zajmie się wiele czasu, nawet gadka o ohydny smaku kawy z ekspresu znajdującego się na zapleczu komendy. Potem można było powoli zbliżyć się do sedna. Deryło robił to jednak bardzo ostrożnie, badając grunt.

Daniel Krug okazał się inteligentnym przeciwnikiem. Odpowiadał krótko i rzeczowo, zachowując przy tym całkowity spokój. Od czasu do czasu odsłaniał duże białe zęby, ale nie robił tego w uśmiechu, lecz w jakimś odruchowym grymasie przypominającym niemal tik. W pewnym momencie odchylił się w krześle i splótł ręce na piersi. Ten gest mógł oznaczać bardzo wiele, ale komisarz nie wierzył zbyt w czytanie mowy ciała. Przesłuchiwany odchrząknął.

– Wiem, że Amelia jest bi – stwierdził cierpko. – I wiem, że do tego pan zmierza. Proszę zrozumieć, że pochodzę z religijnego domu i choć próbowałem to zaakceptować, nie potrafiłem. Nie piszę się na otwarte związki.

Komisarz lekko drgnął, usłyszawszy o „religijnym domu”, lecz nie dał niczego po sobie poznać.

– Czy Amelia w ogóle o to pana prosiła?

– O to?

– O zaakceptowanie jej seksualności.

Krug głośno fuknął. Machnął ręką, jakby odganiał od siebie muchę.

– Nie proponowała mi trójkąta, jeśli o to pan pyta. Ale do cholery, koniec z tym. – Mężczyzna ponownie położył dłonie na podłokietnikach i zabębnił w nie palcami. Zerknął na Adamskiego, lecz zaraz ponownie skierował lodowate spojrzenie na komisarza. – Dlaczego w ogóle tu jestem? Mogę się wreszcie tego dowiedzieć? Jeśli nie, to proszę, aby...

Krug zmarszczył czoło i nagle sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej najnowszy model iPhone’a, po czym odblokował ekran. Przez moment coś czytał, wreszcie znów uniósł wzrok.

– To jakaś policyjna wkręta, prawda? – zapytał niepewnie. – To wszystko to kretyński dowcip, czy co? Kto mi wysłał tę cholerną wiadomość?

61

– „Jeśli cokolwiek powiesz, zginiesz. Jeśli nie powiesz nic, też zginiesz. Jak ona”.

Krug dwukrotnie odczytał treść esemesa i nerwowo zachichotał. Jego oczy pozostały jednak nieruchome. Wiedział, że to nie może być zwykły dowcip. Mimo to sprawiał wrażenie kompletnie skołowanego.

– Kto jest nadawcą? – zapytał Deryło. – Czy wiadomość wysłano z konkretnego numeru?

Adamski aż podniósł się od biurka. Stał nieruchomo, przypatrując się Krugowi. Mężczyzna ponownie nerwowo zachichotał i uniósł dłonie.

– Chyba sobie żartujecie. Pewnie można wykupić dowcip na dzień policjanta albo coś, ale ja nie jestem pajacem.

– To nie jest dowcip – wycedził Deryło. – Lepiej, żebyśmy kontynuowali naszą rozmowę.

– Nie, nic już wam nie powiem. Chcę się skontaktować...

Krug zawiesił głos. Najwyraźniej sam nie miał pojęcia, z kim chce się skontaktować.

– Mówię panu, naprawdę będzie najlepiej dla nas wszystkich, jeśli pogadamy zupełnie szczerze i będziemy mogli jak najszybciej robić swoje. Czeka nas wiele pracy.

– Nie. Dość. Dopóki nie wytłumaczycie mi, w czym rzecz, nie zamierzam już nic powiedzieć. Gdzie jest Amelia? O co w tym wszystkim chodzi? „Zginę jak ona”? Czy ona... Czy jestem tu, bo...

Deryło musiał błyskawicznie podjąć decyzję co do dalszej taktyki przesłuchania. Uznał, że powinien zaryzykować. Krug był na tyle zdenerwowany, że uspokajanie go zajęłoby zbyt wiele czasu. Zabawy w półprawdy, zwodzenie i meandrowanie mogłyby nic nie dać. Wbrew początkowemu dobremu wrażeniu, nie był to najinteligentniejszy człowiek, ale nie wyglądał również na takiego, który da się po prostu oszukać. Sprawy zabrnęły za daleko.

– Amelia Darska prawdopodobnie została zamordowana – oznajmił.

– Jest pan jedną z osób, które mogłyby zidentyfikować ciało.

Słowa komisarza wywołały efekt, którego ten się nie spodziewał. Krug zerwał się na równe nogi i momentalnie skierował się do drzwi.

– To naprawdę jakieś żarty! Kompletnie niesmaczne i...

– Zaręczam panu, że jestem śmiertelnie poważny.

– Pieprzę was. Nie musicie odprowadzać mnie do wyjścia, sam tam trafię.

Krug wściekle chwycił za klamkę i szarpnął drzwi. W tym samym momencie Deryło złapał go za ramię. Obrócił i spojrzał mu prosto w oczy.

– Pańska była dziewczyna została zamordowana, rozumie pan? Mamy też prawo umieścić pana w gronie podejrzanych, więc lepiej, żeby pan stąd nie wychodził.

– Naprawdę? – Krug hardo wytrzymał wzrok komisarza. – W takim razie mnie zatrzymajcie albo pozwólcie wyjść. Nie powiem już jednak ani słowa. Nie podpiszę żadnego protokołu. Nie ma mowy...

– Nie potrzebujemy podpisu.

Deryło zerknął na Adamskiego, a ten bezradnie wzruszył ramionami. Najwyraźniej nie był gotów, by odegrali z komisarzem jakąś maskaradę.

– W takim razie wypad – warknął Deryło.

– Dziękuję, właśnie spadam. I nadal wam nie wierzę. Kto miałby zamordować Amelię? Pieprzeni żartownisie!

Krug gniewnie otworzył drzwi, lecz w tym momencie komisarz znalazł się tuż przy nim.

– Ach, o czymś zapomniałem.

Jedną dłonią chwycił rękę młodego mężczyzny, a drugą sięgnął do jego kieszeni. Wyjął z niej telefon i wymownie nim potrząsnął.

– To muszę panu zabrać. Aspirant Adamski powie, do kogo może pan skierować ewentualną skargę. Całkowicie poważnie, bez żartów.

Dmitris przysłuchiwała się wszystkiemu z sąsiedniego pomieszczenia, które od pokoju śledczych dzieliło lustro weneckie. Standardowa sztuczka podobnych miejsc, pozwalająca być na bieżąco większemu

gronu policjantów poza prowadzącym przesłuchanie oraz protokolantem.

Krug o dziwo nie awanturował się. Dostał poświadczenie zatrzymania telefonu do depozytu policyjnego oraz poinstruowano go, że musi pozostać do dyspozycji policji. Komisarz dał mu również do zrozumienia, że będzie pod czujną obserwacją. Wszystko to pozostawało przynajmniej w pozornej zgodzie z przepisami. Zachowano tyle przyzwoitości, by w razie ewentualnej sprawy sądowej adwokat nie mógł podważyć całego śledztwa na podstawie drobnych uchybień.

– Coś mi podpowiada, że ten cały Krug wie więcej, niż się nam zdaje.

Sofia czekała na Deryłę w głównym korytarzu komendy. Opierała się o ścianę, a jej południowa uroda przykuwała spojrzenia wszystkich przechodzących, nie wyłączając bynajmniej kobiet. Te być może wydawały się nią nawet bardziej zaintrygowane od mężczyzn.

– Mnie się zdaje, że na pewno wie coś, czego my nie wiemy – odparł zawiłe komisarz. – Ale to mogą być tylko domysły. Prawda jest taka, że nie mamy na niego kompletnie nic.

– Poza nawiązaniem w biblijnym cytacie.

– Prokurator na to nie pójdzie. Co więcej, nie mógł wysłać do siebie tego esemesa.

Dmitris wymownie uniosła palec.

– Chyba że na jednej ze specjalnych platform stworzył wiadomość z konkretną godziną wysłania. To możliwe, już dzwoniłam w tej sprawie do ViSira. Przy okazji... – Sofia zerknęła na komisarza, który dał jej znak, by podążyła za nim. – ViSir kazał cię bardzo przeprosić, że jeszcze czegoś nie rozgryzł. O co mu chodziło?

– Może dodałem mu zbędnej roboty... Poprosiłem go, żeby...

Deryło dostrzegł Adamskiego. Aspirant stał z dwoma podwładnymi przy windach. Wydawał im właśnie polecenia, gdyż policjanci zapisywali coś w notatnikach i kiwali głowami, dając w ten najbanalniejszy sposób znać, że pojmują, o co chodzi ich szefowi. Przynajmniej z odległości nie byli w tym nazbyt przekonujący.

– Rozczarowałem pana? – Komisarz bezpretensjonalnie wszedł między mężczyzn i zwrócił się do Adamskiego. – Liczył pan, że wyciągnę z tego faceta przyznanie się do winy?

– Liczyłem, że uda się nam zdobyć więcej informacji... A dzięki panu Krug stanął okoniem i tyle go widzieli. Jesteśmy w czarnej dupie.

– Mamy jego odciski palców i ślady genetyczne.

– Jeśli chodzi o to, co zostawił na kubku kawy, to zostały pobrane niezgodnie z prawem. Nie mamy tu waszych wschodnich, lubelskich zwyczajów...

– Czyżby? Na lodowatej północy lepiej tkwić w miejscu?

Deryło uśmiechnął się wymownie. Nachylił się ku aspirantowi i szepnął mu coś do ucha. Ten wzruszył ramionami, a potem kiwnął głową.

– U mnie w gabinecie – powiedział tak, że go wszyscy słyszeli.

Chwilę później przeprosił podwładnych i poprowadził Deryłę oraz Dmitris w głąb korytarza. Wszedł do pomieszczenia opatrzonego tabliczką ze swoim nazwiskiem, po czym wychylił się z niego, trzymając dwie grube teczki. Deryło wziął je od niego bez słowa.

– Lubisz mieć na pieńku nawet z osobami, które mają cię za bohatera – skwitowała Sofia, gdy chwilę później wyszli z komendy. – Swoją drogą, czy nie wynosimy wrażliwych dokumentów?

– Owszem, ale przecież nie przydzielono mi własnego przyjemnego zakątka z ekspresem do kawy i zasobnikiem karteczek do składania origami. Bez tego nie potrafię zebrać myśli.

Dmitris podążyła za nim prosto do zaparkowanego niedaleko Citroëna. Auto zaczynało robić za obwoźne biuro komisarza.

– Masz. – Deryło wyciągnął się w fotelu kierowcy i podał Sofii jedną z teczek. Drugą otworzył na chybił trafił.

– Czego szukamy?

Odpowiedź komisarza zaskoczyła Dmitris. W milczeniu zaczęła przerzucać kolejne strony, ale na coś ciekawego trafiła szybciej, niż można się było spodziewać. Właściwie już po dwóch minutach podsunęła teczkę Deryle. Ten się szeroko uśmiechnął.

– A nie mówiłem? Dobre psy prędzej ślepną, niż tracą węch. A ja nie jestem jeszcze aż tak stary, żeby oślepnąć.

63

W Citroënie było gorąco jak w piekarniku. A może nawet bardziej. Choć komisarz włączył silnik i uruchomił nawiew, niewiele to pomagało. Wentylacja działała jedynie, gdy auto znajdowało się w ruchu. Bez tego zdawało się, że nie ma dość mocy, by choćby poruszyć stojącym w kabinie powietrzem. Tymczasem z południowego nieba lał się apokaliptyczny żar, a pojedyncze obłoczki zwiastowały jedynie podtrzymanie dobrej pogody. Wymarzona aura plażowiczów potrafiła dosłownie zlepiać szare komórki osób muszących pracować.

– Artur Krug? – Dmitris przejrzała fragment akt, który wskazał jej komisarz. – To protokół autopsji. Zaraz, zaraz, czy...

– Tak. Właśnie tak.

– *Malaka*[2]...

– He? To coś po macedońsku?

Sofia machnęła ręką. Przełożyła kilka kartek i ponownie skupiła się na tekście. Intrygujący był oczywiście sam zapis autopsji, charakter obrażeń oraz mechanizm zgonu, ale to właśnie nazwisko denata wzbudzało jej największe zainteresowanie.

– Nie sądzę, żeby to był przypadek – mruknęła. – Były facet kobiety zamordowanej przed paroma godzinami i bliski chłopaka zamordowanego przed laty. Ciekawe...

– Obstawiam, że to jego brat, choć to teza czysto robocza. W każdym razie jakiś kuzyn, bo historie łączą się nam nazbyt mocno.

– Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że sprawca miał niby wrócić dokładnie po dziesięciu latach.

Deryło przeciągnął się i położył ręce na kierownicy. Zabębnił w nią palcami.

– Dokładnie. Szczególnie że ten temat nie był chyba wałkowany w mediach. Mało kto mógł o tym wiedzieć.

– Sugerujesz, że mordercą jest ktoś z kręgu dawnych ofiar? Albo że mamy w rękach kolejny dowód obciążający Daniela Kruga?

– Nie wiem. Sugeruję tylko, że podobne zbiegi okoliczności nie istnieją.

Komisarz zamknął teczkę i podał ją Sofii. Sam wrzucił bieg, po czym dodał gazu. Powoli wytoczył starą furgonetkę na ulicę. Pod nosem cicho powtórzył adres. Wreszcie wypowiedział go głośniej i poprosił, by Dmitris użyła nawigacji w telefonie.

– Dokąd się wybieramy? – Podkomisarz, nie czekając na odpowiedź, posłusznie wyszukała wskazany adres. – To siedemnaście kilometrów stąd. Dwadzieścia jeden minut drogi.

– Świetnie.

Deryło bez słowa wziął od niej telefon i położył go obok siebie tak, by móc swobodnie zerkać na ekran. Tymczasem Sofia, wątpiąc, by uzyskała jakiegokolwiek wyjaśnienia od komisarza, ponownie przerzucała karty akt. Wkrótce pojęła, dokąd zamierzał wybrać się Deryło.

– Myślisz, że to nam coś pomoże? – zapytała. – Jeśli wyjdzie na jaw, że tamto śledztwo prowadzono na odwal, ludzie się wściekną. Nic więcej.

– Tylko jeśli to wyjdzie na jaw – przyznał komisarz. – A ja wcale nie zamierzam o tym nikomu mówić.

[2] Macedońskie przekleństwo.

Wojtek drżącą dłonią rozpakował płócienny woreczek i wysypał jego zawartość na podłogę. Było tam tylko kilka przedmiotów, a wśród nich zapakowana w przezroczyste szklane opakowanie dwustronna żyletka. Chłopiec sięgnął po nią i od razu się wzdrygnął.

– Nigdy nieużywana. – Adam jakby przewidział jego obawy albo próbę wykpienia się od zadania. – Nie trzeba jej dezynfekować. Wyraźnie napisano to w instrukcji.

– Boże... – Wojtek jęknął. Pot spływał mu po czole i skapywał na policzki. – Nie mówicie poważnie... Przecież to jakaś głupota.

– Mówimy całkiem poważnie – uciął Adam. – Wykonaj zadanie. Zgodnie z przysięgą gracza.

– Nie.

Wojtek rzucił żyletkę na podłogę. Chciał się zerwać na równe nogi, lecz w tym samym momencie Artur kopnął go w łydkę. Adam zareagował jednocześnie, jakby wszystko od dawna zaplanowali. Chwycił najdrobniejszego chłopca za ramię i cisnął go na ziemię. Jego nos znalazł się tuż przy żyletce.

– Albo to zrobisz, albo zrobimy to za ciebie – wycedził. – Niewykonane zadania mszczą się na wszystkich uczestnikach gry. Czytałeś o tym.

– Masz. – Artur sięgnął po inny z przedmiotów, które wypadły z woreczka. Było to małe lusterko przypominające te używane przez kobiety przy poprawianiu makijażu. – To ci się przyda. Nie odetniesz sobie całego ucha. Chodzi tylko o płatek. Nikt nie zauważy. A może nawet odrośnie...

– Nie, ja nie chcę! – zaprotestował Wojtek. – Proszę, nie!

Dwa mocne ciosy w podbrzusze i nerki przekonały go, że jego towarzysze nie żartują. Ciężko dysząc, wziął w jedną dłoń lusterko, a w drugą żyłtkę. Ręce drżały mu jak u alkoholika. Pod nosem zebrał się gęsty śluz.

– Jazda!

Adam po raz kolejny zacisnął pięść i to wystarczyło. Przerazenie zamieniło się w siłę sprawczą. Najmłodszy chłopiec zacisnął zęby, zerknął w lusterko i wypuścił je z dłoni. Zamiast tego chwycił płatek ucha, po czym go naciągnął. Drugą dłonią poprowadził żyłtkę, która wzięła się w skórę jak nóż w odstane masło. Wszystko potoczyło się nadzwyczaj szybko.

Po chwili Wojtek trzymał w palcach odcięty fragment własnego ciała. Przez sekundę lub dwie jego oczy zionęły dziwną pustką. Nagle jego twarz zrobiła się przerażająco blada, jakby odpłynęła z niej cała krew. Najwyraźniej nie zdążyła jednak jeszcze spłynąć do ucha, gdyż dopiero po kolejnych dwóch lub trzech sekundach prysnęła z rany niczym z tętnicy. Ciepła ciecz obryzgała twarz nachylającego się nad Wojtkiem Artura oraz nogawkę spodni Adama. Obaj chłopcy sprawiali wrażenie zaskoczonych tym, co się wydarzyło. Jakby do ostatniej chwili nie wierzyli, że Wojtek zdobędzie się na wykonanie zadania.

Jako pierwszy otrząsnął się Adam. Przystąpił z nogi na nogę i zaczesał za uszy długie włosy. Zmarszczył czoło, uważnie nasłuchując.

– Ktoś tu idzie – syknął. – Słyszeliście to skrzypienie? Ktoś jest na werandzie.

– Przywołaliśmy diabła – wymamrotał Artur.

Wojtek wypuścił odcięty płatek ucha i nieprzytomny osunął się na podłogę. Plama krwi przy jego głowie szybko się powiększała. W tym samym momencie ktoś nacisnął klamkę drzwi prowadzących do altanki.

Rodzice Daniela Kruga byli mniej więcej w wieku komisarza, choć trudy życia odcisnęły na ich twarzach głębokie piętno. Dopiero w zestawieniu z ich głębokimi rysami, ponurymi spojrzeniami i zmarszczkami można było stwierdzić, że Deryło po wszystkim, co przeszedł, trzyma się całkiem nieźle. A może to on chciałby, aby tak było.

W każdym razie, gdy tylko okazali z Dmitris legitymacje i powiedzieli, w jakiej sprawie się pojawili, zostali zaproszeni do małego saloniku. Pomieszczenie wielkości pokoju przesłuchań z komendy było znacznie bardziej ponure od niego. Zielone grube zasłony sprawiały wrażenie wręcz oblepionych kurzem. Stara meblościanka niemal pozbawiona była sprzętów, a na jednej z półek stał stary telewizor. Oprócz niego tu i ówdzie leżały książki, stał krzyż oraz kilka małych świętych obrazków, poza tym mebel wręcz zionął pustką.

Komisarz wymyślił na poczekaniu historię o tym, że zajmują się weryfikacją rozmaitych śledztw sprzed lat, co wydawało się brzmieć nader wiarygodnie. Jednak pan Krug szybko podchwycił jego szczególne zainteresowanie Danielem Krugiem. Okazało się, że mężczyzna rzeczywiście był bratem Artura. W chwili wydarzeń sprzed dekady miał dwadzieścia lat, ale przeżył je tak mocno, że rzucił studia. Nie potrafił się pozbierać. Jego życie zaczęło się sypać tak jak życie całej rodziny.

– Czy podejrzewacie Daniela o związek... – Pan Krug zawiesił głos i spuścił wzrok. Po chwili ponownie spojrzał na komisarza. – W telewizji ciągle się wałkuje temat tego mordu i zaginięcia... Ta druga kobieta podobno również nie żyje.

– Chyba rozumiecie państwo, że nie mogę mówić o szczegółach sprawy.

– Ale się nie mylę, prawda?

Deryło wessał dolną wargę i cmoknął. Sam już nie wiedział, w czym miałby się nie mylić pan Krug. Jego żona przez ostatnie minuty siedziała całkowicie bez słowa, ze zwieszoną głową i ściskając jedną dłoń wewnątrz drugiej.

– Człowiek, który zabił Artura, zagraża teraz Danielowi? – dopytał mężczyzna. – Objęliście go ochroną?

– Jest bezpieczny – odpowiedziała za komisarza Dmitris. Była mniej zaskoczona tokiem rozumowania ojca Daniela niż Deryło. – Nie musicie się o nic martwić. Chcieliśmy tylko dowiedzieć się szczegółów sprawy sprzed lat.

– Przecież macie akta.

– Owszem, ale bez nich możemy spojrzeć na te wydarzenia inaczej.

– Właśnie. – Deryło podchwycił wątek i przysunął się bliżej stołu. Oparł na nim ręce, po czym pochylił się w stronę rozmówców. – Zgodnie z dokumentami doszło do zbiorowego samobójstwa, a pan mówi o tym, że ktoś, kto zabił Artura, mógłby zagrażać Danielowi.

Mężczyzna potrząsnął głową i poprawił okulary. Zerknął na żonę, lecz ta pozostawała niezmiennie w tej samej pozycji, jakby samo przysłuchiwanie się rozmowie było dla niej zbyt wyczerpujące.

– Nie wiem, co tam się wydarzyło – stwierdził Krug. – Niby wszystko zostało wyjaśnione, ale nie wierzę w taką bezmyślność naszego dziecka jak przedstawili to śledczy. Chyba że w nich wszystkich wstąpiło wtedy Zło. Rozumiecie? To przez tę cholerną grę, która zatrąła im umysły. Panie, świeć nad duszą naszego synka i nad naszymi duszami.

Mężczyzna pośpiesznie się przeżegnał. Jego żona po raz pierwszy od kilku minut drgnęła, po czym również nakreśliła dłońmi znak krzyża.

– Ktoś miał powiedzieć, że Zło powróci po dziesięciu latach – wymamrotała ledwie zrozumiale. Pokręciła głową i dodała: – To bzdura. Zło nigdy nie odchodzi. Ono zawsze jest wśród nas.

– Smutna historia.

Deryło zerknął na uruchomioną w telefonie Dmitris nawigację i skierował się na wschód. Zgodnie z informacjami z dokumentów kolonie sprzed lat tak naprawdę były wyjazdem integracyjnym dzieci z biedniejszych domów Pomorza, a wszyscy chłopcy, których ciała znaleziono w altance, znali się i mieszkali w promieniu kilkunastu kilometrów. Chodzili przez jakiś czas nawet do jednej szkoły.

– Takie wydarzenia potrafią rozwalić życie...

– Niejedno. To tragedia dla wszystkich. Moim zdaniem tym ludziom trochę odbiło... Zwróciłaś uwagę na te wszystkie krzyże oraz święte obrazki w ich domu?

– Każdy szuka sensu na swój sposób. To naturalne.

– Taa... Przynajmniej jakoś ciągną ten wóz.

– Raczej wloką na barkach swoje krzyże. – Dmitris poprawiła się w fotelu i zerknęła na telefon. Tym razem do pokonania pozostało im niecałe dziesięć kilometrów. – Wojtek był jedynakiem, więc nie dziwię się jego rodzicom. Kompletnie stracili sens czegokolwiek.

– Taa... – powtórzył komisarz.

On rozumiał ich jeszcze lepiej. Rodzice drugiego chłopca niespełna dwa lata po śmierci syna udali się do garażu, skierowali do auta rurę podłączoną do układu wydechowego, po czym wsiedli do środka i odpalili silnik. Zbiorowe samobójstwo pociągnęło kolejne... Zostawili krótki list pożegnalny z kilkoma słowami wyjaśnienia dla żyjących jeszcze rodziców mężczyzny. Wyjaśnienie stanowiło raczej katalog pretensji kierowanych do świata i Boga. Mówiono, że niewiele brakowało, a blaszany garaż pod wpływem nagromadzonych wyziewów samoczynnie by eksplodował.

– Myślisz, że to śledztwo naprawdę zostało zamknięte zbyt wcześnie?

– Sofia ponownie zajęła się przeglądaniem wyciągu z akt. Irytowało ją, że mają do dyspozycji jedynie tę znikomą część dokumentów, ale nie

mogła na to nic poradzić. – Wszystko wydaje się logiczne. Prokurator nie miał żadnych wątpliwości.

– Chyba niemal nikt ich nie miał. Sprawa wydawała się oczywista, przynajmniej jeśli opierać się na zgromadzonym materiale dowodowym.

– A mimo to coś nadal ci nie pasuje. Poznałam cię już na tyle, że wiem o tym aż zbyt dobrze. Każdy por twojego ciała krzyczy, że widzisz w tym wszystkim luki. Albo nawet wielkie dziury.

Deryło mlasnął. Rzeczywiście coś mu w tym wszystkim nie grało. Jednak nie chodziło o nic konkretnego, a raczej o ciąg skojarzeń. Poza tym nader istotny element stanowiły najnowsze zbrodnie. Nawet jeśli nie miały bezpośredniego związku z wydarzeniami sprzed dekady, sprawca musiał do nich z jakiegoś powodu nawiązywać.

– Jeśli zrozumiemy „dlaczego”, zrozumiemy też, kto stoi za ostatnimi mordami.

– W twoich ustach brzmi to wyjątkowo prosto.

– Tak zazwyczaj jest, tylko sami nazbyt komplikujemy fakty.

Komisarz ponownie zerknął na nawigację i dodał gazu. Nie do końca zgadzał się z wygłoszonym przed chwilą zdaniem, a nawet uznał je za farmazon. Nie cierpiał takiego pustosłowia.

– Sam już nie wiem. Myśli kompletnie mi się płaczą. Mam nadzieję, że nie nabijam teraz bezsensownego przebiegu i lada moment dowiemy się czegoś więcej o tym mitycznym „Złu”. – Deryło łypnął na Sofię i usiłował zmienić temat: – Swoją drogą wierzysz w Boga? Wy w Macedonii ponoć jesteście bardzo religijni?

Dmitris nie podłapała tematu. Pogrążona w myślach obserwowała przesuwający się za oknem nadmorski krajobraz.

– Nie mam dla was wiele czasu, w ogóle go nie mam, ale proszę, proszę, siadajcie. O czym to ja mówiłem... A tak, o czasie... Widzicie, człowiek na rencie niby powinien go mieć aż zbyt wiele, a ja wiem, że mi go brakuje. Nic już nie osiągnę, ale przyznam się, że właściwie nie chcę już niczego osiągać. Od dziesięciu lat nic mnie nie interesuje. Wszystko jest nieistotne jak jakiś pył czy coś... Wiecie, o co mi chodzi? A przecież dziesięć lat to kawał czasu! Do tego wydaje mi się, jakbyśmy się z Adamem żegnali kilka dni temu...

Deryło zerknął na Dmitris, a ta porozumiewawczo mrugnęła. Tak, to był ciężki przypadek. Zgodnie z informacjami od Adamskiego ojciec najstarszego z chłopców od lat leczył się psychiatrycznie i był na rencie. Po śmierci chłopca posypało się jego małżeństwo, a żona wyprowadziła się do rodziny w USA. Nie stawiała się nawet na przesłuchanie w sprawie wydarzeń sprzed dekady. Zerwała kontakty ze znajomymi w Polsce i w końcu przepadł po niej wszelki słuch. Wymiana danych z władzami amerykańskimi nie była tak łatwa, jak by się mogło wydawać. Uznano jednak, że z punktu widzenia śledztwa jej pomoc jest nieistotna i zaniechano jakichkolwiek czynności.

Olgierd Hansen przypominał kłębek nerwów. Rozglądał się na wszystkie strony, miał tik wyginający co chwilę twarz, to splatał, to rozplatał dłonie, wydawało się nawet, że nie siedzi, lecz wręcz kuca nad krzesłem, jakby miał zaraz się wyprostować. Choć liczył nie więcej niż pięćdziesiąt lat, szaleństwo mocno go postarzyło. Deryło pomyślał, że jest w nim coś podobnego do strachów na wróble, które straszyły w bajkach sprzed lat. Być może chodziło o jego anorektyczną szczupłość, a może o pełne dziur ubranie nadające się co najwyżej na szmaty.

Mieszkanie, w którym się znajdowali, niewiele się różniło od meliniarskich ruder. Zamiast butelek wszędzie poniewierały się śmieci – pomięte gazety, powycinane fragmenty opakowań rozmaitych produktów oraz worki foliowe. Brakowało tylko pełzających po podłodze robaków.

Usiedli przy okrągłym stole przykrytym poprzecieraną ceratą. Były na niej ślady kubków oraz szklanek, które odbiły się w przeciagu co najmniej ostatniego ćwierćwiecza. Hansen zaproponował swoim gościom coś do picia, lecz ci natychmiast serdecznie podziękowali. Po krótkim, niemal klasycznie angielskim *small talku* komisarz przeszedł do rzeczy.

– Przepraszam, jeśli ta rozmowa jest dla pana niewygodna i przywoła wspomnienia, lecz...

– Wspomnienia cały czas są tutaj. – Mężczyzna stuknął się palcem w czoło i ponuro się uśmiechnął. – Cały czas. Nie da się ich przywołać, bo nigdzie nie poszły. Zostały i siedzą bezpiecznie okopane na swoich pozycjach.

– W takim razie nie będę ich zbyt długo szturmował.

– Proszę nie mieć oporów, panie...

– Komisarzu. Deryło.

– Niech tak będzie. Co chce pan wiedzieć?

Komisarz przesunął dłoń, która przykleiła mu się do brzegu stołu. Położył ją na kolanach i ukradkiem otarł o spodnie.

– Dobrze, wobec tego zapytam wprost. Czy sądzi pan, że śledztwo sprzed dziesięciu lat wszystko wyjaśniło? Czy zakończyło całą sprawę?

Hansen po raz pierwszy, odkąd się u niego zjawili, zastygł w bezruchu. Trwało to jedynie dwie lub trzy sekundy, lecz przez ten czas jego powieki ani drgnęły. Wydawało się, że zatrzymało się również jego serce.

– A co miało nie zostać wyjaśnione? – bąknął nagle. – Sprawa była dziecinnie prosta. Rozszerzone samobójstwo, trzy osoby w domu i trzy zgony... Żadnego udziału osób trzecich, żadnych innych śladów, nic... Co miałyby nie być wyjaśnione?

– Chodzi nam tylko o pańskie odczucia – odezwała się Dmitris. – Często najważniejsze jest samo wrażenie osób takich jak pan.

– Nagle to kogoś interesuje?

– Czy słyszał pan o przedwczorajszym morderstwie?

Hansen wytrzeszczył oczy i podrapał się po karku. Po chwilowym bezruchu nie było już śladu. Mężczyzna poprawił się na krześle, po czym splótł ręce na piersi.

– Morderstwie? – zapytał zaskoczony. Nagle, jakby własny ton naprowadził go na nowy trop, wydał wargi. – Ach! Było jakieś morderstwo i wy łączycie je z tym, co wydarzyło się dziesięć lat temu? Mówiono wtedy o tym, że jakiś duch z tej gry ma powrócić za dziesięć lat... Dobrze sobie. To tylko gra. Głupia gra!

Mężczyzna uderzył pięścią w stół i zamrugął. Z oczu popłynęły mu łzy. Dmitris wyciągnęła ku niemu dłoń i delikatnie chwyciła go za rękę. Hansen całkowicie się rozkleił. Płakał, a jego ciało drżało jak w febrze.

– On leżał niedaleko wejścia... – wybełkotał, łkając. – Kolejny przy oknie, a ten trzeci... Ten trzeci miał nienaturalną pozycję. Drzwi były przymknięte, ale od razu wiedziałem, że coś jest nie tak... Ojciec czuje. I czuje też, że sprawa jest całkowicie zamknięta. Wszystkim czasem miesza się w głowach, lecz nic nie można na to poradzić.

Deryło nachylił się do Hansena.

– Mówi pan, jakby to widział... – szepnął niemal poufałym tonem.

– Ja to widziałem – odparł mężczyzna. – Nie wiecie, że to ja odnalazłem ciała?

„Zło. Studium”.

Te dwa słowa Lucyna Wiak umieściła na okładce notatnika. Przez lata podkreślała je, poprawiała i kreśliła na nowo. Z czasem wokół napisu pojawiły się plamy tłuszczu, brudu oraz zacieki. Płótno obwoluty poprzecierało się i zmieniło kolor z butelkowej zieleni na wypłowiały pistacjowy. W notesie znajdowało się kilkadziesiąt

nakreślonych drobnym pismem tekstów. Zarysy materiałów, fragmenty wywiadów, ważne myśli, zagmatwane wykresy oraz niemożliwe z perspektywy lat do zrozumienia pomysły... Jej całe życie.

Gdzieś w połowie liczącego około dwustu kartek brulionu tkwił plan artykułu, przez który rozpadł się jej jedyny, poważny związek. Mimo upływu wielu miesięcy Wiak wciąż nie potrafiła się z tym pogodzić. Wspomnienia powracały, burząc jej normalny spokój myśli. Nigdy nie sądziła, że się zakocha, a tym bardziej że zakocha się tak niefortunnie.

Dawida Banacha poznała w trakcie jednej z konferencji prasowych wojewody. Mężczyzna pracował jako szara eminencja, doradca do spraw pjaru oraz kreator wizerunku. Zajmował się wszystkim, włącznie z wystrojem sal, budową podium, tapetu oraz nagłośnieniem. Typowy pracoholik, który tak jak ona święcie wierzył w swoją pracę.

Po konferencji spotkali się w kawiarni, potem poszli do baru, a skończyli w łóżku. Ot, szaleństwa wieku, w którym nie ma sensu z niczym zwlekać. W końcu oboje studia mieli już bardzo dawno za sobą.

Związek, może niezbyt fortunnie rozpoczęty (a może rozpoczęty najfortunniej, jak to tylko możliwe), rozkwitał w zaskakującym tempie. Para spotykała się codziennie, a Dawid wydawał się ideałem mężczyzny, o jakim marzyła Wiak. Oczytany, obyty i odpowiedzialny. Mogli rozmawiać na wszelkie możliwe tematy, a on wciąż zaskakiwał ją swoimi zainteresowaniami. Aż pewnego dnia...

To, co się wydarzyło, przypominało historyjkę z abstrakcyjnej komedii albo romansu. Tyle że komedie i romanse zazwyczaj kończą się *happy endem*, a Wiak szybko zrozumiała, że musi dokonać prostego wyboru. Między moralnością i przyszłością. Dobrem i złem. Gdyby nie zajmowała się tym zawodowo, być może zachowałyby się całkowicie inaczej. Zło... Jakże różne ma formy i twarze.

- W składaniu obietnic nie ma nic złego. To normalne!
- Nie, jeśli nie można ich dotrzymać.
- Dlaczego? Czy ludziom nie wystarczy nadzieja na lepszą przyszłość?
- Żłudna nadzieja? Nie bądź śmieszny!

Przed oczami Wiak stało wspomnienie tamtej kłótni. Dzięki znajomościom wśród urzędników nawiązała kontakt z politykiem, który chciał zmienić barwy... W świecie układów nie ma lepszej formy promocji niż spalanie za sobą mostów, więc Wiak otrzymała całe mnóstwo tajnych – do niedawna – materiałów. Wynikało z nich jednoznacznie, że biuro obecnego wojewody nie ma nawet w planach wywiązania się z obietnic wyborczych. Było to niewykonalne nie tylko ze względów budżetowych, lecz przede wszystkim kompromisu, jaki tworzył lokalną koalicję. Partie wzajemnie się szachowały, nie pozwalając na realizację programów. Była to gra na pokaz, gdyż szczegóły paktu ustalono jeszcze przed wyborami. Podzielono stołki, mandaty i biurka. Natomiast wyborcy zostali z pustymi obietnicami, skrytymi za mgłą niedomówień. Wydawało się, że jedna i druga strona połączyły się dla dobra wspólnego, tylko tymczasowo odkładając niektóre postulaty. Prawda była znacznie prostsza.

– Chodzi tylko o kasę – cedziła Wiak. – To cyniczne i tak obrzydliwe, że chce mi się rzygać. Mogłabym zrozumieć najgorszego idealistę, wierzącego w marksizm albo skrajny kapitalizm, wszystko jedno. Ale tu chodziło wyłącznie o forszę. A ty o tym dobrze wiedziałeś.

Banach wzruszył ramionami. Oczywiście, że o wszystkim wiedział. W końcu jemu również chodziło wyłącznie o forszę. Mógłby pracować nawet dla diabła, na tym polegała jego funkcja. Miał robić swoje. Dlatego na wywód Wiak odpowiedział pytaniem:

- Czy adwokat ma prawo pytać klienta, czy ten nie kłamie?

– Naprawdę to porównujesz? Wciskanie ludziom gówna zapakowanego w złoty papierek do realizowania konstytucyjnego prawa?

– Nie widzę różnicy.

I to wystarczyło. Wiak zdawała sobie sprawę, że być może jest utopistką, ale niedostrzeżenie różnicy w takim temacie nie mieściło się jej w głowie. Nie mogła sobie wyobrazić przyszłości z kimś mającym takie podejście do życia.

– Może i mnie okłamujesz, nie widząc w tym nic złego, o ile nie dowiem się o tych kłamstwach. Co? – parsknęła. – Prawie trzydzieści lat życia poświęciłam na pokazywanie ludziom prawdy. Wierzę w swoją misję. I w to, że jest dobra.

– Naprawdę? – Banach uśmiechnął się krzywo. – Ja również wierzę w swoją misję, ale w dupie mam, czym jest dobro i zło. Robię wszystko zgodnie z prawem i przynajmniej na tym zarabiam.

– Zarabiasz? Czyli naprawdę sednem jest pieprzona kasa!

– Bez niej można zdechnąć na ulicy. Myślałem, że myślisz przyszłościowo, o rodzinie i...

Tego było za wiele. Lucyna Wiak wyszła z mieszkania Banacha i nawet nigdy nie wróciła po swoje rzeczy. On również więcej się nie odezwał. Kilkumiesięczny związek okazał się oparty na złudzeniach. Do notatnika o studium zła trafił kolejny tekst, a przy okazji kilka nędznych wpisów o kretyństwie miłości. Być może również ją każdy inaczej definiował.

Wiak zastukała palcami w okładkę notatnika. Sprawa zbrodni wydawała się jaśniejsza od nurzania się w tej piekielnej polityce. Jakby to zło miało w sobie coś czystsze, a przez to... Lepszego? Nie. Powinna to ująć jakoś inaczej. W jej głowie powstawały nowe koncepcje, lecz wymagały sprecyzowania.

Musiała się przejść i znaleźć ustronne miejsce. Takie, gdzie będzie mogła wszystko przemyśleć. W końcu zdania same zaczną płynąć.

Zło... Należało tylko uchwycić jego istotę. Otrzeć się o nią i pozwolić się mu prowadzić jak za rękę.

Zło. To zawsze był człowiek.

70

– Syn dzwonił do mnie kilka razy. Byłem wtedy pieruńsko zajęty i nie odebrałem, nie słyszałem telefonu... Wpadłem w popłoch, bo nigdy nie zdarzyło się, żeby tak usilnie próbował się ze mną skontaktować. Ten wyjazd traktował jak szkołę przetrwania i bardzo się na niego cieszył.

– Oddzwonił pan?

– Tak, ale nie odebrał. Dlatego wsiadłem w auto i pojechałem na ten kemping. To ledwie kilkanaście kilometrów stąd.

Deryło westchnął. Aż nazbyt dobrze czuł, dokąd może zmierzać ta opowieść. Choć nie był zbyt empatyczny, ta historia oddziaływała na niego w sposób szczególny. Jakby dotyczyła go osobiście. Nie podobało mu się to, nawet go złościło, ale nie mógł nic poradzić. Zacisnął usta i wbił wzrok w blat stołu. Tymczasem Hansen kontynuował opowieść.

– Chłopców nie było w pokoju. Opiekunki kompletnie nie miały pojęcia, co się mogło stać, ale zbagatelizowały mój niepokój. Uznały, że zbędnie panikuję i robię niepotrzebne zamieszanie.

– Zaczął pan poszukiwania na własną rękę?

– Tak. Jak oszalały obiegłem cały ośrodek, a potem pognałem do lasu. Krzyczałem, nawołując Adama tak głośno, że prawie ochrypłem. Nie pamiętam wszystkiego, co się wydarzyło. Tu pamięć nieco mnie zawodzi... W każdym razie nagle znalazłem się tam. Właśnie tam...

Hansen zamilkł i wysmarkał się w podartą materiałową chusteczkę. Dmitris i Deryło cierpliwie czekali, aż podejmie opowieść, lecz zamiast tego mężczyzna ponownie znieruchomiał. Tym razem stan bliski katatonii trwał dłużej niż poprzednio. Po kilkudziesięciu sekundach komisarz zaczął się niecierpliwić.

– Wszedł pan do tego domku? – zagadnął. Choć wiedział, że przywołuje najbardziej traumatyczne wspomnienie, nie mógł teraz odpuścić. Tym bardziej że tego fragmentu wydarzeń nie znalazł w wyciągu z akt.

Hansen zaśmiał się, jakby pytanie komisarza było najśmieszniejszym dowcipem.

– A co miałem zrobić? – zapytał, chichocząc. Nagle całkowicie spoważniał. – Wycofać się? Dobrze wiecie, że wszedłem do środka. Znalazłem ich... Ich ciała. Mój syn zginął jako ostatni, widział wcześniej śmierć przyjaciół. Może nawet to było jego zadanie z tej gry... Ale podejrzewam, że to któryś z pozostałych chłopców namówił ich do samobójstwa. Ta gra... Przecież skądś musieli ją zdobyć, prawda? Jak można chcieć się zabić w tak młodym wieku? Mieli całe życie przed sobą...

Deryło głęboko wciągnął powietrze i na chwilę przymknął oczy. To nie zmęczenie brało nad nim górę, lecz własna przeszłość. Podniósł się z krzesła, po czym ku zdziwieniu Dmitris podszedł do Hansena. Położył dłonie na ramionach mężczyzny i delikatnie go przytulił, jakby przytulał maleńkie dziecko. W tamtej chwili gardła ich obu były zaciśnięte, a oczy wilgotne od łez.

Przyznanie się do własnych słabości wiele kosztuje. Pokazanie tych słabości kosztuje jeszcze więcej i bywa powodem głębokiego wstydu. Choć zapewne niepotrzebnie, Deryło był na siebie wściekły. Po co mu było to pocieszenie Hansena? Po raz pierwszy od lat zdał się na jakiś wewnętrzny głos, który zawładnął jego ciałem, jakby był jakimś niedojrzałym chłystkiem. Do tego o mało się nie popłakał. Wszystko to sprawiało, że z całej siły zaciskał dłonie na kierownicy i co chwilę

głośno parsknął. Jakby w ten sposób mógł wymazać z pamięci to, co się wydarzyło.

Zdawało mu się, że Dmitris robi wszystko, byle nie skomentować jego zachowania. Że musiała je ocenić, lecz teraz oddawała się pozornej zadumie, byle uniknąć nie tematu śledztwa, lecz właśnie tematu emocji komisarza.

– Jeśli chcesz coś powiedzieć, to wal – odezwał się, nie mogąc znieść tego dłużej. – Śmiało, mów wszystko, co masz w głowie.

– Zaczekaj...

– No mów!

Sofia łypnęła na Deryłę, lecz zaraz powróciła do przeglądania czegoś w telefonie. Robiła to, odkąd wsiedli do auta, a od paru minut zadanie pozornie pochłaniało ją bez reszty. Przynajmniej, zdaniem komisarza, usiłowała wyglądać, jakby tak było. Jednak ku jego rozczarowaniu odezwała się poważnie, całkowicie bagatelizując jego przypuszczenia.

– Przeglądam nagłówki lokalnych gazet sprzed śmierci tamtych chłopców – oznajmiła, nie odrywając wzroku od telefonu.

– Sprzed? Po co?

– Sprawdzam, czy to tak spokojna okolica, jak mogłoby się wydawać. I jak nas wszyscy zapewniają. W końcu w kurorcie wakacyjnym mógł pojawić się ktoś z zewnątrz.

– I?

Dmitris wreszcie podniosła głowę i spojrzała na komisarza. W jej twarzy widać było skupienie oraz zaintrygowanie.

– Jakiś nastolatek zaginął niemal w tym samym czasie – powiedziała zadumana. – Oczywiście jego historia przepadła pod nagłówkami informacji o odnalezionych trzech ciałach. Nawet nie wiem, czy się odnalazł, czy nie...

– Nawet jeśli, chcesz powiedzieć, że w okolicy grasował seryjny morderca? Widzisz, że sprawa wydaje się całkowicie wyjaśniona.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Wydarzenia zostały odtworzone bez żadnych wątpliwości. Ślady były jednoznaczne.

– A jednak sam brniesz w przeszłość.

Te słowa Dmitris ugodziły w jakiś delikatny punkt komisarza. W pierwszej chwili chciał jej zaprzeczyć, lecz wiedział, że ma rację. Nie potrafił się tylko domyślić, czy nawiązuje tym do jego chwili słabości. Nie miał już jednak ochoty tego analizować.

– Brnę w przeszłość, bo ta może mieć wpływ na teraźniejszość – skwitował, zerkając w lusterko. – Mamy do czynienia ze zbyt dziwnym zbiegiem okoliczności, i tyle...

– Jak dla mnie, to wszystko ma swoją przyczynę. Dziś widzimy skutki, choć aby dorwać tego świra, musimy zrozumieć mechanizm ich powstania. To wszystko. Co jest?

– Co co?

– Widzę, że ciągle zerkasz w lusterko.

Deryło zrobił to po raz kolejny i dodał gazu.

– Ktoś za nami jedzie. Jakby od paru kilometrów nas śledził...

72

Nadchodziła noc. Ciężkie chmury kłębiły się na horyzoncie, a wiatr szmeriał wśród liści. Wzdłuż odległej o niespełna dwieście metrów promenady zapaliły się latarnie.

Lucyna Wiak podniosła głowę znad notatnika. Siedziała w parku i jak to miała w swoim zwyczaju, na ławce z widokiem na morze sporządzała wstępny zarys artykułu. W teczce obok niej piętrzył się stos dokumentów, wycinków z gazet oraz wydruków. W ciągu ostatnich kilkunastu godzin dotarła do wielu interesujących wiadomości. Mimo to zdecydowała się jeszcze wstrzymać z ich ujawnieniem. Może jedynie do jutra, ale zawsze... Dzisiejszy świat oferował przecież możliwość natychmiastowej publikacji

w internetowym wydaniu gazety. Wystarczyło, aby przekazała gorący *news* naczelnemu, a ten puścił go dalej w obieg...

Nie. Niczego nie mogła pośpieszyć. Lepiej było pewne wydarzenia cierpliwie przemyśleć niż zadziałać przedwcześnie. Poza tym w podobnych sprawach zawsze pozostawała kwestia ewentualnego kontaktu z policją. Czy nie powinna go nawiązać? Po ostatniej konferencji prasowej w komendzie pewnie stała się *persona non grata*, lecz przecież wszystko robiła w dobrej wierze. Kierowała się standardami dawnego, rzetelnego dziennikarstwa.

Informacje o zbrodni sprzed lat wydawały się jednak nadzwyczaj intrygujące. Nie musiała wertować akt sądowych, wystarczyło, że poruszyła stare kontakty. Kryminaliści bywali gadatliwi. Podobnie jak emerytowani gliniarze. Ci, o ile nie zajęli się czymś innym – a najlepiej wychowaniem wnuków – potrafili paplać bez opamiętania. To bywało urocze, ale również przydatne.

Czy istniał świadek wielokrotnego mordu sprzed dekady? Niektórzy specjaliści utrzymywali, że w altance pojawił się ktoś, kto nie był bezpośrednio związany ze zbrodnią. Przypadkowy turysta? Bezdomny? Dotarcie do niego mogło pomóc rozwiązać sprawę ostatnich zabójstw.

Jeżeli ktoś taki naprawdę istniał, dlaczego nie zgłosił się do tej pory? Informatorzy zapewniali Wiak, że potencjalny świadek nie uczestniczył w mordzie. Znalezione ślady pozwalały postawić tezę, że ktoś pojawił się w progu altanki, ale nie wszedł dalej niż na kilka kroków. Nawet nie zbliżył się do ofiar.

A może pojawił się na miejscu już po zbrodni? Zobaczył ciała i uciekł? To wydawało się całkiem sensownym wytłumaczeniem. Przy tym potwierdzono, że te ślady nie należały do pana Hansena.

Wiak wstała i niedbale wepchnęła rozmaite kartki do kieszeni zakietu oraz do torebki. Podniosła się z ławki, po czym pochłonięta myślami przeszła wydeptaną ścieżką wiodącą na skróty ku promenadzie. Musiała uważać, aby w tężejącym mroku nie potknąć się o wystające korzenie i opadłe gałęzie.

Zarys artykułu stawał się coraz bardziej klarowny. Czuła, że wywoła nim sensację i być może trafi nawet na czołówki największych portali internetowych. Musiała tylko zlokalizować pewne ogniwo, ów element spinający historię sprzed lat i tę współczesną.

– Prawda jest interesująca?

Te słowa dotarły do niej niemal z podświadomości. Gdy zrozumiała, że wypowiedział je ktoś idący tuż za nią, było już zbyt późno. Usłyszała łamiące się pod czyimiś stopami gałązki, szmer oddechu, ale nim zdążyła krzyknąć, powalił ją potężny cios zadany w potylicę.

– Stawiasz właściwe pytania – syknął napastnik. – Choć najbardziej interesujące odpowiedzi dostajemy dopiero po śmierci...

73

Minęli rozjazd. Deryło nie chciał pozwolić, by ktoś, kto ewentualnie ich śledził, mógł w ostatniej chwili zjechać w boczną drogę. Wszystko wskazywało, że przez następne kilka kilometrów nie będzie szansy się rozminąć. Zaczął zwalniać, ale robił to powoli, by nie spłoszyć prowadzącego stare złociste volvo kombi. Mimo że auto miało co najmniej trzydzieści lat, nie budziło wątpliwości, że dysponuje znacznie mocniejszym silnikiem od jego citroëna. W tym starciu zabytek rywalizował z zabytkiem. I być może nie chodziło tylko o wiek auta, lecz również prowadzących – przemknęło przez myśl Deryle.

Komisarz zwolnił niemal do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a podążający za nim wóz nieco się zbliżył. Mimo to nadal nie było możliwe dostrzeżenie choćby konturu kierowcy.

– Trzymaj się.

Deryło zerknął w lusterko i wyczekał na moment, aż oba pojazdy zostaną wyprzedzone przez duży SUV. Teraz w zasięgu wzroku nie było żadnego innego auta. Wtedy z premedytacją wcisnął hamulec,

choć nie zrobił tego nazbyt gwałtownie. Citroënem szarpnęło, a volvo zaczęło się szybko do nich zbliżać. Jego reflektory rozświetliły wnętrze furgonetki.

– Co ty wyprawiasz! – Dmitris chwyciła się fotela, a pas wżął się w jej obfity biust. – Można to zrobić delikatniej.

– Wtedy po prostu by nas wyminął.

Komisarz zjechał ku osi jezdni tak, by hamujący z piskiem opon kierowca volvo nie wpadł na pomysł wyprzedzenia ich z pełną prędkością. Dopiero gdy dostrzegł, że ten zwolnił do kilkunastu kilometrów na godzinę, ustąpił mu miejsca.

– No, zobaczmy. – Deryło energicznie dodał gazu i wyprzedzające ich volvo na moment zrównało się z citroënem. – O proszę!

Komisarz nie miał wątpliwości. Za kierownicą starego kombi siedział Olgierd Hansen. Pochylał się, nie chcąc zostać dostrzeżony, ale miał na sobie tę samą kraciastą koszulę, w której niedawno przyjął ich w mieszkaniu. Na moment jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Deryły i wtedy Hansen odwrócił się w przeciwną stronę. Wreszcie volvo wyrwało do przodu, pozostawiając citroëna z tyłu.

– Jedziesz za nim? – Dmitris ożywiła się i aż drobiła nogami, jakby w ten sposób mogła dodać furgonetce mocy. – To był Hansen, prawda?

– Nie i tak.

– *Ergo*: nie jedziesz za Hansenem.

– Dokładnie. – Komisarz rozpędził auto do przepisowej prędkości i rozparł się w fotelu. – Po pierwsze, wszystkiego się wyprze i powie, że wybrał się na zakupy. Po drugie, citroën i tak go nie dogoni. A po trzecie, ciekawość i jechanie za kimś to jeszcze nie przestępstwo.

Sofia, chcąc nie chcąc, musiała się z nim zgodzić. Pograżyła się w myślach, zastanawiając się nad tym, czego w zasadzie dowiedzieli się od Hansena. A przede wszystkim nad tym, czego ten im mógł nie powiedzieć. Były to dwie strony tego samego medalu, lecz – tak jak awers i rewers cennej monety – należało je analizować całkowicie oddzielnie.

Deryło również milczał. Od czasu do czasu nerwowo mlaskał, lecz przez cały czas pozostawał skupiony na prowadzeniu. Zapadł już zmrok i wiodąca przez las kręta droga wymagała koncentracji. Komisarz nieco rozluźnił się dopiero, gdy znaleźli się w terenie zabudowanym, sunąc wzdłuż bulwaru. Mimo kolacyjnej pory wciąż spacerowało nim wielu ludzi. Niektórzy wlekli ze sobą wielkie plażowe parasole, inni torby z zakupami, a jeszcze inni raczyli się przekąskami kupowanymi w budkach z fast foodami. O tej porze nadmorski jarmark rozkręcał się na dobre.

– To koniec na dziś? – niepewnie zapytała Dmitris, gdy zaparkowali na hotelowym parkingu. – Idziemy spać i tyle?

– A masz jakieś pomysły?

– Poprzezglądam jeszcze gazety... I internet.

– A ja odpocznę. – Deryło ponuro się uśmiechnął. – W swoim wieku potrzebuję więcej odpoczynku niż kiedyś. Myśli za bardzo mi się plączą i nie będzie ze mnie pożytku nawet jako z kompana rozmowy.

– Jasne. Idź w kimono, staruszk.

Komisarz udał, że robi wściekłą minę, po czym bez pożegnania ruszył do pokoju. Naprawdę był zmęczony. Płątały mu się nie tylko myśli, ale i nogi. Do tego raz po raz niemal paraliżowały go nawracające wspomnienia. Musiał sobie z nimi poradzić.

Zamiast skierować się do łóżka, podszedł do ukrytej w szafce lodówki. Ku jego rozczarowaniu była w niej jedynie woda. Choć miał ogromną ochotę napić się bourbona, brakowało mu sił, by zejść do hotelowej restauracji. Markotny usiadł na łóżku i w tym samym momencie poczuł wibrację komórki. Po chwili rozbrzmiały pierwsze tony *Sarabande*. Zerknął na wyświetlacz i siły momentalnie do niego wróciły. Pośpiesznie odebrał.

– Mów – rzucił nagłaco. – Masz coś?

– Mam.

– Skoro tyle na to czekałem, liczę wyłącznie na dobre wieści.

– I takie są, panie komisarzu.

ViSir powiedział to z nieukrywaną dumą. Po tym wyznaniu w słuchawce zapadła cisza, gdyż zapewne informatyk oczekiwał, że Deryło właściwie doceni jego wysiłek. Zamiast tego komisarz mocniej chwycił telefon i warknął:

– W takim razie przejdź do rzeczy. Straciliśmy już dość czasu.

– To nic takiego, ale nic takiego to zawsze coś – sentencjonalnie odparł nieco urażony ViSir. – Choć powinien być pan zadowolony.

– Gdybym był przy tobie, nie byłbym zadowolony, tylko właśnie złapałbym cię za kark. W następnej kolejności wsadziłbym ci myszkę komputerową do gęby, żebyś zrozumiał różnicę między byciem zakneblowanym a wkurwiającym.

– Dobrze, już dobrze... Nie musi się pan tak unosić.

– Więc?

Deryło usiadł na łóżku i zwiesił głowę. Po chwilowym przypiływie adrenaliny ponownie rozlało się po nim zmęczenie. Nie miał nawet ochoty się kłócić, a co gorsze, ciekawość nie potrafiła ponownie go pobudzić. Zdał sobie sprawę, że od rana nie pił kawy, ale teraz było już na nią stanowczo za późno. Kiedyś pora nie robiła różnicy, lecz w tym wieku... Jego myśli znów gdzieś uciekały. Nagle drgnął i zdał sobie sprawę, że ViSir właśnie peroruje na temat informatycznych zabiegów, jakich musiał użyć, by osiągnąć sukces. Deryło jedynie cicho, przytakująco pomrukiwał, nie zamierzając więcej poganiać informatyka. Choć z jego gadaniny niemal nic nie rozumiał, starał się wyłapać słowa kluczowe. „Systemy, inteligentny dom, oprogramowanie zabezpieczające”... Nie, nie potrafił tego zlepić w spójną całość.

– Okej, pogadajmy po ludzku – odezwał się, w końcu przerywając przedłużający się wywód ViSira. – Domyślam się, że włamałeś się do laptopa Darskiej i dzięki temu...

Informatyk natychmiast wszedł mu w zdanie.

– Nie do laptopa. To nie było potrzebne. Udało mi się skorzystać z jej aplikacji obsługującej inteligentny dom. Pomogli mi przy tym funkcjonariusze z komendy, z którą pan współpracuje. To nieźli specjaliści.

– Nic nie rozumiem.

– Naprawdę znają się na rzeczy.

– Chodziło mi o ten inteligentny dom, a nie gliniarzy.

ViSir głośno się zaśmiał.

– To proste.

– Zobaczmy, jak mi to wytłumaczysz.

– Niech pan posłucha, komisarzu, bo powiem jak do niekumatego dziecka.

Deryło się skrzywił, a po chwili rzucił zdawkowo:

– Świetnie, mów właśnie tak. Może to najlepsza forma.

ViSir, nie przedłużając pustej wymiany zdań, zabrał się do sedna.

– Darska miała wszystko połączone w jeden system. Alarm, otwieranie drzwi, sprzęty AGD, nawet oświetlenie swojego apartamentu. To właśnie nazywamy inteligentnym domem.

– I?

– Wystarczyło się włamać do systemu, żeby przejąć nad wszystkim kontrolę. Podejrzewam, że dostała zainfekowaną wiadomość mailową albo załącznik do esemesa. Potem się potoczyło... Ktoś przejął kontrolę nad jej inteligentnym domem i oto całe nawiedzenie. Duchy nie istnieją, panie komisarzu. A to chyba dobra wiadomość, no nie?

Deryło powoli składał w całość wszystko, co przed chwilą usłyszał. Tak, mniej więcej czegoś takiego się spodziewał. Sprawca grał na emocjach swoich ofiar. Było to dla niego niezmiernie ważne, tak samo ważne jak...

Znów uciekła mu jakaś myśl.

– Zła wiadomość jest taka, że ludzie bywają gorsi od najpotworniejszych demonów...

– Nad czym teraz myślisz? Nadal zastanawiasz się nad odpowiedziami? A może w takiej chwili stają się one nieistotne? Obstawiam, że znacznie ważniejsze od tego, kim jestem i co robiłem dziesięć lat temu, jest to, czy pozwolę ci przeżyć. No, śmiało, powiedz, czy się mylę?

Lucyna Wiak zamrugwała. W uszach jej szumiało, a ciepły ból rozlewał się po tyle głowy. Pośpiesznie starała się ocenić swój stan. Poza solidnym guzem i zaliczonym wstrząśnieniem mózgu nie było źle. Miała czucie we wszystkich kończynach, co nie wiedzieć czemu, wydawało się dla niej teraz najważniejsze. Na drugi plan zeszły nawet sznury krępujące jej kostki oraz dłonie.

Szum stawał się coraz głośniejszy. Dołączyła do niego feeria barw i głosów. Głosy... Czy dobiegały z jej głowy?

Nie, nie...

Uświadomiła sobie, że znajduje się w samochodzie, który mknął jakąś boczną drogą. Radio było ściszone niemal do zera, ale na tyle, że co jakiś czas ponad szum auta wybijały się głosy osób debatujących w studiu.

– Wypuść mnie... Proszę.

Fakt, że nie miała knebla, wcale jej nie pocieszył. Wręcz przeciwnie, sprawił, że poczuła się nieswojo. Wolałaby mieć teraz usprawiedliwienie dla milczenia. Przed sobą i przed NIM. Kimkolwiek był.

– Nikomu o niczym nie powiem...

– Wiem, że tego nie zrobisz. Nie będziesz miała okazji.

Jego ton sprawił, że po jej plecach przemknął nieprzyjemny dreszcz. W mroku ledwie widziała zarys sylwetki napastnika. Mimo duchoty prowadzący auto miał na sobie płaszcz lub długą marynarkę

z wydatnymi ramionami. Nosił kaszkiet albo jakąś materiałową czapkę, choć nie była tego pewna.

– Jestem tylko dziennikarką – jęknęła. – Wykonywałam swoją robotę, i nic więcej. Po prostu chcę wrócić do domu, a nie poruszę już tej sprawy...

– To wszystko wiem.

Jego słowa przyprawiały ją niemal o fizyczny ból. Czowała ucisk w żołądku, mdłości i palącą suchość przełyku. W ten sposób objawiało się najgorsze, najgłębsze przerażenie.

Pragnęła zapytać, co zamierza z nią zrobić, lecz nim otworzyła usta, zrezygnowała. Wcale nie chciała wiedzieć. Nie chciała znać odpowiedzi na to najważniejsze pytanie. Zamiast niego wypowiedziała nieco inne.

– Co mam zrobić, żebyś mnie wypuścił? Zrobię, co zechcesz.

Szaleniec cicho się zaśmiał. Dostrzegła, że zerka na nią w lusterku, a potem oderwał wzrok i sięgnął po jakiś przedmiot leżący na przednim fotelu pasażera. Po chwili uniósł jej podręczny notatnik. Nawet w ciemności mogła rozróżnić jego charakterystyczny format oraz kształt.

– Opowiedz, kim według ciebie jestem – syknął. – Ciężko mi szło rozszyfrowanie tych bazgrołów. Poza tym chętnie posłucham. Pycha... To ponoć jeden z najcięższych grzechów. A ja piekielnie lubię o sobie słuchać. Dopóki będziesz mówiła, nie zabiję cię. Będziemy mieli naszą baśń z tysiąca i jednej nocy, ale wiesz co?

– Tak?

– Ty masz tylko jedną noc.

DZIEŃ NASTĘPNY

Deryło zasnął niemal natychmiast po tym, jak położył się do łóżka. Na wznak, z telefonem w jednej ręce i notesem w drugiej. Nogi miał zwieszane na podłogę i kiedy po kilku godzinach się przebudził, był cały odrętwiały. Rozmasował łydki, po czym zerknął na telefon. Minęła już czwarta nad ranem, lecz za oknem panowała całkowita ciemność. Dni coraz szybciej się skracały i słońce wschodziło wyraźnie później niż jeszcze tydzień temu.

Komisarz wziął prysznic, umył zęby i wrócił do łóżka. Poranna toaleta go rozbudziła, a do tego po głowie zaczęły mu się tłuc rozmaite myśli. Strzępy rozmowy z Hansenem, fragmenty zdań z dokumentów, wreszcie wspomnienie zbrodni i tego, jak na jego oczach pilarka zerwała skórę z części twarzy mordowanej kobiety.

Całun Turyński, chusta Świętej Weroniki, skojarzenia z tymi dwiema relikwiami jak bumerang powracały mu do głowy. Wreszcie zerwał się i uruchomił internet w telefonie. Zaczął przeglądać kolejne strony.

Chusta Świętej Weroniki prawidłowo była nazywana Całunem z Manoppello. Miała wymiary siedemnaście na dwadzieścia cztery centymetry i od połowy siedemnastego stulecia przechowywano ją w kapucyńskim sanktuarium di Volto Santo. Trzymano ją w specjalnie w tym celu stworzonej przeszklonej monstrancji. Jej znana, udokumentowana historia sięgała tysiąca lat wstecz, gdy znajdowała się w Konstantynopolu i używano jej jako chorągwi służącej za szczęśliwy amulet w trakcie wypraw wojennych.

Co ciekawe, naukowcy kilkakrotnie analizowali wizerunek Chrystusa znajdujący się na chuście w zestawieniu z tym odbitym na Całunie Turyńskim. Stwierdzono, że przedstawiają tę samą osobę, a wszelkie różnice dało się łatwo uzasadnić. Po pierwsze, chusta zawierała odbicie żywej osoby, a całun martwej. Po drugie, chusta stanowiła pozytyw, a całun negatyw. Wykonano nawet specjalne zdjęcia, które porównano właśnie w tym kontekście. Ich analiza również miała dać jednoznaczne wnioski. Bez dwóch zdań oba wizerunki przedstawiały twarz tej samej osoby.

Deryło odłożył telefon i pozwolił myślom swobodnie meandrować. Nieco podsypiał, by zaraz ocknąć się, usiłując uchwycić ostatnie skojarzenia. Wierzył, że podświadomość potrafi podsuwać najbardziej niezwykle, a zarazem najlepsze pomysły. Poza tym nadal czuł ogromne zmęczenie. Choć powinien po nocy wstać wypoczęty, z trudem podniósł się z łóżka. Jednak pewna myśl nie dawała mu spokoju...

Wyszedł na balkon i spojrzał w czernią odmętów morza. Na wschodzie niebo zaczynało się już przecierać. Noc przeradzała się w granatowofioletowy brzask. Snop światła latarni morskiej regularnie mrugał gdzieś w głębi wybrzeża. Na horyzoncie majaczyły czerwone punkciki pojedynczego, stojącego w miejscu statku.

Komisarz stał tak, dopóki nie zrobiła się szarówka. Wraz z nastaniem dnia jego myśli były prostsze i bardziej klarowne. Nagle zawrócił do pokoju, po czym wypadł na korytarz. Pognał prosto do pokoju Dmitris. Gdy zastukał w drzwi, ze środka niemal natychmiast dobiegł go głos Sofii.

– Właż, jest otwarte!

Nacisnął klamkę i wszedł do niemal identycznego apartamentu jak jego. Były w nim zapalone wszystkie możliwe światła. Sofia siedziała przy niewielkim biurku, na którym miała ustawiony laptop oraz drukarkę. Widząc zaskoczone spojrzenie komisarza, wzruszyła ramionami.

– Pożyczyłam ją z recepcji. Dzięki wydrukowi lepiej porządkuję kolejne informacje... A to szybsze niż robienie notatek...

– Chyba powinniśmy się zbierać – rzucił komisarz. – Czeka nas długi dzień.

– O, tak.

Dmitris jedynie założyła za ucho pukiel włosów i zamknęła klapy laptopa. Nie ociągając się, niczym żołnierz po otrzymaniu rozkazu, ruszyła do wyjścia.

– Kolokwialnie mówiąc, dałem dupy. Powinniśmy byli się zatrzymać i przycisnąć Hansena. Bliskość morza rozwadnia temperament.

– Raczej łagodzi obyczaje.

– Nigdy mi ich nie brakowało. Tyle że przesadna łagodność to wada, a nie zaleta. Łagodni neandertalczyki musieli ustąpić przed agresywnymi *homo sapiens*, choć teraz to tych pierwszych ma się za troglodytów. Przez łagodne usposobienie przegrali podwójnie.

– W takim razie dlaczego ci się nagle odwidziało?

Dmitris bacznie spojrzała na komisarza. Deryło wciskał gaz *citroëna* niemal do dechy, silnik furgonetki był niczym uszkodzona syrena, a zawieszenie rozpaczliwie jęczało na kolejnych nierównościach. Nadbałtyckie drogi w większości przypominały zapomniane dukty, nie mając nic wspólnego z pięknymi trasami łączącymi nadmorskie miejscowości wypoczynkowe na południu Europy.

– Zbyt wiele mi nie gra. Facet z pewnością wie znacznie więcej, niż mogłoby się wydawać, a co gorsza, więcej niż powinien wiedzieć.

– Co masz na myśli?

Dmitris odwróciła się do komisarza i zmarszczyła czoło. W jej ciemnych oczach pojawił się błysk zainteresowania. Doskonale wiedziała, że komisarz potrafi dzięki jednej drobnostce zrozumieć samo sedno sprawy. Kilkukrotnie już widziała, jak w trakcie przesłuchań nieświadomie porusza tematy, które ostatecznie okazywały się kluczowe dla śledztwa. Miał ogromny instynkt, którego nie dało się wyuczyć. Nie był on również kwestią doświadczenia, lecz stanowił naturalny dar, coś, czego inni policjanci mogli mu jedynie zazdrościć. Rozumiała, że właśnie dzięki niemu Deryło osiągnął tak wiele, choć jednocześnie sam zdawał się całkowicie tego nie dostrzegać. Często wręcz bagatelizował swoje umiejętności, zrzucając

je na łut szczęścia lub przypadek – jakby w ten sposób zaklinał swoją wyjątkowość albo starał się odegnać poczucie przeznaczenia.

– Hansen nie pojawił się w sądzie – odezwał się, nie odrywając wzroku od drogi. – W żadnej z gazet nie wspomniano o tym, w jakiej kolejności zginęli chłopcy, gdyż nigdy tego nie upubliczniono. Sprawa toczyła się za zamkniętymi drzwiami.

Dmitris pstryknęła palcami.

– A on powiedział, że jego syn widział śmierć kolegów?

– Nawet sugerował, że to on mógł nakłonić ich do udziału w grze.

– O tym ludzie mogli gadać. Kryminaliści to też ludzie. Mają rodziny i tak dalej...

Deryło mocniej chwycił kierownicę i coś niezrozumiale mruknął. Po chwili odchrząknął i dodał:

– Powiedział to nazbyt pewnie. Jakby to wiedział, a nie jedynie się domyślał. Ludzie, którzy coś słyszeli, grzęzną w podejrzeniach, sami tworzą teorie, są jak piskorze... jeśli stosujemy nomenklaturę wodną. A on...

– Wiem, o co ci chodzi. Też zwróciłam uwagę na jego brak wątpliwości co do przebiegu wydarzeń. On się nie łudził, choć jednocześnie nie chciał wydać, jak wiele wie.

– I coś go nakłoniło, żeby sprawdzić, dokąd jedziemy. Nie sądzę, żeby jechał za nami, żeby jeszcze raz uścisnąć mi dłoń.

– Wiesz, że to dziwny, przetrącony przez los ojciec zamordowanego dzieciaka.

Deryło uniósł brwi i wymownie spojrzał na Sofię.

– Dobra – mruknął. – Mów, na co ty wpadłaś, i przekonaj mnie, żebym zmienił trasę. Widzę, że memłasz coś w sobie tak uparcie, że mało nie wybuchniesz. Wyrzuć to z siebie.

Dmitris dotknęła wsuwki do włosów, ale zaraz opuściła dłoń i zagryzła usta. Przez chwilę zbierała myśli, starając się zdecydować, od czego zacząć.

– Zanim się wysłowisz, dojedziemy na miejsce – bąknął Deryło. – Chyba że... Ty wcale nie chcesz, żebym jechał gdzieś indziej!

– Może...

Sofia westchnęła. Zadumana sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej telefon. Upewniła się, że nikt nie dzwonił, po czym nerwowym ruchem ponownie schowała urządzenie. Komisarz już dawniej zobaczył, że na tapecie ma zdjęcie małego chłopca, ale nigdy nie wspomniała mu o nim choćby słowem, a on nie zamierzał dopytywać. Wszyscy mieli swoje sekrety i pory zwierzeń. Teraz na pewno nie było na nie czasu.

– Myślałam o Hansenie – przyznała wreszcie. – Jego zachowanie, mowa ciała i wszystko inne wydawały mi się podejrzane, ale potem wsiąkałam w świat tej gry. To o niej czytałam, gdy z radosną miną rano wszedłeś do mojego pokoju.

Deryło udał, że nie dostrzega kąśliwej uwagi.

– „Uwierz w ducha”, tak się nazywa?

– Nie, to chyba zwyczajowe określenie używane swego czasu przez dziennikarzy. Ta gra polegała na tajemnicy, a jedną z nich była właśnie jej nazwa. Wydaje mi się, że mogła w ogóle nie istnieć. W tym kontekście zastanawiałam się też nad tym, co ci powiedział Symeon Odier.

– Mianowicie?

– O tym, że jeden z chłopców zamordował pozostałych, a potem popełnił samobójstwo. To zgadza się z sugestiami Hansena.

– W porządku, jeśli z akt sprawy również da się wyciągnąć podobny wniosek, to wówczas lądujemy w ślepych zaułku.

Dmitris kiwnęła głową. Niepewny uśmiech delikatnie wygiął jej usta, lecz niemal od razu zniknął.

– Właśnie – zgodziła się. – W ślepych zaułku albo na granicy wiary w wydarzenia paranormalne.

– Szczególnie w kontekście tego, że jakieś mityczne Zło, podobne do wyskakującego zza szafy faceta w masce zboczeńca albo zakonniczy z kornetem umazanym w keczupie, miało powrócić po równej dekadzie.

– Uwierz w ducha, no nie?

Deryło się skrzywił. Od celu dzieliło ich już tylko kilka minut drogi, a nadal nie mieli jasnego planu.

– Skoro w grze brało udział trzech dzieciaków i wszyscy zginęli, kto mógł o niej wiedzieć? – Na głos wyraził swoje wątpliwości. – I kto morduje teraz? Uznajmy, że Odier wszystkiego domyśla się na podstawie tych samych przesłanek co Hansen... Ale nadal nie wiemy, po co ktoś tak nieśmiało, a jednak dobitnie, miałby nawiązywać do tamtej gry.

– Mam pewną roboczą tezę.

– I jeszcze jej nie zdradziłaś?

Dmitris spojrzała na komisarza i zaraz ponownie odwróciła wzrok. Zerknęła w lusterko, jakby spodziewała się zobaczyć w nim stare volvo kombi. Jednak za nimi o tej porze droga była całkowicie pusta.

– Może to było ostatnie, najważniejsze zadanie? – powiedziała niemal szeptem. – Umrzeć i powrócić równo po dziesięciu latach, aby to inni mogli uwierzyć w istnienie prawdziwego Zła...

Gdyby z równania zawierającego elementy nieprawdopodobne usunąć te nieprawdopodobieństwa, pozostanie logiczne sedno, które będzie jednak pozbawione sensu. Dlatego w miejsce elementów paranormalnych należało podstawić dane mogące dać konkretne rozwiązanie.

Ten wywód, choć dość skomplikowany, wydawał się Deryle nadzwyczaj ciekawy. Mniej więcej podobnymi mechanizmami operowali jego ulubieni bohaterowie powieści – Herkules Poirot oraz Sherlock Holmes. Jemu również odpowiadało sprowadzenie śledztw, a nawet rzeczywistości jako takiej, do równania matematycznego. W końcu wierzył, że naturę da się opisać za pomocą zmiennych. Choć pozostawiał pewien margines na wiarę w Boga, ba, nawet dopuszczał jego istnienie, to przecież Bóg nie stał w kontrze do takiego pojmowania świata. Już dawno sformułowano logiczny dowód, że teozofię da się pogodzić z materializmem. Było to nawet zagadnienie poruszane w trakcie studiów teologicznych.

Wszystko musiało pozostawać w idealnej równowadze. Śmierć oraz życie. Światło i cień. Choć jednocześnie komisarz dobrze pamiętał postawioną przez kogoś tezę o tym, że wszystko trwa wiecznie. Człowiek jako zbiór komórek stanowił jednocześnie konglomerat energii. Energia nigdy nie ginie, więc nawet fizyka kwantowa pozwalała wierzyć w nieśmiertelność. Tyle że on znał się na fizyce kwantowej tak samo dobrze jak na gotowaniu. W tym ostatnim przypadku przypalenie wody na herbatę wcale nie stanowiło szczytu jego możliwości.

Mimo to równanie zaprezentowane przez Dmitris było nad wyraz ciekawe. Gdyby tylko wprowadzić w nim pewne zmiany, okazałoby się, że wcale nie sprowadza się do rozważania istnienia duchów albo demonów. W końcu wystarczyło uznać, że śledczy przed dziesięciu laty się pomylili. Że ustalili błędny przebieg wydarzeń i zamiast tego należało jedynie postawić jakiegokolwiek racjonalne elementy. Udział osób trzecich albo nawet to, że któraś z potencjalnych ofiar przeżyła.

Ta ostatnia myśl wydała się Deryle intrygująca. Nie wiedział dlaczego, lecz czuł, jakby uchwycił w niej sedno. Tyle że przecież było to niemożliwe... Trzej chłopcy, trzy ofiary, trzy trumny. Żaden z nich nie wstał z grobu. Do tego w wyciągu z akt, które otrzymali, znajdowały się zdjęcia oraz raporty z autopsji.

Przed oczami stanęły mu nabrzmiące fioletowosine twarze chłopców, przed którymi powinno być całe życie. Zamknięte oczy, rozchylone obrzmiące wargi, ślady szyc na martwych korpusach, przypominających korpusy faszerowanych kurczaków.

Nie. Z pewnością żaden z nich nie wstał z grobu, ale...

Krystalizująca się myśl nagle się rozplynęła. Właśnie w tym momencie znaleźli się tuż obok rudery, której parter zajmowało mieszkanie Olgierda Hansena. To on mógł stanowić klucz do sedna całej sprawy. On jeden stanowił żywy łącznik tego, co wydarzyło się przed dekadą, oraz współczesności. Chyba że było nim coś nadprzyrodzonego.

80

– Dobra, nie ma czasu na ceregiele.

Komisarz dwukrotnie nacisnął guzik domofonu i w napięciu odczekał kilkanaście sekund. Odpowiedziała im cisza. Dmitris również nacisnęła przycisk, lecz efekt pozostał tak samo marny.

– Może nie działa?

– Słysząc przecież łączenie.

– W takim razie nie ma go w domu... Wczoraj gdzieś wyjechał i jeszcze nie wrócił.

– To wyjątkowo by mnie zmartwiło – bąknął Deryło. – Naprawdę, chyba odpowiadałby mi każdy inny scenariusz poza tym, żeby ten człowiek wybierał się teraz na nocne wycieczki.

Dmitris nagle uniosła palec. Nim komisarz zdążył ją zapytać, o co jej chodzi, chwyciła go za ramię i odciągnęła na bok. Gestem dała mu znać, że ktoś jest na klatce schodowej. Oboje cofnęli się sprzed drzwi, tak by nie można ich było dostrzec przez popękana szybę.

W ruderze mogło być pięć lub sześć mieszkań, w zależności od tego, czy strych również stanowił czyjeś lokum. Był to sześcienny budynek sprzed mniej więcej czterdziestu lat, jeden z wielu w tym stylu, jakich u zmierzchu PRL stawiano w okolicy dla pracowników tymczasowych. Swego czasu planowano pobudzenie miejscowej gospodarki przez rozbudowanie pegeerów, lecz oczywiście koncepcja ta nie wypaliła. Domy jednak pozostały, często znajdując się dosłownie pośrodku niczego. Tak było również w tym przypadku. Aż dziw brał, że ktokolwiek decydował się na mieszkanie akurat w tym miejscu. Na zabłoconym parkingu przed budynkiem stały jednak dwa rozklekotane auta. Wśród nich nie było złotego volvo. Deryle wydawało się jednak, że sam skraj jego maski wystawał zza drewnianego baraku. Nie zdążył tego sprawdzić.

– Tss...

Dmitris dała mu znać, że ktoś już podchodzi do drzwi. Chwilę później te otworzyły się, a w progu stanęła przygięta niemal do ziemi staruszka. Na widok policjantów zamarła w bezruchu i cicho sapnęła. Chciała chwycić klamkę, lecz komisarz ją powstrzymał.

– Proszę się nie bać. Nie chcieliśmy pani wystraszyć...

Przedstawił się i pokazał legitymację, co wcale nie uspokoiło kobiety.

– Nie chcemy tu żadnej policji – wyskrzeczwała. – Co się stało?

– To rutynowa kontrola – odparła natychmiast Dmitris.

– Tu nie ma nic do kontrolowania.

– Przyszliśmy do pana Hansena.

Starucha nagle nieco się wyprostowała i spojrzała na nich z zaciekawieniem.

– Aaa... Po niego. Wyjątkowo nieszczęśliwy człowiek...

– Tak pani myśli?

– Po tym, co przeszedł, strasznie zdziwaczał. Miał takiego fajnego syna. Świeć Panie nad jego duszą. Tyle że ta jego żona... Od razu wiedziałam, że z tego nic nie będzie. Nagle zniknęła... Mówili nawet, że... – Starucha machnęła ręką. – Mniejsza z tym. Mogę wyjść? Śpieszę się na autobus, a kolejny przyjedzie za godzinę.

Deryło przesunął się, robiąc jej miejsce, jednak nie na tyle, by kobieta przeszła całkowicie swobodnie.

– Co mówiono o tej żonie?

– A takie tam... Ludzie wymyślają, prawda?

– Proszę powiedzieć, co wymyślili tym razem.

Starucha uśmiechnęła się, jakby tylko czekała na to, że komisarz będzie chciał drążyć temat i ją wypytywać. Jej wąskie, nierówno pomalowane wargi zbiegły się w jedną krwawą linię. Przypominała teraz wiedźmę.

81

– Mówili, że to on ją zamordował. Że schował ciało gdzieś tutaj, policja nawet prowadziła jakieś dochodzenie, lecz wszystko bez powodzenia. Podobno wyjechała do Ameryki czy gdzieś... Kto ją tam wie.

Po tych słowach staruszki Dmitris i Deryło wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– A pani co o tym myśli? – dopytała Sofia. – Proszę powiedzieć i już nie będziemy zabierać pani czasu...

– Albo nawet zawieziemy, gdzie tam pani zechce – mruknął komisarz.

Staruszka zerknęła na niego podejrzliwie i zrobiła krok w stronę ulicy.

– Nie mam nic do dodania. Nie chcę gadać o plotkach. I nie potrzebuję podwózek.

– A gdybym powiedział pani, że przyjechaliśmy tu właśnie w tej sprawie? – Deryło poufale zniżył głos i spojrzał prosto w mętne oczy kobiety. – To bardzo ważne, mogłaby pani nam bardzo pomóc.

– Ha! Czyli coś w tym było!

– Może tak, może nie. – Dmitris nie zgadzała się z metodami komisarza, a co więcej, uważała, że rozmowa podszyta kłamstwem, może również prowadzić do kłamstw. – Prosimy jedynie o pani opinię o tej sprawie... O tym człowieku.

Staruszka zerknęła w stronę okna na parterze i cicho mlasnęła.

– Nic nie wiem. To bardzo specyficzny i nieprzewidywalny człowiek, ale moim zdaniem raczej niegroźny. Kochał tamtą kobietę. Podobno zwariował, gdy pracował jako ostatni latarnik na wybrzeżu, ale to raczej bajki. Odkąd pamiętam, mieszkał tutaj, choć sama sprowadziłam się do tej meliny dopiero jedenaście lat temu, gdy mój nieboszczyk mąż uznał, że tu przynajmniej zaoszczędzimy na czynszu.

– W takim razie...

– Czy mogę iść? – Kobieta przepchnęła się obok komisarza. – Naprawdę nie mam czasu. Pogadajcie z nim sami, a mnie dajcie już spokój.

Starowina przeszła obok policjantów, lecz po kilku krokach się odwróciła. Spojrzała na nich, jakby chciała coś dodać, następnie ponownie zerknęła w stronę mieszkania na parterze i sapiąc, poszła dalej.

– Co robimy? – Dmitris jeszcze raz nacisnęła guzik domofonu. – Stojąc tu, tracimy chyba czas.

– Stuprocentowa zgoda.

Deryło zawrócił na pięcie i przeszedł obok ściany budynku. Wszedł na trawnik, a następnie, obchodząc błoto, skierował się prosto pod okno mieszkania Hansena. Podbudówka budynku była dość wysoko, przez co znajdowało się ono na wysokim parterze. Mimo że komisarz mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt, dosięgał parapetu jedynie czubkami palców.

– Pomóż mi. – Skinął do Dmitris i ponownie odwrócił się w stronę muru. – Okno jest otwarte, więc skorzystamy z okazji.

– Ale...

– Naprawdę masz jakiegokolwiek „ale”?

Wystarczyło, że Deryło ponownie łypnął na Sofię, by ta przecząco potrząsnęła głową.

– Możesz to ty mnie podsadzić – rzucił komisarz – lecz chyba się domyślasz, ile ważę.

– Tak, wiem. Już powiedziałam, że nie ma żadnego „ale”. Ja wejść tam pierwsza.

Deryło się uśmiechnął i nic nie mówiąc, chwycił Dmitris w pasie. Bez najmniejszego wysiłku podniósł ją tak, że mogła chwycić się parapetu i zaprzeć stopę o wystającą z muru cegłę. Po chwili Sofia pchnęła skrzydło okna. Jednocześnie drugą nogą stanęła na ramieniu komisarza i zajrzała do środka mieszkania.

– Oż, szlag! – Nie powstrzymała przekleństwa.

82

Pchnięte przez Dmitris okno z hukiem rąbnęło o ścianę. Jakimś cudem szyba pozostała w ramie, a na ziemię spadła jedynie blokująca je doniczka. Roztrzaskała się na kawałki, lecz Sofia nie zwróciła na to uwagi. Była całkowicie skupiona na ludzkiej sylwetce leżącej nieruchomo na środku pokoju. Dwoma susami dopadła do niej i kucnęła. Postać była okryta pobrudzonym kraciastym prześcieradłem. Dmitris wyciągnęła dłoń, aby zdjąć je z głowy leżącego. Na moment się zawahała, jakby rażona wyobrażeniem tego, co może za chwilę zobaczyć. Wstrzymała powietrze i delikatnie pociągnęła za materiał.

– Niech to!

Jej oczom ukazały się pozwijane koce oraz poduszki, ułożone specjalnie tak, aby naśladować leżącą ludzką postać. Sofia momentalnie poderwała się na nogi i rozejrzała się wokół. To mogła

być pułapka. Adrenalina sprawiła, że poblądła, a jej prawa dłoń odruchowo powędrowała do pasa. Nie miała jednak przy sobie broni.

Wiedziona jakimś głęboko zakorzenionym instynktem, rzuciła się ku ścianie. Dopiero tu, obok pustego, walącego się regału, nieco się rozluźniła. Ponownie rozejrzała się po pomieszczeniu.

Nie było w nim nikogo. Krzesła, na których siedziała wczoraj z komisarzem, pozostały dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej je zostawili. Cerata leżąca na stole nosiła te same ślady odbitych szklanek oraz kubków. Poniewierające się wszędzie gazety, wycinki opakowań i rozmaitych tektur wydawały się również nieporuszone. Na ścianie nad drzwiami wisiał zegar. Z perspektywy miejsca, gdzie wczoraj siedzieli, Sofia nie mogła go dostrzec. Teraz jednak zwróciła uwagę, że stary, prosty szwarcwald nie chodzi. Zatrzymał się lub został zatrzymany kilka minut po jedenastej. O wymownej porze, gdy przed dekadą doszło do mordu...

Nim Dmitris dobrze rozejrzała się wokół, z głębi mieszkania dobiegł rumor. Kobieta zastygła w bezruchu. Głuchy hałas po chwili się powtórzył. Głośne, tępe dudnienie niosło się echem.

– Eryk...

Sofia czujnie przemknęła korytarzem ku drzwiom wejściowym. Deryło dopadł do nich i dobijał się, co rusz szarpiąc za klamkę. Dmitris przekręciła zamek, po czym bez słowa zawróciła do pokoju.

– Co się stało? – Komisarz momentalnie znalazł się tuż przy niej. – Mogłaś przynajmniej dać znać, że...

Zamilkł, widząc leżący na podłodze tłumoczek. Podeszedł do niego i wymownie trącił czubkiem buta jedną z poduszek.

– Nic dziwnego, że wzięłaś to za człowieka – mruknął. Powiódł wzrokiem po podłodze i nagle wskazał na coś dłonią. – Widziałaś?

– Co takiego?

Dmitris starała się podążyć za jego spojrzeniem.

– Czy to przypadkiem nie jest nasz Święty Graal?

Momentalnie znaleźli się przy leżącym na wysiedzianym skórzanym fotelu przedmiocie.

Deryło nie zamierzał bawić się w półśrodki. Nawet nie usiłował chwycić czarnego opakowania przez rękaw koszuli lub przez cokolwiek innego. Wziął je w swoje potężne łapska, po czym obrócił się do światła. Nigdzie nie dostrzegł jakiegokolwiek napisu. Pudełko było stare i powgniatane, lecz czerń pozostała lśniąca. Stanowiła doskonały przykład odcienia, jaki zgodnie z modą ostatnich lat nazywano „fortepianowym”. Mimo legendarnej niepraktyczności opakowanie wykonano z materiału, który który nie pozostawiał śladów palców. Był gładki i śliski.

– Myślisz, że to ta gra? – Dmitris przypatrywała się znalezisku z szeroko otwartymi oczami. – To dopiero by było coś...

– Dokładnie tak ją opisywano. Czarne pudełko, w którym znajdują się wszystkie potrzebne rzeczy. Bez żadnych napisów, bez nazwy, nawet bez metki z ceną, co ponoć było jednym z wymogów producenta przy wprowadzeniu do dystrybucji... Choć zapewne wokół tej zabawki narosło mnóstwo legend.

Deryło z największą ostrożnością położył opakowanie na stolik. Dopiero teraz, gdy minęło pierwsze podniecenie, pomyślał, że w środku mogła kryć się bomba albo substancja żrąca. Ktoś, kto dokonuje bestialskich mordów, mógł być zdolny do wszystkiego. Tyle że...

– Czy to pudełko jest jakimkolwiek dowodem popełnienia zbrodni? – Dmitris głośno wyraziła wątpliwości samego Deryły. – Czy może znakiem, że o Hansena powinniśmy martwić się tak samo jak o tamte kobiety?

– Żebym tylko wiedział... Lepiej się odsuń.

Komisarz sięgnął ku metalowemu klipsowi stanowiącemu zamknięcie pudełka. Dmitris nawet nie drgnęła. Kiedy rzucił jej karcące spojrzenie, potrząsnęła głową.

– Nie ma mowy. Tkwimy w tym razem.

– I chcesz wspólnie stracić wzrok, jeśli ten psychol naładował do środka jakiegoś świństwa?

– Nie, ale...

– Cofnij się, proszę.

Sofia westchnęła. Widząc jednak upór komisarza, zrobiła wreszcie krok w tył i się wyprostowała.

– Wystarczy, tatuśku?

Deryło aż drgnął. W taki sposób mówiła do niego jedynie Tamara. Nikt inny. Nawet jego córka nie używała takiego słowa. Zwracanie się po imieniu mógł przełknąć, ale to...

– No, dalej... Chyba że się boisz, to pozwól mi się tym zająć.

– Nie, w porządku.

Komisarz bez długiego namysłu poluzował klips i wieczko odskoczyło. Ze środka nie wydobył się żaden widoczny ani pachnący gaz. Nic również nie eksplodowało. Deryło całkowicie otworzył pokrywę i oparł ją o ścianę.

– No, proszę. Nie pomyliliśmy się... – Zerknął na Dmitris i ukradkiem sięgnął do kieszeni, w której trzymał srebrną monetę. Dotknął jej opuszkami palców, po czym dodał: – Uwierzyłaś już w duchy?

W pudełku dominowała czerń. W pierwszej kolejności komisarz wyciągnął czarny płócienny woreczek, w którym znalazł dwie czarne z białymi oczkami kości do gry.

– Cholera... – syknął, zdawszy sobie sprawę, że o włos nie ukłuł się jedną z kilku wrzuconych do środka luzem igieł. – Ciekawe, do czego służyły...

Odłożył woreczek na stół i wyjął z opakowania talię kart, wyświechtany notes oraz długopis. Obrócił w dłoni przedmiot przypominający metalową lufkę, a potem foliowe zawiniątko z białym proszkiem.

– Narkotyki czy tylko ich imitacja? – zagadnął do siebie. Gdyby nie baczne spojrzenie Dmitris, być może otworzyłby właśnie woreczek, aby skosztować proszku. Powstrzymał się jednak i sięgnął w głąb opakowania. Po chwili ułożył na stole grubą, rozkładaną tekturę z różnymi polami oraz symbolami.

Sofia nachyliła się nad nią i kilkakrotnie nerwowo stuknęła paznokciem w ceratę.

– Plansza? – Spojrzała na komisarza, jakby ten mógł jej wyjaśnić jakąś tajemnicę. – O tym chyba nie wspomniano w aktach. Myślałam, że to wyłącznie gra karciana, a tu poza różnymi gadżetami mamy rozkładówkę jak do pijanego chińczyka.

– Jak widać, rzeczywiście nie wszystko zostało wyjaśnione. Nic dziwnego.

– Nie rozumiesz? To zmienia całą sytuację...

Deryło spojrzał na Sofię spode łba. Bezradnie zmrużył oczy i pokręcił głową.

– Chyba naprawdę się starzeję, ale czy mogłabyś mi to wyjaśnić? Nie chcę być opryskliwy, wzięwszy pod uwagę, że ten zwyrodnialec może właśnie mieć chętkę kogoś zamordować... Dlatego, błagam, zdradź, o co ci chodzi.

Sofia zmarszczyła czoło.

– O ile niczego nie przegapiłam, przy tamtych dzieciakach nie znaleziono całej gry. – Wyprostowała się i założyła ręce za głowę. Przymknęła oczy, starając się sobie coś przypomnieć. – W altance było jedynie kilka kart, nic więcej.

– Zwróciłaś już na to uwagę.

– Tak. A skoro to gra wymagająca planszy, ktoś ją musiał stamtąd zabrać albo...

– Albo?

Sofia otworzyła oczy i ponownie znalazła się przy stoliku. Chwyła planszę i nie rozkładając jej, obróciła ją na drugą stronę. Tryumfalnie wskazała na nakreślone czerwonym kolorem litery. Deryło z niedowierzaniem parsknął, po czym powoli odczytał:

– „Góra i dół. Piekło i niebo. Przeszłość i przyszłość. Gdzie stykają się światło i mrok”. – Spojrzał na Dmitris, po czym nerwowo zacisnął pięść. – Rozumiesz coś z tego? Ten kompletny dewiant ciągle robi sobie z nas jaja...

Nagle komisarz zamilkł i głęboko wciągnął powietrze. Mina Dmitris mówiła wszystko.

– Cholera... Sądysz, że właśnie morduje kolejną ofiarę i w ten sposób usiłuje z nami pogrywać?

Sofia nie odpowiedziała. Zamiast tego biegiem rzuciła się ku drzwiom. Komisarz popędził za nią.

85

– Co mam robić?

Deryło chyba nigdy wcześniej nie wypowiedział tego pytania. A przynajmniej nigdy nie skierował go do kogoś innego poza sobą. Teraz uruchomił silnik citroëna i wpatrywał się w Dmitris. Pędząc do auta, wybrał numer Adamskiego, lecz ten nie odebrał. Skończyło się na tym, że zamiast zdać konkretny raport, zadzwonił pod sto dwanaście i powiadomił o potencjalnym sprawcy mordów. Podał jego adres i się rozłączył.

– Wolałbym być bardziej precyzyjny, gdybyśmy mieli mieć czyjekolwiek wsparcie – mruknął. – Nie mamy nawet broni.

- Czekaj, muszę coś wyszukać...
- Chodzi ci o miejsce, dokąd mam jechać?
- Czekaj, proszę... Chwileczkę.

Sofia wpisywała kolejne hasła do wyszukiwarki internetowej. Błyskawicznie przebiegała wzrokiem rozmaite artykuły, wyłuskiwała sedno z dokumentów i cicho coś do siebie mruzczała. Komisarz nie wytrzymał w bezruchu. Wrzucił bieg i powoli wyjechał z niewielkiego betonowanego parkingu. Nie spodziewał się, by tu czekało ich cokolwiek nowego.

– W prawo czy w lewo? – zapytał, gdy zatrzymał się przed wyjazdem na główną drogę. – Halo?

Odpowiedział mu radosny okrzyk Sofii.

– Zgadza się, wszystko się zgadza!

Dmitris krzyczała jak opętana, mało brakowało, by zaczęła sama sobie bić brawo. Zamiast tego potrząsnęła telefonem i stuknęła palcem w ekran. Komisarz spojrzał na nią z ukosa. Sam nie widział powodów do przesadnej radości ani nawet optymizmu.

– Cieszy mnie twój entuzjazm, ale pytanie nadal brzmi tak samo. Mam jechać w prawo czy w lewo?

– Lewo!

– Ot tak? Jesteś pewna?

Komisarz skręcił i dodał gazu. Kierowali się na zachód, równoległe do linii wybrzeża. Dmitris jeszcze raz coś przeczytała, po czym odłożyła telefon na kolana.

– „Gdzie stykają się światło i mrok!” Rozumiesz? – Była tak podekscytowana, że aż brakowało jej tchu. – Tamta starucha wspomniała, że Hansen niby kiedyś pracował jako latarnik. A w jednym artykule napisano, że dokładnie dwanaście lat temu zmodyfikowano ostatnią latarnię morską na polskim wybrzeżu. Wprowadzono system elektroniczny, nad którym człowiek jedynie czuwa, ale wcale nie jest już niezbędny na miejscu... Dwa lata temu całkowicie ją zamknięto, bo zlikwidowano pobliski port czy marinę...

Tymczasem Bałtyk objęto jakąś siecią nawigacyjną, która pozwala na zmniejszenie liczby latarni morskich.

Mówiła nieskładnie, lecz komisarz zaczął domyślać się, co ma na myśli. Wcisnął pedał gazu do dechy i mocniej chwycił kierownicę, jakby to mogło zmobilizować starą furgonetkę do szybszej jazdy.

– Jak daleko jest ta latarnia? – zapytał, z rozczarowaniem zerknąwszy na prędkościomierz.

– Trzyście kilometrów. Pokieruję cię. Zdaniem nawigacji w tym tempie dojedziemy tam dokładnie w jedenaście minut.

– Oby to nie było zbyt długo.

– Tym bardziej że...

Dmitris zamilkła w pół zdania. Pewnych słów nie należało wypowiadać, a na szczęście komisarz o nic nie dopytywał. Gnębiło go złe przeczucie.

86

Każde z nich dało z siebie wszystko. Dmitris przeanalizowała kolejnych kilkadziesiąt artykułów, Deryło ani na chwilę nie zwolnił nogi, a nawet citroën, nabrawszy niezwykłej dla siebie prędkości, mknął jak oszalały. Do celu dotarli nie w jedenaście, lecz zaledwie w osiem minut.

– To wygląda jak budowla z książki dla dzieci. – Deryło w ostatniej chwili powstrzymał się, by nie trzasnąć drzwiami. – A raczej kiedyś tak musiała wyglądać. Teraz bardziej przypomina scenę horroru...

Rzeczywiście, latarnia morska miała klasyczny kształt walca ze stożkowym dachem. Prowadziły do niej metalowe drzwi zabezpieczone metalową kratą. Teraz jedno i drugie były uchylone. Budynek niegdyś został pomalowany w biało-czerwone pasy, lecz obecnie niemal kompletnie zeszła z niego farba. Gdzieniedzie widać

było drewnianą konstrukcją oraz pojedyncze cegły. Do wysokości co najmniej dwóch metrów pomazano je nieudolnymi, ohydnyymi graffiti. Wśród obrazków rzucały się w oczy ordynarne słowa i skróty.

– Jaki zawód, takie bajki – skwitowała Dmitris. – I tyle.

– Mówisz o Hansenie?

– Raczej o nas.

Komisarz wymienił z podwładną ponure spojrzenia. Chciał rzucić jakąś ripostę, lecz uznał to za zbędną paplaninę. Spojrzał na latarnię i przesłonił oczy dłonią. Przeszkłone pomieszczenie z reflektorem pozbawione było kilku szyb. Wydawało się jednak, że nie ma w nim nikogo. Przynajmniej z tej perspektywy nie dostrzegł żadnego ruchu.

– Jazda – rzucił ostro. – Zobaczymy, czy się nie pomyliłaś. Idź...

Chciał dodać „za mną”, lecz Sofia wyprzedziła go i pobiegła jako pierwsza w stronę latarni. Poruszała się szybko i zwinnie. Komisarz nie wiedział tylko, czy to oni są teraz myśliwymi, czy zwierzyną. Czym prędzej pobiegł za nią.

87

W momencie, gdy Deryło znalazł się przy drzwiach latarni, powiał mocny wiatr od morza. Fale rozbiły się o nieodległy brzeg i rozprysnęły, zraszając jego twarz zimnymi drobinkami. Komisarz otarł ją wierzchem rękawa, po czym zerknął do środka.

Dmitris stała kilka kroków przed nim, lekko pochylona i gotowa do odparcia ataku. Nasłuchiwała, jednocześnie kryjąc się w mroku niewielkiej wnęki. Dała mu znać, by wszedł do środka.

Komisarz rozejrzał się i powoli wspiął się po dwóch stopniach prowadzących do wejścia. Wzmocnione metalowym stelażem drewno jęknęło. Kolejny powiew wiatru poruszył kratą i zmusił komisarza, by

zamknął za sobą drzwi. W przeciwnym razie te i tak zaraz by się zatrzęsnęły.

Króciutki korytarz prowadził prosto ku krętej klatce schodowej. Panował na niej półmrok rozświetlany jedynie przez niewielkie smużki światła przebijającego albo przez szpary w murze, albo przez niewielkie świetliki. Nigdzie nie widać było lamp ani choćby żarówek. W latarni śmierdziało rybim odorem morskiej wilgoci i wydawało się, że chlupot fal dobiega dokładnie gdzieś spod stóp.

Deryło gestem pokazał, że tym razem to on pójdzie przodem. Dał do zrozumienia, że ta sprawa nie podlega żadnej dyskusji. Odwrócił się i...

Zdębiał. Staął oko w oko z makabrycznie zniekształconą twarzą.

88

Komisarz odskoczył, niemal spadając ze schodów.

– Kurwa...

W ostatniej chwili jedną dłonią chwycił się poręczy, a drugą dłoń uniósł, jakby chcąc chronić się przed ciosem. Sofia spojrzała ponad jego ramieniem i momentalnie zrozumiała, co tak mocno go zdenerwowało.

Na popękanej ścianie wisiał stelaż podobny do tego, z jakim już mieli do czynienia. Drewniana konstrukcja przyprawiała o mdłości. Wewnątrz ram rozciągnięto żółtą, woskową skórę zdartą z twarzy mężczyzny. Wyraźnie widać było zarost, część powieki z rzęsami oraz strzęp nosa. Do tego pozostawiono spory kawałek skalpu, wraz z czarnymi, prostymi włosami. W lewym dolnym rogu makabrycznego dzieła widniało nadgniłe fioletowe ucho, które cienkim gwoździkiem przybito do deski. Pokrywała je cienka warstwa białej pleśni, niczym na wykwintnym serze.

– To ten zaginiony Ukrainiec. – Deryło wreszcie się opanował i uspokoił oddech. – Widziałem jego cholerny portret pamięciowy...

– *Requiem aeternam.*

– Co takiego? Naszło cię na modlitwy?

Dmitris nie odpowiedziała. Przełknęła ślinę i wskazała nieco wyżej, w górę klatki schodowej. Była blada, a jej palec drżał, jakby trzęsła nią febra.

– Spójrz tam! To kompletnie pochchrzanione...

89

– Co, u licha...

Adam ruszył ku drzwiom. Miał zaciśnięte pięści i był gotowy pobić każdego, kto przeszkodziłby im w grze. Zacisnął zęby.

Drzwi powoli się otworzyły i na tle zawieruchy pojawił się zarys postaci. Po chwili do altanki wszedł chłopiec mniej więcej w wieku pozostałej trójki. Podobnie jak Adam miał długie, kręcone włosy i ciemne oczy, choć te kryły się za okrągłymi okularami. Na jego widok Adam się rozluźnił i szeroko uśmiechnął.

– Już o tobie zapomniałem – oznajmił, zwracając się ni to do przybyłego, ni to do towarzyszy. – Paweł, zgadza się?

Okularnik przytaknął.

– Skąd wiedziałeś, że tu będziemy? Mieliśmy spotkać się dopiero jutro.

– Pomyślałem, że właśnie w taki dzień jak ten zdecydujesz się zagrać.

Adam kiwnął głową. Paweł, choć na takiego nie wyglądał, był wyjątkowo bystry.

– Spotkaliśmy się kilka dni temu – wyjaśnił Arturowi oraz Wojtkowi.

– Opowiedziałem mu o grze i zaprosiłem do dołączenia. Wiedziałem,

że zagramy.

– Zaplanowałaś to wszystko?

Wojtek przed momentem ocknął się z odrętwienia i siedział, tępo wpatrując się przed siebie. Trzymał dłoń przy krwawiącym uchu, lecz wyglądał tak, jakby zapomniał o ranie. Na podłodze obok niego nadal leżał odcięty kawałek ciała. Paweł niepewnie na niego zerknął, lecz szybko nabrał odwagi. Rezolutnie machnął chłopcom na przywitanie i ruszył w ich stronę.

– Adam jest bardzo przekonujący – stwierdził wesoło. – Nie trzeba mnie było długo namawiać. Zresztą nie mogłem się doczekać, dlatego co parę godzin zachodziłem do tych domów, upewnić się, że nie gracie beze mnie.

– Aha – bąknął Wojtek.

Okaleczony chłopiec cicho sapał. Tymczasem Adam i Artur sprawiali wrażenie opętanych. Ich ruchy były mechaniczne, a twarze stężałe. Być może była to kwestia wypalonego przed parunastoma minutami skręta lub emocji albo wszystkiego razem.

Wojtek, mimo czujności Adama, zaciągał się płyciej i wciągał najmniej dymu. Być może dlatego tak bardzo przerażała go perspektywa odcięcia kawałka ucha. Jednak teraz i na niego narkotyk musiał wreszcie zadziałać.

– To dla ciebie. – Adam nie wiadomo skąd wydobył kolejny rulonik przypominający papieros. Podał go Pawłowi. – Obiecałem ci, że zapalisz.

Chłopiec ochoczo wziął skręta i niedbałym ruchem wsunął go w usta. Zacisnął wargi, a kiedy Adam odpalił zapalniczkę, zamknął oczy. Od razu było widać, że nigdy wcześniej nie palił. Kiedy tylko się zaciągnął, wybuchnął głośnym kaszlem. Mimo to dziarsko jeszcze dwukrotnie wciągnął dym. Robiąc dobrą minę do złej gry, otarł łzy spod przekrwionych oczu. Potem roześmiał się i poklepał Wojtka w ramię.

– Zgubiłeś ucho? – zażartował. – To co teraz zrobimy? Mieliśmy się bawić jak nigdy!

Adam mu przyklasnął.

– W czwórkę gra będzie jeszcze ciekawsza – zapewnił. Sięgnął do plecaka i wyciągnął z niego niezwykle zawiniątko. – To będzie zabójczo śmieszne. Zaraz się przekonacie.

90

Ściany klatki schodowej latarni pomalowane były w upiorne wzory. Odwrócone do góry nogami krzyże, czaszki, rozmaite mazaje oraz cyfry stanowiły galerię wszelkiej maści symboli satanistycznych. Tu i ówdzie na taśmach klejących zawieszono kartki z obrazkami i dziwnym pismem.

– Kolejne fragmenty rękopisu Wojnicza – wyszeptał Deryło. – A tam satanistyczna biblia LaVeya. To jest jak jakaś grota szatana.

– A schody powinny prowadzić prosto do nieba, prawda?

Dmitris cicho parsknęła i chciała ostrożnie przejść obok komisarza. Deryło ją jednak powstrzymał. Klatka schodowa była na tyle wąska, że mieściła się w niej na szerokość tylko jedna osoba. On zdecydowanie wolał iść pierwszy.

– Niech to szlag...

Od podłogi po sam sufit rozciągały się kolejne malowane czerwoną i czarną farbą rysunki. Pentagramy, głowy kozła i symbole przypominające egipskie hieroglify. A potem znów wydruki i kolejne graffiti. Przynajmniej nigdzie nie widać było szczątków innych ofiar.

Komisarz szedł powoli, krok za krokiem, nie mając pojęcia, na jakiej wysokości się znajduje. Usiłował zerknąć na zewnątrz, ale choć przez kilka dziur wpadało światło, z latarni widać było jedynie granat wzburzonego morza i szare niebo. Nie pozwalało to na konkretne zweryfikowanie, w jakiej części budowli się znajdują. Spiralne schody również całkowicie ogłupiały. Deryło miał wrażenie, że przeszli już

wysokość kilkunastu pięter, lecz coś podpowiadało mu, że są ledwie w połowie drogi.

Czy mieli jakikolwiek plan? Z tyłu dobiegł go szept Dmitris. Podkomisarz dodzwoniła się do komendy i informowała, gdzie się znajdują. Kiedy rozmowa zaczęła przybierać nerwowy obrót, natychmiast się rozłączyła.

– Czekają na Adamskiego – wyszeptała. – Pojechał coś sprawdzić, ale mają go pilnie wezwać.

– Czyli będą tu za godzinę.

Deryło westchnął. Właściwie nawet gdyby otrzymał informację, że policjanci dotrą na miejsce za kilka minut, nie zatrzymałby się w pół drogi. Przecież nie miał nic do stracenia. Nagle zdał sobie jednak sprawę, że tuż za nim podąża młoda, zdolna kobieta, przed którą jest jeszcze całe życie. To on ją w to wciągał. Wiedział, że Dmitris idzie za nim, wiedzona nie tylko poczuciem obowiązku, ale również tym, że ktoś taki jak on po prostu jej imponował. Był tego w pełni świadomy, choć wcale nie traktował tego jako powodu do dumy.

Zatrzymał się i odwrócił ku Sofii. Przyłożył palec do ust.

– Zostań tu – syknął. – Jeśli on jest uzbrojony, zabije nas jedno po drugim.

Dmitris potrząsnęła głową.

– Nie ma mowy.

– To rozkaz.

– Nie jesteśmy na służbie.

Deryło zacisnął zęby. Był gotów zepchnąć Sofię ze schodów, byle ta nie podążyła za nim. Naprężył mięśnie i zacisnął pięść.

W tym momencie tuż nad ich głowami rozległ się trzask. Chwilę później dobiegł ich krótki, urwany nagle krzyk.

Deryło pędził co sił. Przeskakiwał po trzy, cztery stopnie, które dudniły pod jego stopami. Uważał jedynie, by nie stanąć tam, gdzie drewno wydawało się popękane i zbutwiałe. Po raz kolejny w ciągu ostatnich godzin odruchowo sięgnął ku pasowi, ale jego dłoń przecinała próżnię. Nie miał przy sobie ani broni, ani kabury.

Krzyk powtórzył się, lecz tym razem był znacznie bliżej. Od miejsca, skąd dobiegał, dzieliła go co najwyżej wysokość jednego piętra. Dmitris została sporo w tyle.

W tym miejscu ściany klatki schodowej były niemal całkowicie pokryte czarną farbą. Znikły również jakiegokolwiek świetliki oraz większość szczelin, przez które wpadały choćby drobiny światła. Sprawiało to klaustrofobiczne wrażenie, jakby powierzchnie się zaciskały, a korytarz stawał coraz węższy, tak wąski, że zaraz ugrzęzną w nim ramiona. Być może był to jednak rezultat adrenaliny, która wręcz buzowała w żyłach komisarza.

W pewnym momencie dostrzegł odstającą od ściany listwę, na której końcu widać było długi gwóźdź. Niemal odruchowo, nie zatrzymując się, oderwał ją i chwycił niczym zabawkowy miecz. Cicho dysząc, przebiegł kolejne kilka stopni.

Wtem oślepiło go przerażająco mocne światło. Było tak mocne, że Deryło aż przykucnął. Syknął z bólu.

Niespodziewana fala paraliżu rozlała się po jego oczach i czaszce. Przez moment wydawało mu się, że oślepl. Zamrugnął, lecz przed oczami zamigotały mu jedynie kolorowe punkciki. Domyślił się, że olbrzymi reflektor latarni skierowano wprost w otwór drzwiowy, w którym się pojawił.

– Dzień dobry, komisarzu.

Rozpoznał ten głos. Teraz, otumaniony, nie potrafił go jednak przyporządkować do żadnej twarzy. Usiłował się wyprostować, lecz w tym momencie ktoś chwycił zakończoną gwoździem listwę i wyszarpnął mu ją z dłoni. Komisarz o mało nie upadł.

– Niezwykły sprzęt – wycedził głos. – Naprawdę. Nasuwa mi wiele pomysłów...

Deryło z trudem się wyprostował. Lekko rozwarł powieki i wtedy kształty zaczęły się wyostrzać. Natychmiast rozpoznał zarys sylwetki oprawcy. Tuż obok niego na ziemi leżała kobieta. Ją również już poznał.

92

Olgierd Hansen trzymał długi sztylet. Pochylał się nad Lucyną Wiak, która musiała przed chwilą wypluć knebel, gdyż ten został ponownie jej niemal wepchnięty do gardła. Dławiła się i rzeziła.

– Dlaczego?

Tylko tyle mógł komisarz wysapać. Listwa z gwoździem, którą przed momentem wyszarpnął mu Hansen, leżała dobre trzy metry od niego, po drugiej stronie obrotowego reflektora. Nie było możliwości, by po nią sięgnął, nie narażając się na cios szaleńca.

– On każe mi to zrobić – wybełkotał Hansen. – Nie ma innego wyjścia. Nie ma...

– Kto i co ci każe? Nikogo tu nie ma prócz nas. Niech pan rzuci ten sztylet.

– Szatan. Nikt inny...

– Szatan? – parsknął komisarz. – Jest w pańskiej głowie!

Kształty już coraz mocniej zarysowywały się przed jego oczami i odzyskiwał ostrość widzenia. Ponadto mógł właściwie ocenić odległości oraz rozmieszczenie przedmiotów dokoła siebie. Poza reflektorem w okrągłym pomieszczeniu na szczycie latarni znajdowały się metalowy stolik oraz materac. To na nim ułożono dziennikarkę. Kobieta, poza kneblem wepchniętym w usta, miała skrępowane dłonie

i nogi. Z jej dolnej wargi ciekła krew, której ślady komisarz dostrzegł również z boku jej głowy.

– Rzuć nóż – nakazał Deryło, pomijając oficjalne formy. – Mordując kolejną osobę, nie poczujesz się lepiej ani nie cofniesz czasu. To niczego nie zmieni.

Hansen potrząsnął głową. Jego papierowo szarą twarz wykrzywił dziwny tik, ale mężczyzna nie wypuścił sztyletu. Cicho syknął, po czym gwałtownie się wyprężył.

– Przez nią to wszystko wraca – wymamrotał. – Znów, po latach.

Wiak drgnęła. Rozpaczliwie zacharczała, wsysając do gardła kawałek szmaty. Z jej nosa pociekła strużka krwi. Po chwili rozlała się nad górną wargą i spłynęła do ust. Szeroko rozwarte oczy kobiety wyglądały, jakby miały za moment wypaść z oczodołów.

Hansen nawet na nią nie patrzył. Dziko zacharczał, a jego ramionami wstrząsnął szloch. Napiął mięśnie i uniósł nóż.

– To koniec... – szepnął.

Zamachnął się, z ogromną siłą opuszczając sztylet wprost w pierś dziennikarki. Deryło był całkowicie bezradny.

93

– Zaufanie to coś, co podobno trudno zdobyć. Rodzice pracują na nie latami, tak samo nauczyciele, opiekunowie, partnerzy... Ale wystarczy być dość przekonującym lub mieć swoje argumenty, aby zaufanie nie było istotne. Zapaliliście to gówno, bo nie pomyśleliście, że może wam zaszkodzić. Nie musieliście mi ufać, bo zaufaliście grze...

Adam uśmiechnął się drapieźnie. W tym momencie nie wyglądał jak trzynasto- czy czternastolatek, lecz jak dorosły i to bardzo inteligentny mężczyzna. Jego rysy się wyostrzyły, w oczach błysnęły groźne iskry, a uniesiona górna warga odsłoniła rząd białych zębów.

Było w nim coś zwierzęcego, coś, co zazwyczaj bardzo trudno uchwycić słowami. Śmiał się i jednocześnie pozostawał śmiertelnie poważny. Wyczekiwał dogodnej chwili na atak, a jednocześnie tryumfował z tego, co już udało mu się osiągnąć.

– Coś ty nam zrobił? – Wojtek zamrugnął i zrobił kilka nieporadnych kroków. – Nie czuję nóg... Boże...

– Ja... – Artur usiłował coś powiedzieć, lecz w tym samym momencie bezwładnie zwałił się na podłogę.

Paweł, który zapalił skręta jako ostatni, sprawiał wrażenie najbardziej przytomnego. Jednak zaciągał się zbyt mocno i zbyt głęboko, aby móc powstrzymać jego błyskawiczne działanie. Ostatnim wysiłkiem woli rzucił się w stronę Adama, jakby chciał go uderzyć. Zamachnął się i stracił równowagę. Wykonał pół obrotu wokół własnej osi, po czym, ciężko dysząc, podparł się o ścianę. Zwiesił głowę i zwymiotował.

– Dlaczego... Co to... – wybełkotał, rzucony torsjami. – Dzwon po pogotowie... Pomóż nam... Proszę!

Po tych słowach chłopiec runął jak długi na podłogę. Upadając, uderzył głową w parapet.

– Wystarczyło udawać, że się pali – wyszeptał Adam. – To całkiem proste. A zaufanie... Mówię wam, zaufanie to bardzo głupia sprawa.

Nastolatek poruszył głową, jakby rozluźniał mięśnie karku, i podszedł do zwiniętego w kłębek Artura. Obrócił go na plecy, a następnie przytknął palec do jego szyi. Wyczuł spowolniony, zanikający puls. Tego nie można było udać.

Wojtek był nieco bardziej przytomny, miał szeroko otwarte oczy, a z kącika jego ust ciekła spieniona ślina. Widząc podchodzącego Adama, usiłował się czołgać, lecz nie miał dość sił. Kilka kopniaków wymierzonych w brzuch pozbawiło go tchu. Wytrzeszczył oczy w niemym pytaniu o przyczynę swojego nieszczęścia.

Adam kucnął i sięgnął po leżącą na podłodze żyłkę. Była to ta sama, za pomocą której przed kilkunastoma minutami Wojtek obciął sobie kawałek ucha. Teraz jego starszy kolega obrócił ją w dłoni

i przytknął do jego brody. Poprowadził szybkie, pewne cięcie wzdłuż linii żuchwy, aż ku skroni.

– Znacznie ważniejsza od zaufania jest ciekawość... – wymamrotał. – Tego brakuje tym wszystkim debilom.

Chłopiec cicho się zaśmiał i spojrzał prosto w oczy Wojtka. Wzrok okaleczonego nastolatka był zamglony, a z jego ust dobył się cichy charkot.

– Tss.... – uciszył go Adam. – Dobrze wiem, że narkotyk nie zmniejszył poczucia bólu. Ale nie potrafisz go teraz wyrazić, prawda?

Kolejne cięcie chłopiec wykonał pod uchem Wojtka i wzdłuż linii jego włosów. Zatoczył półkole wokół czerepu, a następnie brutalnie wetknął palce pod odstającą skórę. Pociągnął ją, jakby chciał zerwać maskę nałożoną na głowę kolegi z kolonijnego pokoju. Cały płat wraz z włosami odszedł zaskakująco łatwo. Przytrzymały go jedynie jakieś delikatne żyłki niemal na czubku czaszki. Wystarczyło mocniej pociągnąć i zdarty został cały skalp. Według wierzeń indiańskich to w nim kryła się ludzka dusza, ale Adam w to nie wierzył. O nie, chodziło o coś znacznie prostszego.

– To jeszcze nie koniec. – Zerknął przez ramię na Pawła. Okularnik usiłował nieporadnie czołgać się ku drzwiom. – Chcesz się wymknąć z naszego przyjęcia?

Zabawa dopiero się rozkręcała. Miała trwać latami.

Wydarzenia kolejnych sekund umysł Deryły rejestrował w zwolnionym tempie. Wydawało mu się, że wszystko trwa całymi godzinami, choć jego ciało zastygło niemal w bezruchu. Sztylet nieuchronnie zbliżał się ku piersi Wiak. W momencie, gdy od jej serca dzieliło go nie więcej niż trzydzieści centymetrów, nagle zmienił lot.

Wtedy komisarz przeniósł spojrzenie na Hansena. Mężczyzna kolejno się wyprostował i odgiął. Jego twarz wykrzywił spazm bólu. Uwagę komisarza przykuł przedmiot, który odbił się od ramienia szaleńca. Był to metalowy krzyż, który zawieszony do góry nogami Deryło widział na klatce schodowej latarni morskiej.

W tym momencie sztylet musnął bok Wiak. Momentalnie w rozcięciu pojawiła się krew, lecz z pewnością nie była to głęboka rana. Wtedy, tuż obok niej, upadł krucyfiks.

Komisarz kątem oka dostrzegł wpadającą do pomieszczenia Dmitris. Kobieta bez namysłu rzuciła się ku dziennikarce. Nim Hansen zdążył zareagować, rozwiązała marynarski węzeł, którym spleciony był sznur, wyrwała knebel i skierowała się ku szaleńcowi. Właśnie w tej chwili Deryło odzyskał poczucie rzeczywistości.

– Uciekaj! – krzyknął, chwytając za rękę Wiak. – Uciekajcie!

– Co? – Dmitris, zaskoczona, zerknęła najpierw na niego, potem na Hansena.

Błyskawicznie pojęła, co powodowało komisarzem. Morderca uderzony krucyfiksem w ramię odruchowo się cofnął. Jego koszula uniosła się i odsłoniła pas z płynną substancją. Dokoła niego biegło kilka cienkich, kolorowych przewodów.

– Uciekajcie! – Deryło wręcz wypchnął Dmitris z pomieszczenia.

Chwycił Wiak pod ramię, lecz dziennikarka ponownie osunęła się na podłogę. Hansen usiłował sięgnąć po sztylet, ale wtedy Deryło wymierzył kopniaka w jego podbródek. Z ust szaleńca trysnęła krew. Zakaszłał, wypluwając wybity ząb.

Deryło nie zwlekał ani chwili. Przerzucił sobie Wiak przez ramiona i popędził ku schodom. Na klatce musiał zwolnić, uważając, by się nie potknąć na krętych stopniach. Gdyby spadli, mogliby oboje skrócić karki. Mimo że komisarz był wyjątkowo silny, szybko zaczęły plątać mu się nogi. Z wysiłku niemal tracił orientację. Jeden drobny błąd na stromych stopniach groził katastrofą. Pot spływał mu z czoła po policzkach i skapywał na klatkę piersiową. Ciężko dyszał. Był przekonany, że nie da rady zbiec na dół, nim...

– Dawaj, pomogę ci.

Dmitris wyrosła przy nim jak spod ziemi. Chwyła Wiak za nogi i z zadziwiającą łatwością podążyła przodem. Wystarczyło, że komisarz trzymał dziennikarkę pod ramiona. Jego wzrok skupił się na krwi wyciekającej z rany na jej boku, na pokrywających ściany graffiti i wtedy zachwiał się z wysiłku. Niemal upadł, lecz jednocześnie dostrzegł drzwi wejściowe. Huraganowy powiew wiatru otworzył je i rąbnął nimi o metalową kratę.

Dwie sekundy później, słaniając się z wysiłku, wypadli na zewnątrz. Niemal jednocześnie kilkanaście metrów ponad nimi nastąpiła eksplozja. Resztki okien latarni wyleciały z ram i kryształowym deszczem zaczęły opadać na wybrzeże. Wiatr poniosł je daleko, aż ku miejscu, gdzie właśnie zatrzymały się trzy radiowozy.

95

Ambulans z rykiem syren odjechał w głąb lądu. Najbliższy szpital znajdował się pewnie kilkadziesiąt kilometrów od tego miejsca, a obrażenia Wiak okazały się poważniejsze, niż się wydawało. Być może na skutek wysiłku lub jakiejś choroby krwawienie narastało i nie dawało się zahamować. Gdy dziennikarka trafiła na nosze, była już nieprzytomna i jej powrót do zdrowia budził wątpliwości. Spojrzenie przybyłego w karetce lekarza nie pozostawiało nadmiernego pola do interpretacji. Stan kobiety był bardzo poważny.

W międzyczasie na miejsce przybyli wojskowi pirotechnicy. Wyposażeni w specjalistyczny sprzęt, przypominający roboty z filmu *science fiction*, ruszyli na górę częściowo uszkodzonej latarni morskiej. Na szczęście eksplozja nie była na tyle mocna, by zachwiać konstrukcją budynku. Obawiano się jednak, że w pobliżu są inne

materiały wybuchowe lub że część tego, którym związał się Hansen, nie eksplodowała.

– Nie żyje. – Aspirant Adamski wszem wobec przekazał wiadomość otrzymaną od pirotechnika, który jako pierwszy dotarł na górę. – Rozerwało go na kawałki.

– W takim razie to faktycznie koniec.

Dmitris podeszła do Deryły, który stał na uboczu i z odległości przypatrywał się pracy służb. Porywy wiatru nieustannie się nasilały, więc krył się za ścianą kilku pochyłonych sosen. Ich rzadkie korony nie mogły jednak chronić przed coraz mocniej padającym deszczem.

Deryło jednak nie zważał na aurę. Zerknął na Sofię i sięgnął do kieszeni marynarki. Wyciągnął z niej kartę należącą do talii znalezionej w czarnym opakowaniu. Obrócił ją między palcami i wymownie się uśmiechnął. Karta przedstawiała kościotrupa, który jedną ręką chwyta kobietę, a drugą mężczyznę.

– Zabrałeś dowód? – zapytała go Dmitris z przyganą. Jednak po chwili uniosła dłonie i westchnęła: – Okej, wiem, że nie zrobiłeś tego tylko po to, żeby mieć pamiątkę. O co chodzi?

– Widzisz, co tu jest napisane?

– Nie. Pokaż mi albo przeczytaj.

Wiatr powiał tak mocno, że wydawało się, że jedna z sosen runie na ziemię. Deryło przez moment się jej przypatrywał, wreszcie przesunął się o kilka kroków. Otarł kartę z kropli deszczu i osłonił ją drugą dłonią.

– To ostatnia karta gry – oznajmił, podnosząc głos, aby przekrzyczeć łośkot fal. – Ostatnie, najgorsze zadanie, które miało przynieść wyzwolenie i przez które ta wersja została w kilku krajach zakazana.

– Co takiego? – Dmitris otarła twarz z deszczu i się pochyliła. – Widziałam, że ta gra nie trafiła na wszystkie rynki, ale sądziłam, że to przez polityczną poprawność albo coś...

– Raczej przez to. – Deryło odchrząknął i powoli odczytał: – „Zabijesz ojca swego i matkę swoją. A potem uwierzysz w duchy”.

Komisarz ponownie, niczym rasowy hazardzista, obrócił kartę między palcami i powiódł wzrokiem po twarzach policjantów, którzy schronili się przed ulewą tuż obok nich. Słowa Deryły przykuły ich uwagę. Przysłuchiwali się mu również dwaj technicy, którzy nie zostali jeszcze dopuszczeni do latarni morskiej. Wówczas Deryło powiedział coś, co przyprawiło ich o dreszcze.

– Olgierd Hansen nie był mordercą. To nie jego poszukujemy.

96

Pomieszczenie przypominało ubojnię. Podłoga lepiała się od krwi, której plamy znaczyły nawet ściany i szyby okna. Z głów Wojtka i Artura Adam wyciął całą skórę twarzy. Dodatkowo poprowadził cięcie wzdłuż brzucha młodszego chłopca. Wyciągnął z niego trzewia, jakby usiłował rozebrać sztukę wołu. Jelita wręcz wylały się na ziemię. Obok leżały wycięte, zakrwawione organy. W powietrzu unosił się słodki, duszący smród krwi, zmieszany z odorem kału oraz moczu.

– To jeszcze nie koniec... – Adam zmarszczył czoło, jakby nad czymś intensywnie myślał. – Muszę zrealizować plan... Muszę doprowadzić go do końca.

Otarł w koszulę zakrwawione ręce i wrócił do plecaka. Wyciągnął z niego sporą plastikową miskę oraz szklaną butelkę. Jej zawartość wlał do środka. Woń makabrycznej śmierci została zastąpiona przez cuchnący zapach chemikaliów.

Adam bez pośpiechu podszedł do leżącego parę metrów dalej Pawła. Chłopiec był nadal żywy, choć miał zamknięte oczy, jego klatka piersiowa unosiła się i opadała w rytmie nierównego oddechu.

– Chodź tu.

Adam bezwzględnie przeciągnął chłopca po podłodze ku misce. Paweł cicho jęknął i wydawało się, że powoli odzyskuje przytomność.

Delikatnie poruszył palcami, jakby starał się zaprzeć o drewniane podłogę. Nie był jednak w stanie powstrzymać oprawcy. Zamrugał.

– Co rbsgzz... – Z jego ust dobył się niezrozumiały bełkot.

Adam nie zwrócił na to żadnej uwagi. Nachylił się nad otumanionym chłopcem, kopnął na bok okulary, które spadły mu z nosa, i zaczął z niego zdzierać ubranie. Bluzę, czarny podkoszulek, wreszcie jeansowe spodnie. Następnie sam się rozebrał i przebrał Pawła w swoją koszulę oraz sportowe dresy. Mocno się przy tym namęczył i stracił więcej czasu, niż planował. Wreszcie otarł pot z czoła i przystąpił do dalszego działania.

Podniósł głowę Pawła i zanurzył ją w wypełnionej cieczą misce. Płyn zabulgotał. Rozległ się syk, a w powietrzu uniósł się smród palonej skóry. Paweł wierzgnął jak wyrzucona na brzeg ryba. Kilkukrotnie kopnął w podłogę, po czym zamarł w bezruchu.

– Koniec... – szepnął Adam.

Puścił bezwładną głowę chłopca i sięgnął po jego podarte ubranie. Założył je, po czym niedbale otarł twarz z krwi – a właściwie jeszcze mocniej po niej tę krew rozmazał. Wreszcie zapiął plecak i zarzucił go na ramię. Spojrzał dumnie na wnętrze altanki.

– Dokonało się.

Cicho gwizdnął i zdjął z szyi metalowy krzyżyk. Zapiął go na karku Pawła, po czym ruszył ku drzwiom. Uważał, aby nie wdepnąć w żaden z krwawych rozbryzgów. Wtedy dostrzegł zarys czyjejs sylwetki stojącej przed altanką. Cicho zaklął.

Stanowczość, z jaką Deryło wypowiedział swą tezę, sprawiła, że stojący wokół niego policjanci natychmiast wbili w niego uważne spojrzenia. Niektórzy nerwowo się poruszyli, inni zaśmiali.

– Przecież mamy na górze rozczłonkowanego trupa faceta, który się właśnie wysadził – parsknął jeden z sierżantów. – Zgodnie z tym, coście mówili, dorwaliście go, gdy usiłował wbić nóż w pierś tamtej babeczki.

– Owszem – przyznał komisarz.

– I to niby nie on jest mordercą?

– Wydaje mi się, że nie.

Nawet Dmitris patrzyła teraz na Deryłę, jakby ten całkowicie postradał zmysły. Podejrzewała nawet, że to kwestia niedawnego wysiłku oraz nadmiernego napięcia. Mimo to komisarz zdawał się najzupełniej przekonany co do swej racji. Jeszcze raz potrząsnął kartą i zerknął na targaną wiatrem sosnę. Wtem rozległ się trzask, a wielki konar spadł na ziemię kilkanaście metrów od nich. Nikt się jednak nie poruszył. Wszyscy oczekiwali wyjaśnień od Deryły, nie zważając na huragan i deszcz. Nie robił na nich nawet wrażenia łoskot morza ani rozbryzgujących się coraz bliżej fal.

– „Zabijesz ojca swego i matkę swoją. A potem uwierzysz w duchy” – komisarz ponownie wyrecytował zadanie zapisane na karcie. – I nie mam wątpliwości, że morderca już zabił swoją matkę. Wiele lat temu.

– To miałyby być jedna z jego ofiar sprzed dekady? – zagadnął Adamski. – Przecież wtedy zginęli tylko ci chłopcy...

– Niekoniecznie.

– Serio? Nie zgłoszono nawet żadnych zaginięć. Sprawdziliśmy to.

Deryło schował kartę do wewnętrznej kieszeni marynarki i sięgnął ku sestercowi. Musnął go jedynie opuszką palca. Nie wierzył, że ten może przynosić szczęście. Mimowolnie poczuł nieodpartą pokusę, by właśnie teraz złożyć żurawia origami.

– To, że ich nie zgłoszono, nie znaczy, że ich nie było – powiedział oschle. – Zaginęła, a raczej zniknęła, na przykład żona pana Hansena.

– Ale jeśli... – Dmitris coś zaczęło świtać. Wydeła wargę i za moment rozejrzała się wokół. Zerknęła ku latarni morskiej, by przenieść wzrok na stojących obok policjantów oraz techników. –

Jeżeli żona Hansena wcale nie wyjechała za granicę, lecz nie żyje... Zakładasz, że to ona była matką. W takim razie to Hansen był ojcem.

Komisarz kiwnął głową.

– Tak, właśnie tak sędzę. Podejrzewam, że Hansen nie tylko odkrył ciała dzieciaków, ale przybył nieco wcześniej... Aby zobaczyć, że jego syn jest najgorszym złem. Złem, które zamordowało swoich najbliższych przyjaciół, a po latach powróciło, by dokończyć dzieła. „Zabij ojca swego i matkę swoją”... Ktoś musiał zdetonować ładunek umieszczony na pasie Hansena, prawda?

Deryło uważnie popatrzył po twarzach zebranych wokół funkcjonariuszy. Powoli docierało do nich znaczenie jego słów.

– Insynuujesz, że syn Hansena przeżył? – Dmitris cofnęła się o krok, jakby podejrzewała, że ktoś lada moment ją zaatakuje. – Przecież znaleziono jego ciało.

– Nie do końca.

– Jezu, Eryk, co ty pleciesz?

Komisarz zacisnął pięści i się wyprostował. Miał całkowicie mokre od deszczu włosy, z których woda spływała mu po twarzy.

– Wiemy, kim jest zabójca – wycedził. – Stoi teraz tuż obok nas.

98

– Cześć, tato.

Adam uśmiechnął się do około czterdziestoletniego, wysokiego mężczyzny. Spojrzał na niego spode łba i wzruszył ramionami, jakby cała makabryczna sceneria za jego plecami była jedynie dowcipem albo dekoracją teatralną.

Mężczyzna zatrzymał się w progu altanki i zamarł w bezruchu. Bez słowa powiódł wzrokiem po trzech ciałach zamordowanych chłopców, po pełnej krwi podłodze, wreszcie zatrzymał spojrzenie na synu.

– Adam, coś ty... – szepnął, ale słowa ugrzęzły mu w gardle.

Widząc ostry przedmiot w dłoni syna, przesunął się i przywarł plecami do ściany. Głęboko nabrał powietrza. Zdawało się, że zaraz straci przytomność i upadnie. Przed osunięciem powstrzymywał się, przytrzymując za drewniany złamany wieszak.

Adam powoli ruszył w jego stronę. Po pokonaniu kilku kroków zatrzymał się i ponownie wzruszył ramionami.

– Mówiłem, że ich zabiję – stwierdził beznamiętnie. – Powtarzałem ci, że nie chcę tu jechać. Tak to musiało się skończyć i to tylko twoja wina.

– Jezu Chryste...

– Nie martw się. Nie wrócę do domu. Nigdy. A ty zidentyfikujesz tamtego durnia jako mnie.

Chłopiec wskazał na zwłoki Pawła, którego twarz nadal była zanurzona w palącym roztworze.

– Dałem mu swoje ubrania i krzyżyk, który jest widoczny na naszym ostatnim zdjęciu sprzed tego wyjazdu. Masz je na swoim telefonie. Posłuży za dowód.

Mężczyzna zadrżał. Sięgnął do kieszeni, jakby miał teraz wyciągnąć komórkę, lecz zamiast tego ponownie podtrzymał się o wieszak. Wpatrywał się w syna szeroko rozwartymi oczami. Jego twarz miała kolor kredy, a na skroniach wystąpiły żyły.

– Jesteś demonem – wymamrotał. – Jesteś potworem... Jak mogłeś powstać...

– Stworzyliście mnie z matką. Ty i ona. Nikt inny.

Adam wszystkie zdania wypowiadał całkowicie spokojnie, niemal jakby były nagrane na jakąś taśmę ukrytą w jego ustach. Poprawił przewieszony przez ramię plecak i ruszył ku drzwiom.

– Wydam cię – syknął mężczyzna. – Dorwę cię...

– O nie – zaprzeczył chłopiec. – Jesteś za słaby, żeby przyznać się do błędu i pogrzebać swoją krew. Pozwolisz mi odejść. Wiesz, że takie wyjście jest najlepsze. Umyjesz od wszystkiego ręce, a ja po prostu zniknę.

– Gdzie? Myślisz, że ot tak sobie gdzieś pójdziesz?

Adam zatrzymał się niespełna metr od ojca.

– Jestem dość mądry, nie sądzisz? – zapytał zadziornie. – Poradzę sobie.

– Stój, powiedziałem!

– Nie zatrzymasz mnie. Nawet tego nie próbuj.

Adam odwrócił się i skierował ku drzwiom. Jego ojciec wyciągnął dłoń, lecz nie powstrzymał chłopca. Ten, nawet się nie odwróciwszy, po prostu wyszedł z altanki. Nie śpieszył się. Chwilę później zniknął w nadmorskiej deszczowej mgle. Jego obraz rozwiął się, jakby chłopiec nigdy nie istniał.

99

– Ojciec pozwolił mu odejść. Naprawdę wszystko widział, ale zapewne od lat z przerażeniem obserwował, na kogo wyrasta jego syn... Zidentyfikował ofiarę jako swoje dziecko, więc dodatkowe badania były niepotrzebne, tym bardziej że potwierdziła to znaleziona przy nim biżuteria. Jakiś czas później jego syn, po tułaczce z różnymi narkomanami, postanowił wziąć się za siebie i ponownie wyznaczył sobie plan. Przybrał nową tożsamość, skończył studia, zerwał jakiegokolwiek związek z przeszłością. Nikt go nie mógł podejrzewać o udział w makabrze sprzed lat. Wymyślona przeszłość nawróconego łobuza wcale nie była obciążeniem, lecz działała na korzyść.

Deryło uważnie popatrzył po twarzach stojących wokół ludzi. Dmitris przysunęła się bliżej niego, domyślając się, jakie będzie sedno tej opowieści. Komisarz parsknął i mówił dalej:

– Najgorsze zło nie kryje się w kartach do gry, ale w człowieku. Piekielnie inteligentnym i bezwzględny. Takim, który przez długi czas dla własnych celów potrafi udawać ograniczonego.

– Niby kto to taki? – zapytał z irytacją szef kryminalistyków. – Od początku miałem pana za fantastę i karierowicza, ale takiej historii nikt by się nie powstydził.

– A jeśli to pan?

Słowa komisarza wywołały poruszenie, lecz nim kryminalistyk zaprotestował, Deryło znacząco machnął ręką.

– Nie jest pan dość inteligentny – bąknął. – Poza tym sprawdziłem pana i pańskich rodziców. W tym przypadku akta były pełne, nie zawierały adnotacji o nieustalonej przeszłości albo zmyślonym pobycie za granicą. Na tę trafiłem w przypadku kogoś innego...

– Eryku... – syknęła z naciskiem Dmitris. – *Ad rem.*

– Nie wiesz, że czasem szopki robi się dla samych szopek?

– Morderstwa to nie szopka – wtrącił aspirant Adamski.

– O tak. Szczególnie gdy wie się o zbrodni dokładnie tyle, ile wiedział Hansen. A raczej ile powinien się domyślać. Gdy zna się jej szczegóły i ma przygotowane niepełne akta, byle tylko zmylić tropy. Do tego, gdy ma się dokładnie taki sam rzadki kolor oczu jak ojciec. Zieleń, którą maskuje się soczewkami, byle tylko to ukryć, prawda? I gdy po latach można bez trudu uciszyć jakiegokolwiek pogłoski w sprawie własnej matki...

Deryło zacisnął pięści i wbił wzrok w aspiranta. Adamski głośno się zaśmiał. Jego twarz momentalnie zmieniła wyraz. Łagodne, poczciwe oblicze sprzed chwili stało się ostre i pełne determinacji. Mężczyzna nagle wydał się znacznie wyższy oraz postawniejszy.

– Nie zaprotestuję – oznajmił sarkastycznym tonem.

Wszyscy spojrzeli wprost na niego. Ktoś odbezpieczył kaburę, a ktoś inny zaklął. Adamski jednak był szybszy. Błyskawicznie wyciągnął pistolet i mierząc wokół, wycofał się poza krąg funkcjonariuszy.

– Dlaczego? – Dmitris była kompletnie oszołomiona. – Jak można....

Aspirant się zaśmiał.

– Dlaczego? Czy zło musi mieć przyczynę? Czy zastanawiała się pani, dlaczego wilk wyje do księżyca? Odpowiedź jest prosta. – Puścił do Sofii oko. – Bo może.

Po tych słowach mężczyzna wystrzelił.

100

Pocisk wystrzelony przez Adamskiego przeleciał między Dmitris a Deryłą i wbił się w drzewo za ich plecami. W chwili, gdy wszyscy skulili się, spodziewając się, że padną kolejne strzały, aspirant rzucił się do ucieczki. Deryło jako jedyny zadziałał automatycznie. Sadząc długie, ciężkie susy, podążył za Adamskim. Żałował, że nie chwycił pistoletu któregoś z policjantów. Teraz już było na to za późno. Za jego plecami rozległy się krzyki nawołujące do zatrzymania się. Z jednej strony znalazł się na linii ich strzału, a z drugiej wiedział, że aspirant może kluczyć między drzewami.

Adamski lawirował wśród gnących się w huraganowym wietrze sosen. Potykał się, by zaraz odzyskać równowagę i biec jeszcze szybciej. Był dobrym sportowcem, a do tego najwyraźniej znał teren. Kilkukrotnie przeskoczył nad wystającymi z ziemi korzeniami, choć te były ledwie widoczne.

Deryło musiał zwalniać, byle tylko nie wyłożyć się jak długi. W pogoni przeszkadzały mu szarpane wiatrem gałęzie i siepiący prosto w twarz deszcz. Ktoś, nie bacząc na ryzyko postrzelenia go, oddał dwa strzały. Rozległy się kolejne krzyki.

Komisarz kątem oka dostrzegł tabliczkę informującą o tym, że przed nimi znajduje się niezabezpieczony klif o wysokości dwunastu metrów. W to miejsce obowiązywał kategoryczny zakaz wstępu. Zgodnie ze znakiem występowały tu osuwiska oraz skalne szczeliny.

– Stój! – wrzasnęła Deryło, licząc, że aspirant może pojmie, że zmierza wprost ku przepaści. – Zatrzymaj się!

Jego krzyki nie zrobiły na Adamskim żadnego wrażenia. Mężczyzna, nie zatrzymując się, gnał prosto do przodu. W pewnym momencie

niecو zwołnił i całkowicie na oślep wystrzelił za siebie. Komisarz padł na ziemię. Zauważył, że aspirant wyrzucił pistolet, więc podniósł się i ponownie pobiegł za nim. Dzieliło ich nie więcej niż dwadzieścia metrów. Czy nad klifem szalenie miał zachować się jak dzikie zwierzę i podjąć rozpaczliwą walkę o życie? Czy o to mu chodziło? Być może nawet wspomnienie wilka było zamierzone...

Nagle Adamski zniknął Deryle z oczu. Przepadł, jakby był duchem, który całkowicie się zdematerializował.

– Co, u licha...

Komisarz zwołnił kroku i ostrożniej ruszył między drzewami. Te w tym miejscu się przerzedziły, a huk fal stawał się tak głośny, że aż zagłuszał myśli. Wtem mocny powiew wiatru niemal przewrócił Deryłę. Gdyby nie to, komisarz zrobiłby kolejny krok prosto w przepaść...

Klif pojawiał się całkowicie niespodziewanie, mając po dwóch stronach ramiona delikatnego półwyspu tak, że tworzył zatoczkę o bardzo ostrych zboczach. W pogodne dni na dole prawdopodobnie była wąska plaża, teraz całkowicie zabrana przez kipieli morza.

Deryło wstrzymał powietrze. Pochylił się, by kolejny powiew huraganu nie strącił go ze skały. Ogrom żywiołu sprawił, że nadal nie czuł się pewnie. Padł na kolana i zdzierając spodnie, zbliżył się do samej krawędzi klifu. Spojrzał w dół, w spienioną, niemal czarną toń. Nigdzie nie było śladu po aspirancie. Skowyt wiatru i ryk fal wygrywały mu żalobną pieśń.

Huragan nie ustawał przez kolejne godziny. Wicher świszczwał między sosnami i z szaloną siłą ciskał fale o brzeg. W pewnej chwili wieczór niezauważalnie przemienił się w niespokojną noc. Dopiero nad ranem

niebo roz pogodziło się, wyjrzała postrzępiona przez chmury ćwiartka księżycy, a Bałtyk powoli się uspokajał. Gdy weszło słońce, po sztormie nie było już śladu.

Na morzu pojawiły się ekipy poszukiwawcze. Kolejne strefy przeczesywane były przez motorówki, specjalny statek wyposażony w sonary oraz dwa helikoptery. Uznano, że nie ma potrzeby angażowania samolotu, gdyż Hansen nie odpłynąłby od klifu. Nawet gdyby jakimś cudem miał na dole łódkę, w środku sztormu natychmiast roztrzaskałby się o skały.

Deryło i Dmitris nie uczestniczyli w akcji poszukiwawczej, jednak pojawili się przy latarni morskiej. W budynku rozpoczęli już pracę kryminalistycy. Śledztwo pozostawało pod formalnym nadzorem nowego prokuratora, który nagle zastąpił poprzednika. Co więcej, na miejsce ostatnich wydarzeń prosto z Gdańska przybyła para doświadczonych dochodzeniowców.

– Komisarz Liza Langer – zaanonsował nową zwierzchniczkę jeden z sierżantów.

Za lini drzew dziarskim, nieco męskim krokiem zmierzała w stronę Deryły i Dmitris zgrabna kobieta. Komisarz widział ją na żywo po raz pierwszy. Od razu dostrzegł w jej pięknej, eleganckiej twarzy jakiś smutny cień. Wielkie oczy lustrowały go z pełną powagą osób, które widziały i doświadczyły zbyt wiele. Poznał już kilka podobnych udręczonych dusz.

Policjantka wymieniła ze wszystkimi mocne uściski dłoni. Uniosła rękę, po czym, nie odwracając się, wskazała kciukiem za siebie, w stronę klifu.

– Tam są metalowe stopnie – oznajmiła rzeczowym tonem. – Drabinka, z której niegdyś korzystano przy zaopatrywaniu latarni w wodę oraz prowiant.

Deryło niemal podskoczył.

– Co takiego?! Nie widziałem ich.

– Nic dziwnego, skoro osadzono je w skale, a w tej burzy nie było widać nic na parę metrów do przodu.

– Uważa pani, że...

Deryło zawiesił głos, a Liza Langer wzruszyła ramionami. Wiedziała, do czego zmierza jego pytanie. Z lodowatą satysfakcją na nie odpowiedziała.

102

– Dopuszczam możliwość, że Hansen schował się te kilka metrów niżej, na krawędzi klifu – oznajmiła, wyciągnąwszy paczkę papierosów. – Nie mam pojęcia, czy tak było, czy nie. Chłopaki twierdzą, że nawet jeśli ten facet spadł do morza, jego ciało może nigdy nie zostać odnalezione. Bałtyk w tym miejscu jest głęboki, a w trakcie sztormów pojawiają się zupełnie przypadkowe prądy. Z pewnością by tego nie przeżył, lecz jego zwłoki mogą trafić na plażę sto kilometrów stąd. I to nawet za dwa tygodnie.

Langer umilkła i zapaliła papierosa. Przez chwilę wpatrywała się w jeden punkt, gdzieś za ramieniem komisarza. Dmitris aż korciło, żeby zapytać, co tak mocno przykuło jej uwagę. Wtem obok nich pojawił się wysoki blondyn z rozwianą czupryną. Uśmiechnął się i radośnie pomachał na powitanie.

– Orest Rembert – przedstawił się, jeszcze mocniej poszerzając uśmiech. – Mieliśmy już okazję współpracować, panie komisarzu Deryło. – Zerknął na Langer i momentalnie jego twarz przybrała zatroskany wyraz. – Co się stało?

– Nic.

– A jednak, widzę, że coś.

– W takim razie źle widzisz. – Liza machnęła dłonią. – To tylko ten cholerny pies.

Deryło wymienił zdziwione spojrzenia z Dmitris, lecz Orest momentalnie wytłumaczył przyjaciółkę:

– Nie zwracajcie na nią uwagi. Już zwęszyła krew i jest w swojej bajce. – Odwrócił się do Langer i znacząco uniósł palec. – Mam jego akta. Zajmę się portretem psychologicznym i całą resztą... Choć jest już pewnie martwy.

– Wierzy pan w to? – Dmitris wyraźnie była innego zdania. – Mógł sobie strzelić w głowę, zamiast utonąć. Samo to już budzi wątpliwości...

Langer wypuściła kłęb dymu i ponuro zwróciła się ku Sofii.

– Jesteście wolni – powiedziała cierpko. – Możecie zająć się odpoczynkiem. Formalnie przejmujemy sprawę, a ja nie chcę tu osób postronnych. Jeśli będę potrzebowała, bez wątpienia poproszę was o konsultacje. Chodź, Złotousty, czeka nas wiele pracy.

– *Malaka* – rzuciła Sofia.

– Chrzańcie się – dodał Deryło.

Chciał powiedzieć coś więcej, lecz jego uwagę przykuł cień przemykający w oddali między drzewami. Zmrużył oczy, ale nie dostrzegł już nic więcej. Cień momentalnie się rozmył. Komisarz jeszcze przez chwilę patrzył w głąb gęstwiny, wreszcie odwrócił się na pięcie i ruszył do Citroëna. Nie mógł walczyć ze złem całego świata. I wreszcie w tym wieku to pojął. Zło mogło być wszędzie, a z pewnością miejsce na nie było w sercu każdego człowieka. Nawet jego.

Mimo to, gdy się zatrzymał, odruchowo zerknął w lusterko auta. Po jego plecach spłynął lodowaty dreszcz. Ktoś nadal poruszał się między drzewami, ale to nie było najgorsze. Deryło nie miał wątpliwości, że cień przypomina zarys sylwetki Tamary Haler. Błyskawicznie spojrzął za siebie. Wtedy jego serce zabiło ze zdwojoną siłą.

—= FADE TO BLACK =—

POSŁOWIE

Stało się. Opowieść po raz kolejny dobiegła końca, choć jej bohaterowie być może wcale nie powiedzieli jeszcze swoich ostatnich słów. W tym momencie opadła kurtyna i nastąpiła ciemność. Być może niebawem rozjaśni ją światło padające na makabryczną scenerię... A może nie stanie się to nigdy? Najpiękniejsze w pracy twórczej jest to, że można pozwolić się nieustannie zaskakiwać własnej wyobraźni i temu równoległemu ze światów, który żyje „gdzieś tam w ukryciu”, a który należy jedynie dopuścić do własnej świadomości. Czarna magia? Metafizyka? Można to nazywać, jak się zapragnie.

W tym przypadku, gdy wątki wreszcie się spięły, miałem wrażenie zetknięcia się z jedną z najbardziej mrocznych postaci, jakie stworzyłem. Nie chodzi o sposób działania Hansena ani o jego powierzchowność. Sednem jest jego motywacja. Warto się nad nią zastanowić tym bardziej, gdy fascynuje nas tematyka teodycei, etyki, relatywizmu dobra oraz zła. Dla mnie to równie istotne jak sama intryga kryminalna.

Swego czasu fascynował mnie goethowski motyw czynienia dobra przy jednoczesnym pragnieniu wyrządzenia zła. Przyświecał on również Bułhakowowi w trakcie prac nad *Mistrzem i Małgorzatą*, ale jego prapoczątki można dostrzec już w Biblii, a potem w całej literaturze „okołochrześcijańskiej”. Nie martwcie się, Państwo, nie zamienię tego posłowania w nudną dykteryjkę o literaturze. Dokonuję jedynie wiwisekcji własnych przemyśleń – tych, które wielu pismaków oskarża o przesiąknięcie złem bądź nawet zaburzeniem psychicznym.

Ale po kolei...

Gdy opisywałem ostatnią scenę z udziałem mordercy, przeszył mnie dreszcz. Do tej pory sam nie do końca rozumiałem, z kim mamy do

czynienia. W takich momentach najczęściej wypływają tajemnice z przeszłości, motywy zemsty albo geneza syndromu mesjasza. Adam Hansen wypowiada jednak pytanie: „Czy zastanawiała się pani, dlaczego wilk wyje do księżyca?”. Następnie sam na nie odpowiada: „Bo może”.

Daję słowo, że ta fraza przyszła sama, jakby gdzieś we mnie tkwiła. Może to tylko moja nadinterpretacja albo rezultat pychy, lecz to zdanie sprawiło, że na moment zatrzymałem się nad klawiaturą. Choć do końca powieści zostały mi tylko ostatnie szlify, spodziewałem się maksymalnie dwóch rozdziałów i zazwyczaj pisałem je bez opamiętania, aż do chwili nakreślenia „Fade to black” – tym razem było inaczej.

Gdzieś już to słyszałem albo gdzieś o tym czytałem. Czy nie powtarzam jakiegoś pomysłu? Obawa szybko się rozviała. Przypomniał mi się czytany przed kilkoma miesiącami artykuł o świętych męczennikach. Niestety nie pamiętam jego autora, lecz moją uwagę przykuło zdanie przypisywane jednemu z chrześcijan zamordowanych w pierwszych wiekach po Chrystusie. Torturowany przez Rzymian mężczyzna głośno modlił się za swoich oprawców i prosił Boga, by wstąpił w ich serca. Wreszcie jeden z katów nie wytrzymał. Najpierw zatkał uszy, lecz po chwili odrzucił narzędzia i zapytał: „Dlaczego to robisz?! Dlaczego wstawiasz się za nami przed swoim Bogiem?”. Katowany starzec odparł: „Bo Pan dał mi wolną wolę. Bo mogę”. Być może parafrazuję zapis tego dialogu, lecz jak sądzę, w każdej znanej wersji jest on również sparafrazowany, a jego sens nie został wypaczony.

Czy to nie najwyższy poziom samoświadomości – czynić dobro z tego tylko powodu, że się tak może? Nie dla chęci zbawienia, nie dla samej wiary ani tym bardziej nie dla zmanifestowania swej siły. Tylko „bo tak”. To najkrótsza, a zarazem najpełniejsza możliwa odpowiedź.

Po wielu miesiącach wrażenia z lektury tamtego tekstu powróciły. Zrozumiałem, że Hansen stanowi odbicie „dobra bezwzględności”, jakim był dla mnie wspomniany święty. Mógł mordować, profanować

i czynić zło, bo miał wolną wolę. Bo tak chciał. Mógł przestać, a potem czynić to znów po swojemu, zgodnie z jakimś najgorszym, diabelskim instynktem. Nikt, żadna inna postać nie może mieć bardziej bestialskiej motywacji.

I teraz, wracając do owej wiwisekcji, zdradzę pewien szczegół. Gdy wszystkie te wątki się splotły, a ja odkryłem genezę zła w dobru, poczułem satysfakcję. Z tego, że wyobraźnia nadal działa, że styki imaginacji po blisko pięćdziesięciu książkach nadal mają się dobrze i że potrafią dostarczyć mi całkowicie nowych bodźców. Mam nadzieję, że ta satysfakcja autorska znajdzie odbicie w zadowoleniu czytelniczym. Tym bardziej że wiem, że im bliżej będzie premiery, tym bardziej będę przerażony. Ale przerażenie to już całkowicie inna historia. Pojawia się ono na przykład wtedy, gdy powąchacie tę książkę i zrozumiecie, że papier pachnie krwią...

Ukłony
Max Czornyj

PS. Dajcie spokój, naprawdę ją powąchaliście? Najpierw trzeba uwierzyć w duchy. Są przecież wśród nas.

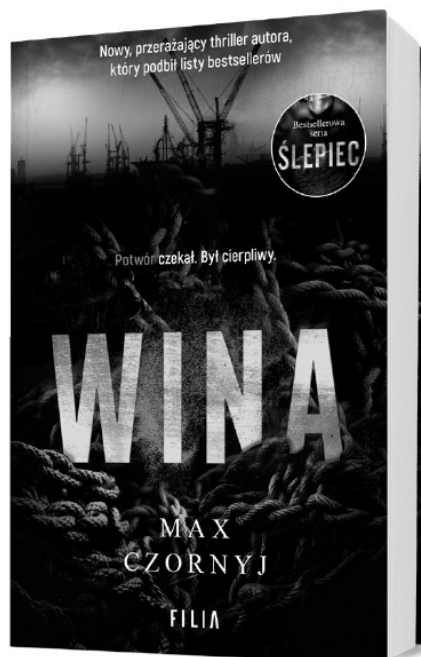
OD ŚMIERCI NIE MOŻNA UCIEC.
NIGDZIE.



GDY RAZ ZETKNIESZ SIĘ ZE ZŁEM,
NIE BĘDZIE JUŻ ODWROTU.

FILIA MROCZNA
STRONA

Komisarz Liza Langer
i profiler Orest Rembert nie mają sobie równych



Żadnym czasem nie brakuje szaleńców

FILIA MROCNIA STRONA

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat 1

Cytat 2

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49

50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

92

93

94

95

96

97

98

99

100

101

102

POSŁOWIE

Reklama 1

Reklama 2

Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marta Akuszczyńska
Korekta: Agnieszka Luberadźka, Jarosław Lipski
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-149-2

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.